

Henryk Grynberg

**Żydowska Wojna
Zwycięstwo**



Zwolennikom p r z e d a w n i e n i a

Zastanawia mnie i przeraża cena życia. Dlatego muszę powrócić do sprawy nieuniknionego losu mojego ojca i nieprawdopodobnej wytrwałości samotnej w swojej walce kobiety, mojej matki. Muszę to zrobić teraz, kiedy tak łatwo, choć znów niebezpiecznie, jest żyć.

Część pierwsza

OJCIEC

Mój ojciec biegał do dziedzica, przekupywał żandarmów, robił co mógł. Dziedzic przekonywał żandarmów, że ojciec jest na folwarku niezbędny, i jeśli naprawdę zależy im, ażeby w terminie dostarczono te wszystkie kontyngenty, jakich się domagają, to powinni mu ojca na folwarku zostawić tak długo, jak długo to będzie możliwe. Więc ojciec pracował, prowadził mleczarnię i pomagał w rachunkach jak przedtem, tylko że nie dziedzic płacił ojcu, lecz ojciec dziedzicowi. Udawało się to przez rok.

Dziedzic pomagał zresztą ojcu do samego końca. Wreszcie, kiedy nie było już innej rady, ojciec załadował na pożyczoną od dziedzica furę całą resztę tobołów - resztę, bo najważniejsze rzeczy zostawił u dziedzica i u innych ludzi - i pojechaliśmy do miasteczka, w którym mieszkała rodzina mamy i do którego przesiedlono już również dziadka z sąsiedniej wsi wraz z rodziną, i gdzie zamieszkaliśmy w jednej izbie w należącej do dziadka kamienicy.

I ojciec, i dziadek wychodzili codziennie na szosę tłuc kamienie. Ale nie było wcale źle, dopóki Niemcy nie zaczęli wysyłać ludzi do obozu koło Węgrowa. A zaczęło się od cukru i mąki.

Miasteczko dostawało pewną ilość cukru i mąki, a zadaniem prezesa i Rady było rozdzielanie tego cukru i mąki na kartki. Ale cukru i mąki było za mało i nie mogło wystarczyć dla wszystkich, nawet jeśli mieli kartki. Więc kto przyszedł pierwszy, ten dostał, a kto się spóźnił, odchodził z kartką... Dopiero po jakimś czasie okazało się, że kto miał w gotówce „pokrycie” na odpowiednią ilość kartek, ten przychodził na czas, a kto nie miał pieniędzy, ten przychodził i przychodził, i zawsze przychodził... za późno.

Ojciec pieniądze miał, więc wszystko było w porządku, dopóki w porozumieniu z Radą nie przehandlowano w Mińsku Mazowieckim połowy cukru, a potem połowie ludności określonej jako „mniej potrzebująca” nie przydzielono kartek. A wśród tych ludzi znaleźliśmy się i my. Wtedy ojciec poszedł do Nusena, który był prezesem, żeby wyjaśnić sprawę. Zauważył przy tym w kredensie Nusena za szkłem cały plik niewydanych kartek.

- Dlaczego nie dałeś mi kartek? - zapytał ojciec.

- Bo nie ma - odpowiedział Nusen.

- Czego nie ma, kartek?...

- Nie ma cukru. Dali tylko połowę...

- A kartki dali?... - ojciec przysunął się do kredensu.

- Jakie kartki? - zdziwił się Nusen.

- A te!... - powiedział ojciec sięgając po plik kartek za szkłem. Nusen rzucił się, żeby te kartki ojcu odebrać, ale ojciec wybiegł na ulicę. Nusen pobiegł za nim. Ojciec wbiegł na posterunek, którego komendantem był Laskowski, i podał te kartki Laskowskiemu.

Nusen musiał wtedy dać ojcu nasze kartki i postarać się, ażebyśmy otrzymali za nie mąkę i cukier, a Laskowski powiedział do ojca, że dobrze zrobił. Ale kiedy Niemcy zażądali od Nusena wysłania dodatkowego kontyngentu mężczyzn do obozu koło Węgrowa, Nusen wpisał ojca na listę.

Podczas gdy ojciec przebywał w obozie, gdzie kopał przydrożne rowy, myśmy zachorowali na tyfus. Kiedy ojciec się o tym dowiedział, zaczął szukać sposobu, żeby uciec z obozu. Pewnego razu Niemiec, który ich pilnował, zwrócił uwagę, że ojciec w jednym miejscu kopie głęboko, jak należy, a w innym, którego tak nie widać, płytko albo zupełnie nie.

- Komm hier! - zawołał na ojca. A kiedy ojciec podszedł, Niemiec uderzył go szpicrutą zakończoną żelaznym jajkiem.

- To tak się kopie?! - zawołał.

Ojciec wrócił na miejsce i kopał tak głęboko, jak tylko mógł, dopóki ten Niemiec patrzył, a kiedy Niemiec się oddalił i na jego miejsce przyszedł granatowy policjant, ojciec się chwycił za brzuch i powiedział, że brzuch go rozbolał ze strachu, jak go ten Niemiec uderzył, i że musi iść w krzaki. A krzaki ciągnęły się aż do samego lasu, więc jak ojciec poszedł, to już nie wrócił, tylko został w lesie, a na drugi dzień przyszedł do nas do domu.

Ojciec wynajął u chłopca furmankę, położył na nią mamę i mnie, a małego Bućka zostawił u dziadka, i powiózł nas do szpitala. Ale ojciec nie zawiózł nas do szpitala do Mińska, gdzie chorych wykańczali, kazali im po prostu leżeć, aż umrą. Zawiózł nas do prawdziwego szpitala, do Węgrowa. Nie siedział na furze, gdy nas wiózł, tylko szedł obok i pomagał koniom. A w tym czasie sam już był chory, więc jak dojechalśmy do Węgrowa, to położono go razem z nami.

Kiedy mama i ja wyzdrowieliśmy, ojciec był jeszcze chory, więc wróciliśmy ze szpitala sami. A tu okazało się, że nasze mieszkanie zostało już zajęte przez kogoś innego i przez Nusen przydzielił nam miejsce w baraku razem z biedakami. Kiedy ojciec wrócił ze

szpitala, był bardzo chudy i ledwo się trzymał na nogach, ale tego samego wieczora poszedł do Nusena.

- Co ty sobie myślisz? - powiedział. - Obcym ludziom oddajesz mieszkanie w kamienicy, która jest własnością mojego ojca, a mojej żonie i dzieciom, co się ledwo wyratowali z tyfusu, każesz mieszkać w szopie z żebrakami?!

- A ty?! - odpowiedział Nusen. - Co ty wyprawiasz?! Uciekasz z obozu, a ja mam za ciebie odpowiadać?! Masz szczęście, że cię jeszcze nie złapali. Ja też mam żonę i dzieci!... Ani ciebie, ani twojej rodziny nie ma na liście mieszkańców! Skąd miałem wiedzieć, że wrócą ze szpitala?! Czy tak dużo ludzi stamtąd wraca?...

Nusen miał żonę, starszą od siebie, Frymkę, i zawsze robił to, co mu ona kazała. Miał też dwoje bardzo ładnych dzieci, dobrze odżywionych, z długimi włosami. Jeździły na rowerku o trzech kółkach, miały białe rajtuzki na sobotę, wykładane kołnierzyki, haftowane śliniaczki, jednakowe fryzury, tak że trudno było rozróżnić, które jest chłopcem, a które dziewczynką.

- Dlaczegoś mnie wysłał do obozu?! - upominał się ojciec, choć wiedział, że sprawa była raczej przegrana.

- A kogo miałem wysłać? Wszystkich, którzy byli zdadni, wysłałem. Może sam miałem iść?...

- A dlaczegoś nie wysłał tych swoich pachółków z drewnianymi pałkami, tych kryminalistów, którzy są u ciebie jako policja?...

- Ty się lepiej w moje urzędowe sprawy nie wtrącaj! - krzyknął Nusen i walnął pięścią w stół. I wtedy ojciec zauważył, że pod przykrytym długim obrusem stołem leży równiutko okrojony łeb czarnej jałówki. Bo gruby Nusen był nie tylko prezesem, ale i rzeźnikiem, i miał dawniej swoją rzeźnię, a później prowadził nielegalny ubój do spółki z innymi rzeźnikami i niektórymi handlarzami bydłem - ludzie o tym wiedzieli.

- Ja się do twoich urzędowych spraw nie będę mieszał, jak ty mnie i mojej rodzinie dasz przyzwoite mieszkanie - odpowiedział spokojnie ojciec.

- A jak nie?!...

- A jak nie... - ojciec schylił się pod stół po ten oderżnięty łeb i wyciągnął go stamtąd za uszy... Dodał wtedy Nusenowi jeszcze kilkadziesiąt złotych w gotówce i zamieszkaliśmy znowu jak ludzie, choć nie było nas na liście mieszkańców miasteczka.

Ale i to nie trwało długo. Pod koniec lata mężczyźni coraz częściej wybiegali przed wieczorem na rynek. Czytali, ogłoszenia i komunikaty, rozmawiali, a potem powracali z niespokojnymi oczyma i prowadzili przytłumione rozmowy z kobietami, którym talerze

wypadały z rąk. O szarej godzinie kobiety owijały się obszernymi, frędzlowatymi chustami, pod którymi ukrywały różne zawiniątka, i przemykały do domów swoich jasnookich, łaskawiej przez los nacechowanych sąsiadów.

Na jesieni wozy załadowane pierzynami i poduszkami, pożyczone od chłopów, skrzypiące, ruszyły w stronę Stanisławowa. Znów my jechaliśmy na wozie, a ojciec w butach z cholewami szedł obok i od czasu do czasu swoimi wysokimi, a raczej zawsze nieco uniesionymi, jakby pod niewidocznym ciężarem, plecami podpierał wóz. Miał zmarszczone brwi, które wydawały się przez to jeszcze gęściejsze, sine ślady zarostu wysoko aż pod oczami, a we wrześnieowym słońcu połyskiwała fioletowo jego trudna do uczesania czupryna gęstych, sztywnych włosów.

Nie wiadomo, co ojciec wiedział, a czego się tylko domyślał. W każdym razie nigdy nikomu zanadto nie ufał, a tym bardziej Niemcom. Wierzył zaś tylko sobie. Dlatego w Stanisławowie, który, jak się okazało, nie był wcale miejscem naszego przeznaczenia, ale tylko etapem naszych przeznaczeń, w ową noc, kiedy się wszyscy dowiedzieli, że rano mają stawić się całymi rodzinami, z walizkami, wyłącznie ręcznym bagażem, nie większym, niż są w stanie udźwignąć, tej nocy ojciec zdecydował, że my nigdzie się więcej nie stawimy. Kto może, ucieknie od razu na wieś, a kto, jak na przykład obaj dziadkowie i babcie, nie będzie w stanie uciekać, ten ukryje się u znajomych ludzi, a na wieś przekradnie się nocą, zaś na wsi damy sobie radę. Bo my byliśmy ze wsi i wiedzieliśmy, że cokolwiek by się miało stać, na wsi się tak łatwo nie ginie jak w mieście.

Położyliśmy się do łóżek w ubraniach, nakładając ich tyle, ile się tylko dało. Mama obudziła mnie wcześniej, aż zdawało mi się, że dopiero co zdążyłem zamknąć oczy. Okna były pozastłaniane kocami i paliły się świece jak w szabes. Mama podniosła mnie z łóżka, ponieważ sam nie byłem w stanie wstać. Zakładała mi trzewiki i płakała. Ojciec krzątał się po mieszkaniu i wiązał małe, lekkie tobołki. Buciek owinięty w błękitną kołdrę spał. On również nie mógł uciekać. Miał pozostać na razie u ludzi, którzy mieli dużo dzieci. Miał dopiero półtora roku i każdy mógł na niego powiedzieć, że to jego... Ale w ostatniej chwili mama sprzeciwiła się i nie chciała oddać Bućka kobiecie, która po niego przyszła, i wybiegliśmy z domu wszyscy razem.

To już nie była noc, kiedy biegliśmy szarą uliczką w stronę pola. Zewsząd słychać już było tupanie, i kołatanie, a nawet wystrzały. Wystrzały stawały się coraz częstsze, kiedy biegliśmy przez pole. Mama biegła z Bućkiem na rękach, przypasawszy go do siebie wielką, wełnianą chustą, a mnie wziął ojciec na plecy. Potem mama zatrzymała się i ojciec zatrzymał się również i wziął na ręce Bućka, a ja pobiegłem obok trzymając ojca za rękę. Potem mama

znów zatrzymała się i ciężko dysząc wzięła Bućka od ojca, a ojciec znowu zarzucił mnie sobie na plecy. Ale mama z Bućkiem na rękach zawróciła i dotarliśmy z ojcem na wieś bez mamy.

Kiedy ją znowu zobaczyłem, siedziała na środku izby, w Głębozczy, u gospodarza, u któregośmy się schronili. Miała na sobie tę samą dużą, wełnianą chustę z frędzlami, w której nie było jednak zawiniętego Bućka... Siedziała na stołku na samym środku izby i uśmiechała się, kiedy ojciec mnie przyprowadził.

- Gdzie Buciek? - zapytałem od razu.

- Nie ma Bućka - odpowiedziała.

- A gdzie jest?

- Nie ma go...

- Nie męcz matki - powiedziała gospodyni. - Przecież widzisz, że jest zmęczona. Jak ją będziesz dalej męczył, to sobie pójdzie i wcale nie wróci. Idź lepiej na podwórze, pobiegaj!

- Ale ja chcę wiedzieć, gdzie jest Buciek! - zawołałem.

Na wsi było dobrze. Wieś to były przestrzenie na których nie spotykało się ludzi, których nie chciało się spotkać, a tylko tych, którzy czekali na nas w ustronnych chatach, dawali nam jeść, pozwalali przenocować, znali nas. Jeśli ktoś obcy się zbliżał, zamykaliśmy się w pustej izbie, w której znajdowało się na ogół tylko łóżko, jedno, ale wielkie, że mogliśmy się wszyscy w nim zmieścić, a drzwi do takiej izby zasuwano się z drugiej strony szafą.

Pewnego dnia, kiedy jeszcze byliśmy w Głębozczy, zjawiała się u naszego gospodarza ciotka Itka. I wtedy dowiedzieliśmy się - od gospodarza, a nie od ciotki, bo ciotce nie powiedziano, że my jesteśmy - że dziadek i babka nie chcieli się schować i poszli do pociągu. Mówili, że są za starzy i za poważni na to, żeby uciekać, a co dopiero poniewierać po ludziach i kryć się. Dziadek był talmudystą. Żydzi znali go z tego, że nie z każdym raczył rozmawiać. Bo talmudysta to nie był zawód. Nie dawało to żadnych dochodów, a wtedy ludzie są rzeczywiście mało potrzebni. Talmudysta, tłumaczyła mi mama, to jest człowiek, który pragnie być mądrym. A ten, kto tego pragnie, ten jest, więc i dziadek był mądry. Z moim ojcem pogniwał się nie dlatego, że ojciec rozpoczął samodzielne życie od golenia twarzy i poszukał sobie własnego dziedzica, ale dlatego, że ożenił się ze zbyt ładną, a przy tym najbiedniejszą dziewczyną miasteczka, która do tego, jak wszyscy w okolicy mówili, wcale nie pragnęła wyjść za niego za męża. Ani dziadek, ani nikt z ojca rodziny nie był na ślubie, a dziadek zjawił się w naszym domu dopiero w dniu, w którym się dowiedział, że ja się urodziłem. Poza tym inni ludzie i ich sprawy nie interesowały go wcale. W bardzo

nielicznych wypadkach dopuszczał do siebie kogoś i wtedy udzielał dobrych rad, krótko i bardzo mądrze, ale takich, które na ogół były nie do przyjęcia. W Stanisławowie, kiedy ojciec powiedział, że nie pozwolimy się dalej wywieźć, i załatwił kryjówkę dla dziadka i babki, dziadek nic nie odpowiedział i wszyscy byli przekonani, że się zgodził. Nie było przecież żadnej lepszej rady. Ale jak się okazało, i dziadek, i babka wraz z moim stryjkiem, dotkniętym na umyśle Mejerem, i trochę starszą od Itki ciotką Rywką, która mogła uciec, ale nie chciała zostawić rodziców i swojego biednego, starszego brata, poszli do pociągu. Nie sądzę, żeby mój dziadek nie wiedział, dokąd ów pociąg jechał... Ale wiedział on również, co czekało tych, którzy uciekali. On wiedział wszystko o ludziach, w każdym razie to, co najważniejsze, bo ich małymi sprawami nigdy się nie zajmował. Wiedział również, że ten świat istnieje na mocy pewnej umowy, w której postawiono kilka takich warunków, że jeśli ich nie dotrzymamy... Poszedł więc do pociągu, żeby umrzeć dobrowolnie, jak człowiek. A nam nic nie powiedział. Był na to za mądry. Może obawiał się. Chciał jednak, żebyśmy na wszelki wypadek uciekali, był mądry...

Gospodarz dowiedział się od Itki również, że Nusen i jego żona są w okolicy. Że uciekli z pociągu, ale bez swoich pięknych dzieci.

Kiedy mama to usłyszała, jej twarz zaczęła drżeć i mama ukryła ją w poduszkę. Ale nadal drżały jej ramiona i plecy.

Ona chciała Bućka ratować. Chciała się schować razem z nim, ale powiedzieli jej, że nie można, bo Buciek mógłby się odezwać albo zacząć płakać. Dlatego ukryli ją samą, a Bućka wzięli do siebie, do izby. Buciek był ładny i miał duże, niebieskie oczy.

Bardzo rzadko płakał, lubił tylko głośno się bawić. Często naśladował samolot.

Mama słyszała, jak przyszli. Leżała na strychu, w sianie, przy samych schodach i wszystko słyszała.

- A czyje to dziecko? - pytali.

- Nasze.

- Ee tam, za ładne na wasze!... - roześmiał się jeden.

- I do tego jeszcze obrzezane...

Buciek nie zapłakał. Wcale się nie bał. Przyglądał im się tylko tymi swoimi niebieskimi oczami, że aż się musieli śmiać. Pokazywali go sobie nawzajem i zabierając go z sobą powtarzali: - Jakie to ładne dziecko... - i nie zrobili gospodyni nic złego, w takich byli dobrych humorach. Mama nie mogła ukryć pewnej dumy, kiedy to opowiadała... - Może go któryś wziął dla siebie - mówiła. - Może mu nie zrobili nic złego?

Siedzieliśmy w Głębozycy do pełnej jesieni. Może zostalibyśmy dłużej, ale do wsi

przyjechała komisja. Z początku chciano nas ukryć w słomie, w stodole, w której siedziała ciotka Itka, ale ojciec się sprzeciwił. Powiedział, że niedobrze, kiedy wszyscy są razem. Zresztą stodoła to żadna kryjówka, mówił, i lepiej, żeby gospodarz kazał ciotce od razu uciec.

Ale ciotka nie miała odwagi uciekać i schowała się w stodole pod strzechą, a myśmy się ukryli w takim samym miejscu w oborze. Było tam trochę słomy, a na dole hałasowały krowy, tak że czuliśmy się rażniej. Poza tym w razie czego trudniej byłoby nas tam usłyszeć.

Przez szpary w strzesze widzieliśmy, jak zajechała na podwórze żółta bryczka, jak jedni weszli do chałupy, a inni udali się w obejście i do stodoły, w której ukryta była ciotka Itka. Zabawili tam trochę, a potem wyszli prowadząc ciotkę Itkę z kosmykami słomy w jej długim, czarnym warkoczu. Ciotka nic nie mówiła, tylko rozglądała się, patrzyła na wszystkich ludzi, którzy stali na podwórzu, i była czerwona na twarzy. I widzieliśmy, jak szła przez podwórze, a ona wcale nie wiedziała o tym, że my byliśmy tak blisko i że cały czas na nią patrzyliśmy. Nigdy się o tym nie dowiedziała.

Później już nie patrzyliśmy, tylko schowaliśmy głowy w słomę, bo otworzyły się drzwi obory, w której byliśmy schowani, i tamci zaczęli po niej chodzić. Nie udało im się do nas dotrzeć, bo w oborze było wszędzie pełno świeżego, krowiego nawozu i nigdzie żadnej drabiny, żeby dostać się na górę, a może dlatego, że krowy podniosły ogromny hałas i nie chciały się uspokoić, dopóki nie wyszli?...

I jeszcze tego samego wieczora opuściliśmy Głębozycę, udając się na przełaj przez las.

Odtąd bardzo często chodziliśmy przez las. Las był wilgotny, pachniało w nim jesienią i mgłą. Nie było w nim żadnych dróg i tylko ojciec wiedział, którędy iść. Las nas osłaniał, ale osłaniał on również wszystko, co było przed nami i dookoła nas i dlatego nie mogliśmy się czuć w lesie bezpieczni. Z jednej strony szliśmy my, a z drugiej, na przykład, gajowy. Do niego należał las. Drzewa, jagody i grzyby, skóry i mięso oraz pieniądze, których podobno było wtedy w lesie więcej niż kiedykolwiek. Gajowy nie sieje, nie orze. Zakłada strzelbę na plecy i idzie do swojego lasu... Gajowy znał wszystkie miejsca, którymi się chodzi, i wszystkie sarny i zające wychodziły prosto na niego... Nieruchomiały i stawały słupka...

- A to co? - pyta gajowy. - Spacer? W biały dzień?...

- A tak... dla złapania powietrza...

- I z dzieckiem? Się nie przeziębisz?...

- A nie, gdzież tam, proszę pana... Dziecko zahartowane.

- To dobrze - mówi z namysłem gajowy. - To bardzo dobrze - mówi i patrzy, a ja

usiłuję schować głowę, przyciskając ją do brzucha matki, a ojcu drżą ręce, które w żaden sposób nie mogą trafić do kieszeni...

- Eee, nie trzeba, niech pan nie szuka... - mówi łagodnie gajowy. - Ja tam człowiek niechciwy, o cudze nie stoję...

Ręce ojca zatrzymują się, choć nie przestają drżeć.

- Pan gajowy to dobry człowiek - próbuje się uśmiechnąć matka, ale twarz jej za bardzo zaczęła drżeć, więc przestała. - My tu, proszę pana gajowego, tylko po drodze... My tylko przejdziemy i pójdziemy sobie dalej...

- Taaak... - mówi powoli gajowy. - Ja człowiek niechciwy. Mnie tam co Bóg da, to dobrze...

Ojciec spogląda na matkę i widzi w jej oczach niepokój, więc znów przesuwa rękę ku marynarce.

- Mnie niczego nie trzeba... - dodaje gajowy.

Ręka ojca znów zatrzymuje się.

- ...Czasy takie, że jeśli człowiek wyniesie cało głowę, to i tak już dosyć bogaty.

- To prawda... - odpowiada zupełnie już zdezorientowany ojciec.

- Święta racja! - przyznała natychmiast matka.

- Kto by tam dziś patrzył o pieniądze albo złoto!... Każdemu przede wszystkim życie miłe.

- To może my już sobie pójdziemy, panie gajowy? - powiedział niepewnie ojciec.

- Powiedziałem, każdemu życie miłe... - ciągnął gajowy udając, że nie słyszy tego, co ojciec mówi. - Człowiek musi robić to, co mu każą - westchnął. - Takie czasy!...

- Ale przecież my, proszę pana, tylko... - ręce ojca pobiegły po ubraniu i trafiły wreszcie do kieszeni na jego piersi - ...tylko przechodziliśmy...

- My tylko dlatego, że po drodze... - dodała matka.

- Z dzieckiem?... - kwaśno uśmiechnął się gajowy.

Ręce ojca biegały od jednej kieszeni do drugiej, wyjmowały coś stamtąd i podawały.

- Niech pan to weźmie, panie gajowy, proszę!...

- Prosimy, naprawdę, bardzo prosimy, niech pan weźmie...

- Na wypadek jeśli, broń Boże, jakaś szkoda w lesie...

- Właśnie, człowiek nie patrzy, czasem niechcący nie zauważy...

- A wiecie wy, co czeka gajowego, jeżeli „nie zauważy”?

- My wiemy, my rozumiemy i nie chcielibyśmy, broń Boże, żadnych przykrości dla pana gajowego, dlatego zaraz sobie pójdziemy, dobrze?...

- I nikt nas tu nie zobaczy, naprawdę, pójdziemy od razu, naprawdę, nie zostaniemy w tym lesie...

- Tak, chodźmy, szkoda czasu. Chodź, synku, powiedz do widzenia panu i chodźmy!...

- Kiedy nie mogę, kochani - mówi gajowy potrząsając ręką, na którą ojciec nakładł mu różnych rzeczy. - Bóg mi świadkiem, że nie mogę...

- Ale zaklinamy pana na pańskie dzieci! Niech pan weźmie to, a my sobie pójdziemy...

- Puściłbym, Bóg mi świadkiem, że puściłbym, ale posterunek... Niedaleko, niecałe dwa kilometry stąd...

- To nic, nikt nas nie zauważy... A ten pierścionek też niech pan weźmie... - powiedziała matka, ściągając z palca swój pierścionek. - On jest z prawdziwym kamieniem - dodała.

- Na co też człowiek się musi narażać... - westchnął gajowy. - Ale co robić, trzeba przecież być człowiekiem... No, dobrze, niech już pani nie płacze, kobieto... Prawdę mówiąc, to dziecka mi szkoda, bo tak... No, pokaż się, mały!...

- Nie, nie, mamusiu, nie!... - zawołałem nie pozwalając oderwać się od sukienki matki.

- A niech mi tu więcej wasza noga nie postoi! - zawołał jeszcze z daleka gajowy. - Bo na drugi raz i święty Boże nie pomoże!...

Kryliśmy się w lesie do zmierzchu. Siedzieliśmy pod rozłożystymi, iglastymi drzewami, przy pniu, gdzie było zacisznie i sucho. Nisko wyrastające gałęzie spływały do samej ziemi, tworząc gęsty, cienisty parasol. Tylko osypujące się, suche igły wplatały się we włosy i kłuły wpadając za kołnierz.

Kiedy robiło się ciemno, ojciec żegnał się z nami, a mama przyciągała mnie do siebie bliżej i kazała być jeszcze bardziej cicho. Spoglądaliśmy w kierunku, w którym trzaskały, a potem jeszcze przez jakiś czas chwiały się gałęzie po ojca odejściu.

Zostawaliśmy sami. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy ojciec wróci. „Kiedy”? Nie wiedzieliśmy, czy w ogóle wróci. Mógł nie wrócić wcale. To zależało od tylu rzeczy. Gdyby go schwytali, gdyby spotkał, kogo nie trzeba... A jeśli musiał się ukryć i czekać do późna w nocy? My musieliśmy siedzieć i czekać na niego, nigdzie się nie ruszać, żeby do nas trafił. A jeśli go dawno już mają i teraz szukają nas w tym lesie?... Czy ten trzask gałęzi i szelest to ojciec? Czasem zawiśnie sobie pomiędzy ziemią a niebem mała, zeschnięta gałązka, nie wiadomo jakim sposobem i nie wiadomo po co, a potem również nie wiedzieć skąd i jak nagle coś trzaśnie lub spadnie tuż za plecami... W takich chwilach pierzchał nasz całodzienny głód, a jedynym naszym pragnieniem było, żeby ojciec jak najprędzej wrócił. Żeby nie

przynosił ani zimnej zupy, ani mleka, żeby tylko nareszcie wrócił i żeby nigdy więcej już nie odchodził.

A po jakimś czasie ojciec zawsze wracał i przynosił garnek z gęstą zupą, zgęstniałą od chłodu i sosnowych igieł, które powpadały do niej po drodze, gdy ojciec przekradał się z garnkiem wśród gęstych, iglastych krzaków, i które nadal podczas naszego jedzenia wpadały, tak że musieliśmy, pomimo że byliśmy bardzo głodni, jeść naszą zupą ostrożnie, uważając na kłujące ości, jak gdybyśmy jedli nie zupę, lecz rybę.

A kiedy zapadła noc, przenosiliśmy się do umówionej stodoły, najczęściej na jedną noc i jeden dzień, aż do następnej nocy, ale czasem na dwa dni, ażeby kolejnej nocy odejść i odbyć dalszych parę kilometrów. Tak było bezpieczniej i dla nas, i dla ludzi, którzy nas przyjmowali, i naprawdę trudno nas było wytropić. Nocami, gdy szliśmy, ojciec i matka trzymali mnie z jednej i z drugiej strony za ręce, z jednej strony ojciec, a z drugiej matka. Czasem pozwalali mi przysiąść na chwilę. A jeśli trzeba było naprawdę się śpieszyć, ojciec brał mnie na plecy. Wystarczyło mi wtedy na moment do nich przyłgnąć, abym od razu zasnął.

Mogliśmy tak chodzić do późnej jesieni, ale zimą to nie byłoby możliwe. Dlatego ojciec robił wszystko, żeby znaleźć dla nas jakieś zimowanie, zanim nastaną śniegi i mrozy. Udało mu się to załatwić u Śliwy, na kolonii położonej z dala od wsi. Spaliśmy wtedy znów w łóżku i nie musieliśmy codziennie rozstawać się z ojcem.

U Śliwy z początku próbowano trzymać mnie w izbie razem z innymi dziećmi, żebym się z nimi bawił i biegał po podwórzu, bo tak było nawet bezpieczniej. Ale ja nie umiałem się już bawić z dziećmi i wcale nie miałem ochoty biegać. Więc dzieci rozczarowane zaczynały mnie szturchać, a czasem nawet mocniej okładać, a ja nic nie mówiłem, bo myślałem, że tak trzeba. Aż pewnego razu parobek, który wstąpił do Śliwy, zaczął mi się przyglądać, jak siedziałem na ławie przy ścianie, i zapytał:

- A czyje to? Przecie nie wasze?...

- A nie, to od rodziny z miasta. Dali na podchowanie, bo wiecie, jak to teraz w mieście, głód i chłód.

- A czemu ono takie jakieś niemrawe?

- A przybiedzone trochę... I trochę się pewno wstydzi, bo to takie skromne dziecko...

- Ee i tak jakoś patrzy... To musi być chyba żydowskie dziecko...

Więc zabrano mnie do drugiej izby, chłodnej i zabitej deskami, gdzie siedzieli ojciec i matka. Był to pokój gościnny, do którego nikt nie zaglądał zimą i w którym nikogo nie przyjmowano, chyba że w czasie wesela, ale na żadne wesele się nie zanosilo. Wieczorem

wchodziła Śliwina z karbidową lampką o ostrym zapachu, a z zapachem karbidu mieszała się woń parujących kartofli, które przed nami stawiała w saganku. Mieliśmy też, na wszelki wypadek, przygotowaną kryjówkę za szafą, w sztucznej ścianie, a raczej pomiędzy ścianami. W razie niebezpieczeństwa wchodziliśmy tam. Można było tam stać albo siedzieć, leżeć nie było można. Kiedyś przesiedzieliśmy tam cały dzień, nie mogąc wyjść za potrzebą. To był najgorszy nasz dzień. Poza tym kryjówka miała jeszcze jedną wadę, że wchodziło się do niej tylko z pierwszej izby. Dlatego wtedy, kiedy przyszedł sołtys, nie mogliśmy z naszej kryjówki skorzystać.

Sołtys przyszedł wieczorem. Gdyby przyszedł w dzień, wiedzielibyśmy, że idzie, i zdążylibyśmy się schować. W dzień zawsze ktoś uważał na drogę, a Niemcy nigdy nie chodzili wieczorem. Sołtys przyszedł wieczorem, on wiedział, kiedy przyjść. Zawołał do siebie parobka, tego samego, który powiedział na mnie: „Coś mi się zdaje, że to musi być żydowskie dziecko”. Sołtys zaprosił go do siebie, podpili sobie, a potem wzięli w ręce kije i ruszyli do Śliwy.

Traf chciał, że w tym właśnie czasie szedł do Śliwy Słoń. Był to kolega wujka Arona. Był blondynem, albinosem, więc kazał nazywać się Stacho... Ze słonia nie miał nic oprócz tego, że był naprawdę mądry jak słoń. Słoń zresztą wcale nie wiedział, że my siedzieliśmy w drugiej izbie u Śliwy, ale zaniepokoiło go to, że sołtys szedł do Śliwy z parobkiem i obaj z takimi dużymi sękatymi kijami. Poza tym Słoń też sobie przedtem wypił. Kiedy tamci się zbliżyli, zawołał do nich, przywitał się i zapytał, dokąd idą, a oni odpowiedzieli:

- Do Śliwy.

- Do Śliwy, a po co?.

- A Żydów szukać!

- Ach, Żydów?...

- Tak, Żydów.

- To ja idę z wami! - powiedział Słoń.

Przychodzą, a Stacho od razu na cały głos:

- Niech będzie pochwalony, panie Śliwa, przyszedliśmy do was Żydów szukać!

Śliwina popatrzyła na Słonia nie rozumiejąc, kto z nich właściwie zwariował, ona czy Słoń, a jednocześnie cała zmartwiała.

- Słyszeliśmy, że trzymacie u siebie Żydów - powiedział sołtys.

- Sołtys podpił sobie i teraz żartuje - uśmiechnęła się Śliwina. - My? Żydów?...

Ale sołtys nie żartował i powiedział, że chciałby poszukać.

- Proszę, niech sołtys szuka - powiedziała Śliwina, chociaż miała okropnie ściśnięte

gardło i czuła w kolanach watę. Jednak fakt, że był tam Słoń, dodał jej odwagi, więc podając sołtysowi klucz do naszej izby, drugą ręką przekreśliła mało widoczny zza szafy, która stała tuż przy drzwiach, przybity jednym gwoździem nad drzwiami obrotowy, drewniany skobelek.

Sołtys przekreślił klucz, ale drzwi się nie otworzyły. Przekreślił jeszcze raz, ale i tym razem drzwi nie puściły. Potem jeszcze ze dwa razy przekreślił tam i z powrotem i również bez skutku.

- Tam ktoś jest i trzyma! - powiedział sołtys.

- Nikt nie trzyma - zaprzeczył Śliwa.

- Ale! Kto też może trzymać, kiedy nikogo nie ma? - uśmiechnęła się naiwnie Śliwina.

- A ja wam mówię, że tam ktoś jest! - powiedział sołtys, przykładając ucho do drzwi. - Tam słyhać jakieś chrobotanie...

- Zdaje się sołtysowi, ja nic nie słyszę - powiedziała przykładając ucho Śliwina.

- Ja też nie - powiedział uczyniwszy to samo Słoń.

- Wyraźnie słyhać jakieś chrobotanie, sołtysie - powiedział przyłożywszy ucho parobek.

- Chyba że myszy albo kot - wyraził przypuszczenie Śliwa.

- Raczej powiedziałbym myszy... - stwierdził popatrzywszy na Śliwę Słoń.

- Ale tam musi ktoś trzymać, bo inaczej drzwi by się otworzyły - rozumował sołtys.

- Nikt nie trzyma, sołtys pijany; nie może nawet drzwi otworzyć!...

W końcu jednak sołtys musiał zobaczyć wiszący nad drzwiami skobelek. Zobaczył go, przekreślił i otworzył drzwi. Otworzył je na oścież i stanął w nich razem z parobkiem, a Śliwa i Słoń stanęli tuż za ich plecami. Śliwina przywarła do ściany. W gościnnej izbie wtedy już rzeczywiście nikogo nie było, przez jedno z wyrwanych zamarzniętych okien wiał przenikliwy chłód i straszły powyrywane rękami ojca deski.

My zaś szliśmy już wtedy przez puszyste, białe pola, zostawiając za sobą w śniegu rozpaczliwie głęboki, ciemny ślad. Byliśmy już bardzo daleko, gdy nad białymi głowami drzew pojawił się księżyc i rozjaśnił ten cały srebrzysty świat zimowych bajek. Z naszych ust ulatywały białe obłoczki pary, nogi ugiwały się i zapadały w śnieg coraz głębiej i ja nie miałem już siły ich z tego śniegu wyciągać, zbyt krótkich ze zbyt głębokiego śniegu, więc ojciec i matka wzięli mnie między siebie i wyciągali mnie ze śniegu za ręce, więc i ręce zaczęły mnie boleć, i zacząłem płakać i prosić, żeby się zatrzymali, bo nie mogę już iść. Ale oni nie zwalniali kroku, tylko ojciec zabronił mi płakać, bo mógłby nas kto usłyszeć. Więc nie płakałem, tylko prosiłem, żeby się zatrzymali odpocząć. Ale powiedzieli, że nie wolno się zatrzymać, bo tamci mogliby nas dogonić, a poza tym musieliśmy gdzieś dojść, zanim

skończy się noc. Więc zatrzymajmy się tylko na chwilę, prosilem. Ani na chwilę, powiedział ojciec, bo jak się zatrzymamy, to zasnę. To dobrze, bo ja właśnie chcę spać, powiedziałem puszczając jego rękę i zapadłem się w śniegu. Ale tylko na chwilę zdążyłem się do śniegu przytulić, bo ojciec natychmiast mnie od niego oderwał, krzychał mi coś prosto do ucha i ciągnął za ramiona po śniegu. Groził, że jak nie będę szedł, to mnie zostawi, a oni pójdą sami. Ale ja się wcale tego nie bałem. Powiedziałem, że dobrze, żeby mnie zostawili, że ja już nie chcę iść. Wtedy mama zaczęła płakać i prosić mnie, żebym szedł, bo ani ojciec, ani ona nie mają już siły mnie ciągnąć. Więc ja odpowiedziałem, żeby mnie zostawili chociaż na chwilę, to ja sobie odpocznę, a jak tylko odpocznę, zaraz za nimi pójde i ich dogonię, niech mnie zostawia i pójdą sami... I nie słyszałem już, co więcej mówili, bo moje nogi zaplątały się zupełnie w śniegu, a łzy zaszkliły mi oczy, i zamknąłem je, bo i tak nic nimi nie widziałem i od razu przyśniła mi się wielka, miękka pościel, w której nie wolno mi było się położyć, bo ktoś biegł za mną, gonił mnie i krzychał. I musiałem uciekać, biegnąc przez tę zapadającą się pode mną białą pościel, zapadając się w niej i nie mogąc wyciągnąć moich grzęznących nóg. Czułem ogromny ból w kolanach i w rękach, które przed siebie wyciągałem, i ogromny, bezskuteczny wysiłek, jaki się czuje we śnie.

Obudziło mnie szczekanie oraz dobrze mi znany zapach obory i stajni. Siedziałem z mamą pod bezlistnym, zimowym krzakiem oparty o jej kolana. Ojciec, jak zawsze w takich razach, skradał się w kierunku zabudowań, a my czekaliśmy, aż ustanie szczekanie psa, i dopiero wtedy ruszyliśmy w ślad za nimi. Drzwi obory lekko skrzypnęły, ojciec pokazał mamie drabinę. Mama wchodziła pierwsza. Kiedy się znajdowała na górze, słychać było szum moszczonej słomy albo siana i wtedy ojciec podsadzał mnie, a mama chwyciła mnie wyciągniętymi z ciemnej czeluści rękami. Wyglądało to bardzo nieswojo, ale wiedziałem, że te wyciągnięte po mnie ręce to mama.

W międzyczasie krowy rozbudziły się i zaczęły niepokoić, ale ojciec uciszył je zwracając się do nich po imieniu. Okazało się bowiem, że je znał. A i one, okazało się, jego znały. Bo były to jego własne krowy i stały na swoich dawnych miejscach w dworskiej oborze, a my znajdowaliśmy się prawie w naszym dawnym domu. Ojciec przytknął mi do ust wielką, ciepłą butelkę, ciepłą od dopiero co wydojonego mleka, a ja piłem i zasypiałem. Kiedy zasypiałem, budził mnie i bardziej przechylał butelkę, aż nie nadażalem pić, zachłystywałem się i zasypiałem czując przyjemne ciepło ściekające po moich policzkach, uszach i szyi.

Byliśmy znowu w domu. Doiliśmy nasze własne krowy. Cały dzień słyszeliśmy koło zabudowań głosy naszych dawnych znajomych, choć nikt z nich o tym nie wiedział, że

byliśmy tak blisko nich, że ich słyszeliśmy, tak jakbyśmy znowu byli wśród nich. Jakbyśmy byli duchami, które przychodzą na swoje dawne miejsca, żeby się przyjrzeć tym miejscom i ludziom, wśród których kiedyś żyli, a tamci wcale nie wiedzą o tym, że ktoś, kogo nie widzą, widzi ich i słyszy...

Dopiero następnego nocy ojciec zapukał do dworskich okien i obudził dziedzica i dziedziczkę, przepraszając, że ich obudził w nocy, i spytał, czy nie moglibyśmy się zatrzymać w oborze? Dziedzic pozwolił, tylko na dzień kazał nam się przenieść do spichrza, bo do obory wchodziło w dzień zbyt wielu ludzi. Dziedziczka dała ojcu chleba i mleka, i ciepłą chustę dla mamy, a dla mnie rękawiczki i szalik.

Leżeliśmy w dworskiej oborze, a w dzień pomiędzy workami w spichrze i słuchaliśmy okrzyków parobków, głosów koni i krów, skrzypienia żurawia na majdanie i dzwonienia wiader. Wydawało się, jakby nic się nie stało. Nasz dom stał tam, gdzie przedtem, zarówno w dzień, jak i w nocy, krowy ryczały, ludzie nabierali wody za pomocą porośniętego wiecznym mchem żurawia, zarówno dni, jak i noce były tutaj jak dawniej. Więc chyba naprawdę nic się jeszcze takiego nie stało, myśleliśmy, i dodawało nam to otuchy.

Podczas gdy ja i mama wyczekiwaliśmy w oborze i w spichrze, ojciec udał się, żeby odszukać Słonia. Wiedział od Śliwy, gdzie Słoń przebywa, i przy pomocy Słonia odnalazł kryjówkę mojego drugiego dziadka i babki, i resztę rodziny mamy, a było to w lesie, na Biduli, w ziemiance.

Babcia wyprawiła bal na nasze przyjęcie. Przed wejściem do ziemianki rozpalono ognisko. Z mąki, którą przyniósł ojciec, ugotowano kluski i polano je mlekiem. Kto chciał, siedział przy ogniu, kto chciał, przechadzał się, żeby się wyprostować wśród drzew i złapać świeżego powietrza. Babcia i dziadek byli starzy i przybiedzeni jak zawsze, tylko ciotki miały włosy krótko obcięte jak u mężczyzn i chodziły w męskich marynarkach, a najmłodszy ich brat, mój wujek, którego nigdy nie nazywałem wujkiem, bo miał tylko trzynaście lat, był bardzo blady i skarżył się, że nie może widzieć na oczy. Przed świtem ognisko zostało starannie zasypane i ułożyliśmy się jedno obok drugiego na dnie przestronnej ziemianki.

Ziemianka była wykopana głęboko, solidnie umocniona i wsparta niestruganymi palikami, wymoszczona gałęziami i słomą. Nie było w niej ani zimno, ani mokro i było dosyć miejsca dla wszystkich. Było tylko bardzo ciemno. W dzień jedyne światło dawały cieniutkie szparki zrobione specjalnie do oddychania, a w nocy nasze dyskretne ognisko lub księżyc. Zupełnie jakby na świecie była tylko noc. Najlepiej było tym, którzy umieli cały dzień spać i nie czuli przez sen, jak gryzły ich wszy, a budzili się tylko w nocy, wychodzili za potrzebą, a wszy strącali w ogień. Mama płakała nie nadążając iskać mojej głowy. Rozpaczała, że te

wszy były takie duże. Ojciec pocieszał ją, że jak przetrwamy zimę, to znowu znajdzie się jakieś lepsze miejsce, a na razie nie wolno się ruszać, bo łatwo jest nas wytropić i można gdzieś zamarznąć po drodze.

W tej samej okolicy przebywała grupa Słonia. Znajdowali się tam bracia Brzozacy: wielki Niutek, Biunek, Manes i Abel oraz mój wujek Aron i inni samotni, i tacy, którym nie udało się uratować swoich rodzin. Sami mężczyźni. Przetrwali oni potem w tym lesie dłużej niż ktokolwiek. Przyłączył się do nich również i mój ojciec, gdy został sam. Wujek Aron nie był właściwie moim wujkiem, miał tylko nim być, nie zdążył, bo miał się ożenić z moją biedną ciotką Itką, tą, którą zabrali ze stodoły w Głębozczyce Łotysze. Aron kiedyś zalecał się również do mej mamy, ale i wtedy wyprzedził go mój ojciec. Zamieszkał więc w Radzyminie, gdzie wraz z Niutkiem i Biunkiem handlowali bydłem. Przyganiaли krowy i do Dobrego, do rzeźni Nusena. Kiedy zostali w Radzyminie otoczeni kolczastym drutem, przekupywali strażników i wychodzili w nocy, a wracając na drugą albo na trzecią noc, przyprowadzali z sobą krowy z zakneblowanymi pyskami. Byli, można powiedzieć, głównymi żywicielami getta i nie przejmowali się zbytnio, myśląc, że jeśli tylko na tym polega ta wojna, to da się jakoś ją przeżyć. Ale pewnego razu, gdy wyszli i nie było ich przez dwie noce, a potem chcieli powrócić - radzymińskiego getta nie było... Dlatego zostali sami. Tylko żona Niutka zdołała się ukryć, potem utleniła włosy i pojechała do Warszawy, gdzie ktoś wystarał się dla niej o aryjskie papiery. Poza tym uratował się wtedy młodszy z Brzozaków, Abel, który oprócz tego wyprowadził ze sobą starszą córeczkę Biunka. Szedł do pociągu obok Biunka żony, która trzymała młodszą dziewczynkę na rękach. W Falenicy, gdy ich wprowadzili na stację, Abel wbiegł pomiędzy stojące luzem wagony na bocznicy, pociągając za sobą małą, którą prowadził za rękę. Zrobił to tak nieoczekiwanie, że nawet Biunkowa nie zorientowała się, kiedy to się stało. Abel wbiegł z małą na podwórze jakiejś willi. Było lato, a oni byli ubrani w swoje najlepsze zimowe rzeczy, których nałożyli na siebie tyle, ile się tylko dało. Na podwórku stały dwie staruszki, którym wystarczyło rzucić okiem, ażeby zrozumieć, co oni byli za jedni. Ukryły ich w piwnicy, w której przesiedzieli do nastania nocy. Cały dzień trwała w okolicy nagonka z psami, ale staruszki polały ścieżkę wodą i przysypały żółtym piaskiem, jakby to była Wielkanoc. Mała została ukryta u Śliwy, a potem, kiedy myśmy tam byli, znajdowała się u Sadowskich.

Abel zaś zginął w pół roku później, kiedy poszedł do Podorewskiego. Zginął razem ze swoim bratem Manesem, ponieważ obaj tam wtedy poszli. Nie chcieli słuchać Słonia ani starszych braci. Była zima i przycisnął ich głód. Podorewski zaś był dziedzicem na Piwkach, na najlepszej ziemi w okolicy, był najbogatszym i najbardziej wykształconym dziedzicem,

jakiego znaleźliśmy, magistrem filozofii, w swoim czasie Brzozacy z nim handlowali.

Nie poszli do niego ani po pieniądze, ani po kosztowności, które u niego zostawili. Chodziło im tylko o trochę mąki, kaszy, ziemniaków i słoniny. Podorewski wpuścił ich i powiedział, że im da wszystko, czego potrzeba, tylko żeby na razie schowali się, żeby ich nikt nie zobaczył, a on im sam wszystko przygotowuje. Więc Abel i Manes zeszli do piwnicy, którą im wskazał Podorewski. Weszli w głęboki, ciemny otwór, a Podorewski zamknął klapę nad ich głowami, na klapę postawił wielką, ciężką skrzynię, a sam usiadł na skrzyni i czekał na Niemców, po których kazał zadzwonić. Abel i Manes siedzieli w piwnicy aż do rana, bo Niemcom nie chciało się przyjeżdżać w nocy. Nie wiedzieli, na co naprawdę czekali, bo kiedy pukali w drewnianą klapę, Podorewski nachylił się i mówił, żeby siedzieli spokojnie, bo na razie jest niebezpiecznie wyjść. Więc siedzieli i do ostatniej chwili nie wiedzieli. Tego im Podorewski oszczędził...

Żydzi to były upiory, myślał Podorewski. Wychodziły spod ziemi w nocy i skradały się pod oknami. Chłoptwo było ciemne i zabobonne. Grzech, mówili, nie pomóc. Ale Podorewski był filozofem. Czyż można było, myślał, cokolwiek tu pomóc? Chyba że tylko przez skrócenie męki... Nie chodziło mu o pieniądze, które ewentualnie po nich zostaną. Przecież był i bez tego bogaty. Chociaż, jeśli miałyby dostać się Niemcom, myślał, albo zupełnie przepaść... Podorewski był filozofem.

Z rana ludzie widzieli, jak do tej samej ciężarówki, którą powieszono Abła i Manesa, wsadzono również starego Żyda z małym chłopcem, jego wnuczkiem. Podobno ten stary Żyd zaczął prosić, żeby ich puścili, że nie o niego mu chodzi, tylko o wnuczka. „Co my możemy poradzić, kiedy wy, Żydzi, jesteście zapisani u Hitlera w czarnej księżce”, żartowali Niemcy. „Zresztą jak możemy was puścić? A co by na to powiedzieli ci, co was wydali?...”.

Po tym, jak to się stało z Ablem i Manesem, Aron oświadczył, że aby mogli żyć, niezbędna im jest broń. Słóż był tego samego zdania, ale skąd, w ich sytuacji, ją wziąć?

- Pójść do partyzantów - powiedział Aron.

- Do jakich partyzantów? Nie dość ci, że jesteś Żyd, chcesz jeszcze nadstawiać głowę jako partyzant?

- Ja chcę tylko mieć broń - powiedział Aron. - Chcę ją mieć na wszelki wypadek, żeby żaden sukinsyn, wszystko jedno, dziedzic czy chłop, nie mógł zamknąć mnie w pułapce jak mysz ani wlec do Niemców jak barana do rzeźni.

- Jak sobie chcesz, to idź i szukaj twoich partyzantów - powiedział sceptycznie Słóż.

Aron szukał, dowiadywał się, w końcu znalazł kogoś takiego. Obejrzeni go, zgodzili się, że jest młody i zdrowy, i umówili się z nim w nocy, na skraju wsi. Aron poszedł. Wziął

najcieplejsze ubranie, pieniądze, tak jak się umówili, wszystko najlepsze, co tylko miał. I jeszcze tej samej nocy wrócił - bez pieniędzy, bez ubrania i boso...

- No i co? - zapytał Słoń.

- Partyzantów to oni mają dosyć - odpowiedział Aron. - Brak im tylko ubrania, pieniędzy i broni...

Pod koniec zimy przysła do lasu Złatka, która ukrywała się razem z Nusenami. Razem z nimi uciekła z pociągu, w którym zostały Nusenów dzieci. Podobno mieli dzieci wyrzucić najpierw, mówiła Złatka. Próbowano je wyrzucić, ale one nie chciały, krzyczały, nie pozwalały się oderwać od matki. Dlatego Nusenowa zdecydowała się wyskoczyć pierwsza. Sądziła, że wtedy dzieci łatwiej pójda w ślad za nią. Ale dzieci, widząc matkę wypadającą z pędzącego pociągu, wpadły w prawdziwą rozpacz i uczepiły się rąk i nóg ojca. W międzyczasie wyskoczyła Złatka, a za nią jeszcze ktoś i rozległy się wystrzały. Ludzie zaczęli krzyczeć, żeby zamknąć okno, bo Niemcy zorientują się, że to tu, przyjdą do wagonu i wszystkich na miejscu wymordują. Nusen nie wiedział, co robić. Jego żona już była za oknem, a pociąg przyśpieszał biegu. Dzieci zaś chwyciły się framug wybitego okna i nie pozwalały się wyrzucić. Wtedy ludzie zaczęli wołać, żeby skakał sam, póki czas, a oni wyrzucą mu dzieci, że dzieci łatwiej się pozwolą wyrzucić, kiedy zobaczą, że zostały same. Wszyscy byli tego samego zdania, wszyscy wołali, krzyczeli, wreszcie zaczęli Nusena podsadzać i Nusen nawet nie zauważył, kiedy wypadł z pociągu. Kiedy oprzytomniał, podniósł się i pobiegł w ślad za pociągiem, którego już nie było. Wciąż jednak słyszał go w lesie przed sobą i biegł za nim kilometr, a może dwa. Potem zatrzymał się, zawrócił i kulejąc poszedł wzdłuż nasypu, ażeby odnaleźć żonę.

Nusenowie ukrywali się razem ze Złatką w piwnicy u gospodarza, do którego Złatka ich zaprowadziła. Prawdę mówiąc, Nusenowie mieli tyle pieniędzy, że gdyby ich ten gospodarz, do którego zaprowadziła ich Złatka, nie przyjął, to znaleźliby sobie innego gospodarza. Ale faktem jest, że kiedy Złatce zabrakło pieniędzy, to Nusenowie ją wyrzucili, Nusenowie, a nie gospodarz, bo gospodarzowi było wszystko jedno, zaś Nusenom wydawało się, że to oni płacili za Złatkę. Dlatego Złatka musiała iść na drugą wieś do gospodarza, u którego jej ojciec zostawił na przechowanie kupony i inne sztuki materiału ze sklepu. Ale tamten chłop powiedział, że owszem, kupony może jej oddać, nawet wszystkie, od razu, lecz przechowywać jej nie będzie, bo za żadne pieniądze nie chce narażać siebie i swojej żony i dzieci. Złatka wzięła od niego dwa kupony i poszła z powrotem, licząc na to, że z tymi kuponami będzie mogła pozostać jeszcze jakiś czas u Nusenów. Wtedy właśnie idąc ze swoimi kuponami przez las spotkała zgraję zbiegłych jeńców, którzy ją zgwałcili, a kupony

zabrali. Na szczęście na drugi dzień spotkał ją Biurek, kiedy wracał wieczorem od Sadowskich. Spotkał ją w krzakach na skraju lasu i przyprowadził do swoich. Wzięli ją do siebie, dawali jej jeść i spali z nią. Była ich jedyną kobietą. Raz, kiedy było wyjątkowo ciężko, zwrócili się do Złatki, żeby dała coś z tego, co poukrywał u ludzi jej ojciec, ale Złatka zrobiła się chytra i nie chciała nic dać. Wówczas Niutek, który wiedział, u kogo Złatki ojciec schował swoje towary, napisał w jej imieniu karteczkę do gospodarza, że Złatka prosi, aby okazicielom niniejszej karteczki, jej przyjaciółom, Niutkowi i Aronowi, wydać wszystko, o co poproszą, a przynajmniej ze dwie sztuki dobrej, angielskiej wełny. Niutek i Aron poszli z tą karteczką, zabrali materiały i sprzedali je po drodze za słoninę i kaszę. Tak sobie jakoś radzili, dopóki nie mieli broni.

Na wiosnę Niutek dostał od swojej żony aryjskie papiery i wynajął się za dróżnika koło Miłosnej.

O aryjskich papierach zaczęli wtedy myśleć wszyscy, którzy mogli sobie na nie pozwolić. Chodziło nie tyle o pieniądze, co przede wszystkim o odpowiedni wygląd i sposób mówienia. Ale nawet i bez „wyglądu” można było czasem z takimi papierami pojechać do Warszawy nocnym pociągiem, w którym nie palono świateł, i zamieszkać u umówionych ludzi w nie odwiedzanym przez nikogo mieszkaniu z wodą i ubikacją na miejscu. Było to nieodzowne, jeśli ktoś podupadał na zdrowiu. A nawet jeśli nie było kogoś takiego, kto mógłby przyjąć do swego mieszkania z ubikacją i wodą, jeśli nie starczało pieniędzy, żeby pojechać i zamieszkać na własną rękę, a zwłaszcza jeśli nie starczało na to wszystko odwagi, to jeszcze i wtedy aryjskie papiery mogły się przydać na tej tak bardzo przez nich uczęszczanej drodze pomiędzy lasem a wioską, do której trzeba było chodzić po chleb, jak również w wielu innych wypadkach.

Dlatego Słoń w końcu skomunikował się z pewną nauczycielką z Dobrego, która zajmowała się dostarczaniem aryjskich papierów za niewielką opłatą. Płaciło się, ile kto mógł, na zwrot kosztów lub inne cele samej organizacji. Wszyscy płacili oprócz Słonia, nie dlatego że Słoń pośredniczył, ale po prostu, bo nic nie miał.

Słoń przyprowadził fotografistę również przed naszą ziemiankę. Wyszliśmy wtedy na wieś w biały dzień. Fotografista ustawił trójnog na małej polance i rozpostarł białą płachtę, którą inni trzymali za rogi. Miał nawet z sobą wiadro z czystą wodą, bo trzeba było się ogolić i umyć.

Obiektyw wymierzony był w głąb lasu, ale las przesłonięto płachtą. Wszyscy stawali przed tą płachtą umyć, uczesani i, w miarę jak kto umiał, uśmiechnięci... Podczas gdy jedni stawali przed obiektywem, inni przytrzymywali za ich plecami białą płachtę, podnosząc ją lub

opuszczając stosownie do wzrostu tego, kto był fotografowany, w żadnym wypadku nie mogło być widać za niczymi plecami lasu...

Fotografowali się nie tylko ci, którzy mieli otrzymać dokumenty - wszyscy. Tak chciał fotografista i wszyscy tego chcieli. Było to bardzo ważne, można było poznać po twarzach, gdy stawali na tle białej płachty, po uporczywym, natężonym spojrzeniu, z jakim się wpatrywali w obiektyw... Jakby sobie nagle zdali sprawę, że chodziło o wszystko, co po nich pozostanie - milcząca twarz na tle pustej białej płachty, zza której nie widać lasu...

Ojciec kazał zrobić dokumenty przede wszystkim dla mamy. Potem, ulegając jej, zgodził się na metrykę dla mnie. Mama nalegała, żeby i dla siebie zrobił dokumenty, co, zdaniem ojca, było wprost niedorzeczne i śmieszne. Nie dlatego, żeby ojciec miał bardzo „zły wygląd”, wyglądał całkiem „dobrze”, pomimo gęstych i tak czarnych, że aż fioletowych włosów. Wyróżniał się raczej swoim sposobem mówienia i bycia. Bo ojciec mówił jedynym w swoim rodzaju, niepowtarzalnym skrzyżowaniem mazowieckiej mowy („un” lub „łun” zamiast „on” plus mazurzenie) z żydowskimi zaśpiewami i uproszczeniami w deklinacji... Innego sposobu mówienia po polsku nie znał ani nigdy przedtem nie potrzebował, bo i tak wszyscy go dobrze rozumieli. Był tylko mężczyzną, który wypełniał swoje, wynikające z tego faktu, obowiązki. Nie oszczędzał się, zarabiał, zabiegał dla nas. Robił wszystko, co się tylko opłacało. Pod koniec nawet zainstalował w dworskiej oborze mleczarnię, dla której sam doił swoje trzy krowy. Rąbał drzewo i przynosił wodę do domu. Na zimę gacił słomą nasze drewniane ściany i zakładał kopce na kartofle, które na wiosnę sam sadił na małym, wydzierżawionym zagonie. Nigdy nam nie było zimno i zawsze mieliśmy co jeść. Czasami wpadał w złość, a nawet wybuchał gniewem z jakiegoś małego powodu, ale miał do tego prawo, bo był dobrym ojcem i chodziło mu tylko o nas. O uznanie u obcych nie dbał. Po co? Kiedy i tak decydujący głos miały pieniądze. Tylko o pieniądze zabiegał. Miał zamiar otworzyć sklep mleczarski i przenieść nas do Mińska. Mówił, patrzył i poruszał się tak, jak chciał i jak mu było wygodnie. Nigdy nawet nie pomyślał, że mógłby to robić inaczej, a tym bardziej że mógłby tego kiedyś potrzebować... Nigdy nie starał się być odważnym. I bez tego chodził, gdzie było potrzeba, wynajdywał dla nas kryjówki i przynosił jedzenie. Chodził po nie tyle razy, a przecież nigdy nie był pewny, czy wróci. Robił to samo i potem, kiedy został w lesie z ciotkami, babką i dziadkiem, bez nas. Robił to pomimo strachu. A potem, kiedy już był zupełnie sam, wtedy był trochę za mało ostrożny... Zresztą, kto wie, może nie chciał być...

Z kennkarty spoglądał gładko uczesany, chyba po raz pierwszy w życiu. Miał zapadnięte jak zawsze policzki, może trochę bardziej niż zawsze, i nieme spojrzenie spod zrosniętych, gęstych brwi.

Do Warszawy, powiedział, nie pojedzie, bo nawet gdyby wyglądał jak dziedzic, a mówił jak adwokat, to i tak nie umiałby udawać kogoś, kim nie jest, a jeśli miałby tam siedzieć w jakiejś norze, nasłuchiwać kroków na schodach i bez przerwy się bać, to woli pozostać tutaj, wśród drzew, gdzie czuje się znacznie bezpieczniejszy niż wśród ludzi.

Ojciec również i mnie nie chciał dać mamie do Warszawy.

- Zginiesz z nim - mówił. - Zapytają go o coś, zauważą lub sprawdzą i zginiesz razem z nim. Jedź sama, sama się uratujesz...

- A po co? Po co miałabym się ratować sama? - pytała mama. - I co ja bym z tego miała, gdybym się sama uratowała?...

- On się tutaj prędzej uchowa. Ktoś się zawsze uchowa...

- Nie zostawię go tutaj.

- Dlaczego?

- Bo tutaj zjedzą go wszy. On jest bardzo mały...

- Będę go karmił, nie martw się. A jak wolisz, to go oddam do chłopą, tam będzie mu lepiej.

Na razie mama pojechała sama, żeby, jak ojciec mówił, rozejrzeć się, a mnie rzeczywiście oddał do chłopą. Żona tego chłopą miała suchoty i była niezmiernie chuda. Nigdy nie wstawiała z łóżka i czekała jak zbawienia wiosny, kiedy wszyscy suchotnicy umierają. Kazała mi siadać przy łóżku, żeby wygodniej jej było na mnie patrzeć, i wtedy mówiła: - Popatrz, jaka ja jestem chuda - i wyciągała spod pierzyny swoją żywą jeszcze piszczel, żeby mnie przekonać. - Ja mam suchoty i niedługo umrę - mówiła - ale ty... Przecież ty nie masz suchot. Więc dlaczego?... - i przypatrywała mi się dziwnym wzrokiem. Zaś z gospodarzem musiałem pić bimber. Jeszcze ciepły, w czasie produkcji. Dzieci żadnych nie mieli i tylko w trójkę byliśmy w domu. Było to przed samą wiosną, ruszyły na wieś komisje, więc musiałem chować się w polu albo na skraju lasu, skąd gospodarz zabierał mnie dopiero po zapadnięciu zmroku, a czasem wyprowadzał mnie aż na inną wieś. Bywało i tak, że usiłował mnie tam zostawić, ale biegłem za nim i nie pozwalałem mu się przede mną schować, aż w końcu musiał mnie zabrać z powrotem. Nie widziałem, jak umierała jego żona, bo w końcu przyszedł Aron i zabrał mnie z powrotem do ojca, do ziemianki.

Po jakimś czasie Aron przyszedł jeszcze raz z jakąś panią, która mówiła na niego Janek. Było pogodnie i zupełnie ciepło. Ojciec wyprowadził mnie z ziemianki. Był nieogolony, prawie całkiem czarny.

- Niech pan tylko popatrzy, jak pan wygląda - powiedziała do ojca pani.

Ojciec zawstydział się. Miał nie dopięte spodnie i było z nich widać kawał koszuli lub

gaci. A potem, kiedy odchodziliśmy, ojciec zawołał:

- Jak to, nie pożegnasz się ze mną, synku?!

Wtedy ja się zawstydziłem i wróciłem, żeby się z nim pożegnać. I więcej go już nie widziałem.

W parę tygodni po tym, jak mnie stamtąd zabrano, wyciągnęli z ziemianki dziadka i babcię, obie ciotki i ich młodszego braciszka, którego ja nigdy nie nazywałem wujkiem, bo był na to za mały. Wyciągnięto ich w biały dzień, tak że prawie nie mogli patrzeć na oczy.

Nie wiem, jak oni strzelali do mojej starej babci i mojego dziadka w małej, żydowskiej czapeczce. Co mówili, kiedy ich wyciągano? Czy wołali kogoś, czy krzyczeli? Co powiedziały te ostrzyżone dziewczyny, moje ciotki? A co powiedział dziadek? A co babcia? Pewno nic nie mówiła, pewno płakała. Czy ich ustawili wszystkich razem? Czy ciotki wzięły między siebie swojego młodszego braciszka, który po miesiącach leżenia w ziemiance na pewno już nic nie widział? To dobrze, że nie widział. A może strzelali w plecy? Okropny, lecz krótki ból i po wszystkim... I czy warto było tego tak długo się bać?...

Ojca z nimi wtedy nie było. Jakimś łaskawym zrządzeniem losu miał wtedy interes do Słonia, więc potem, jak to się stało, już u nich pozostał. Przyłączyła się do nich również grupa młodych chłopców i dziewcząt, którym udało się uciec z palącego się getta z Warszawy i którzy mieli broń, przyłączyło się również kilku zbiegłych jeńców wojennych, Rosjan. Po wypadku z naszą ziemianką leżeli zawsze na wierzchu, w krzakach, na kocach i plandekach, którymi w razie potrzeby zasłaniaли się od deszczu. Leżeli blisko jeden drugiego, mieli trochę słomy i parę kozuchów do spólki, w nocy grzali się przy ogniu. Nie zakopywali się więcej w ziemiance. Gdyby siedzieli w ziemiance, nikt by z nich pewno z tego lasu nie wyszedł.

Od czasu jak mieli broń, posługiwali się, w razie potrzeby, bronią. Tylko mój ojciec nie chciał brać broni do ręki. W dalszym ciągu odwiedzał naszego dziedzica. Miał u niego jeszcze maszynę do szycia, kozuszek i dwa rowery, nie licząc pewnej ilości pieniędzy w gotówce.

Pewnego razu wybrali się jednak do dziedzica Aron, dwóch Rosjan i Słoń. Ojciec, oczywiście, nic o tym nie wiedział. Jednego Rosjanina zostawili na straży, a sami weszli do środka. Otworzył im młody pan Karol, dziedziczki brat. Aron i drugi Rosjanin kazali otworzyć komorę, a Słoń pilnował pana Karola, który w pewnym momencie spróbował skoczyć do sznura alarmowego, ale Słoń mu podstawił nogę i potem przytrzymał na ziemi. Zabrali kosz jaj, dwa kawałki masła i czterdzieści butelek wódki oraz nowe giemzowe buty, które były na nich za ciasne, ale Aron powiedział, że dla niego są w sam raz, i od razu je włoży. W drodze musiał jednak zdjąć te buty, bo daleko by w nich nie zaszedł, a ponieważ

trepy, które miał przedtem, wyrzucił, więc znowu powrócił do lasu boso...

Kiedy ojciec się dowiedział o tym, co zrobili, pokłócił się z nimi i odszedł. Od tej pory przebywał w lesie sam. Nikt nie wiedział, gdzie właściwie spał ani jak sobie radził. Kiedy przychodził do dziedzica, ten odpowiadał mu, że „partyzanci wszystko zabrali”...

„Partyzanci” przetrwali jeszcze kilka miesięcy. W międzyczasie powstał konflikt pomiędzy nimi i grupą zbiegłych jeńców, którzy mieli własnego przywódcę i swoje własne plany, nie mieli tylko broni. Wobec tego namówili się, przynieśli ze wsi bimbru i urządzili pijatykę, a potem, w nocy, kiedy wszyscy posnęli, poodrzynali broń wszystkim tym, którzy ją mieli, i odeszli.

Od tej pory w okolicy było jeszcze bardziej niespokojnie niż przedtem. Aż wreszcie Niemcy zdecydowali się urządzić obławę na Rosjan...

Rosjan wtedy nie znaleźli, ale natknęli się od razu na bezbronną grupę Słonia i Arona. Było to w dzień. Ludzie leżeli pod swymi kocami w krzakach. Zorientowali się dopiero, kiedy Niemcy zaczęli wychodzić spośród drzew. Poderwali się, kiedy było już za późno i Niemcy strzelali zza drzew. A ponieważ Niemcy strzelali zza wszystkich drzew, ludzie stracili orientację i rzucili się w stronę polany. A na polanie czekał już na nich specjalnie ustawiony karabin maszynowy.

Wystrzelali w ten sposób wszystkich, i mężczyzn, i dziewczyny. Uratowali się tylko Aron i Słoń, którzy pobiegli w głąb lasu. Aron dostał lekki postrzał przez plecy. Kiedy wydostali się z okrążenia, Słoń pomógł mu wleźć na drzewo. Przesiedzieli na drzewach do nocy, a potem schronili się na wieś.

Poza tym pozostał przy życiu Biemek, który siedział w tym czasie u Sadowskich razem z dzieckiem. Najmłodszy z Brzozaków, Eli, był cały czas ukryty w oborze u Śliwy, pod dachem. Ale kiedy przyszło lato i dach się zaczął nagrzewać, Eli skarżył się, że mu duszno. Miał szesnaście lat. Przychodził w nocy do Sadowskich, żeby zobaczyć się z Biumkiem i porozmawiać z nim. Skarżył się na gorąco i na to, że nie miał z kim rozmawiać. Prosił Biumka, żeby go zaprowadzić do lasu, do partyzantów... Biemek zabronił mu nawet myśleć o tym i zakazał mu ruszać się gdziekolwiek z obory Śliwy. Eli poszedł jednak do lasu sam, na własną rękę i trafił. Trafił tam na dwa dni przed obławą... Oprócz Biumka, Arona i Słonia żył wtedy jeszcze Niutek jako dróżnik koło Miłosnej.

Ojciec żył jeszcze całą jesień i zimę, aż do następnej wiosny. Gdyby udało mu się przetrwać jeszcze kilka miesięcy, doczekałby się przyjścia Rosjan.

Nikt nie wie, w jaki sposób sobie tak długo radził. Sam. Był podobno bardzo wynędzniały. Raz spotkali go uzbrojeni ludzie na skraju wsi. „Żyd? Co z nim zrobimy?”. Byli

to akowcy, wśród których znajdował się jeden z Sadowskich. Sadowski go poznał, więc go puścili.

Był bardzo opuszczony, zarośnięty, wychudły. Cuchnął deszczem, ziemią i błotem. Okropnie wyglądał. Ile czasu musiał się nie myć? Czy pamiętał jeszcze, że jest człowiekiem?

Nie mógł i nigdy nie starał się przezwyciężyć w sobie wrodzonego lęku i wstrętu do broni. Obawiał się i czuł odrazę do pogańskiego zapału decydowania o życiu i śmierci. Gdyby nie to, może nie zginąłby od zwyczajnej, bandyckiej siekiery.

Ktoś czekał na niego podczas ostatniej z tych nocy, gdy włókł się samotnie jedną ze swoich ścieżek, ściskając pod kapotą chleb. Chodziło o pieniądze. Zdziwił się. Jakie pieniądze? I nagle przypomniał sobie. Te wszystkie pieniądze, które zbierał przez całe swoje życie na czarną godzinę, na okup. Na okup, zdawał sobie z tego sprawę. A cóż innego mógł robić? Zbierał je, schylał się, przygarbiał, nawet padał na twarz... Jego plecy sprawiały wrażenie, jakby się zawsze obawiał ciosu w tył głowy.

Więc jednak miał rację... Miał rację, że tak wytrwale zbierał pieniądze. Dostawał za nie chleb, który niósł pod kapotą. Na pieniądze, okazuje się, można liczyć. Pieniądze świadczą, że jest człowiekiem, pomyślał. A jeśli się zostaje przez to zabitym, to nie jak zwierzę! Za pieniądze - jak człowiek...

Mówią o nim, że to jego wina, że był chytry i wierzył w pieniądze. I że nie przezwyciężył wstrętu do broni. Może gdyby nie to, nie zginąłby od ohydnej, bandyckiej siekiery.

Może zginąłby znacznie wcześniej...

Część druga

MATKA

Nocą podeszliśmy do zaciemnionej stacji i wsiedliśmy do również ciemnego, zatłoczonego pociągu, w którym odzywali się do nas ludzie, a my odpowiadaliśmy na ich odezwania ośmieleni tym, że ani oni nas, ani my ich nie widzieliśmy. A kiedy zajechaliśmy na miejsce, był dzień - zakurzony, dworcowy poranek. Wujek Aron wprowadził mnie do małej cukierni i zamówił dla mnie kakao i rogalik, bo to wszystko tu jeszcze istniało...

Mama wbiegła w rozwianym płaszczyku i długich, rudych włosach, których przedtem nigdy nie miała. Nie poznałem jej w kapelusiku z opadającą na oczy woalką. A i potem, kiedy ją poznałem, nie miałem odwagi objąć jej za szyję. Kiedy to wreszcie zrobiłem, wtedy ona z kolei przestraszyła się i odsunęła ode mnie. Potem wzięła mnie za rękę i wyszliśmy na piękne, brukowane ulice, wypełnione dzwonekami tramwajów i krokami ludzi, którzy szli za nami i naprzeciwko nas, nie zwracając na nas wcale uwagi.

- Nie opuszczaj głowy - mówiła mama.

- Czy tam wszędzie mieszkają ludzie? - spytałem patrząc na spiętrzone okna w wysokich, kamiennych domach.

- Tak - odpowiedziała.

- To tak dużo jest ludzi?

- O tak, bardzo dużo.

Nie przypuszczałem, że było na świecie jeszcze tak dużo ludzi. Skąd miałem o tym wiedzieć? Od czasu, kiedy przestało istnieć nasze miasteczko, myślałem, że zostały tylko pola i lasy, wśród których się ukrywaliśmy, a miasta, myślałem, zupełnie przestały istnieć. Tam, gdzie ostatnio przebywałem, spotykało się ludzi tylko w wyjątkowych okolicznościach, a tu było ich aż tylu naraz i nie potrzeba było się ich obawiać... Mama szła obok mnie i nawet się uśmiechała. Ale uśmiechała się uśmiechem, który pamiętałem jeszcze z czasów, kiedy przychodziło się w gości... A zatem byliśmy w gościach, pomyślałem.

Zaraz po przyprowadzeniu mnie do domu, w którym, na szczęście, nikogo nie było, mama rozpałała duży ogień, zagrzała kocioł z wodą, a potem wstawiła mnie do tego kotła, a

głowę polala mi naftą, ponieważ wszy miałem wtedy więcej na głowie niż włosów i to dlatego właśnie tak się przestraszyła wtedy, kiedy ją objąłem w cukierni. Potem polala naftą całe moje ubranie i wrzuciła je w ogień.

Ubikacja i woda były na miejscu... To było bardzo ważne. Coś, co się nie zdarzało na wsi, a znaczyło, że można było w ogóle nie wychodzić z domu albo przynajmniej bardzo rzadko. Nikomu się nie pokazywać. Mieszkać, pić wodę, myć i załatwiać się i żeby nikt o tym nie wiedział. Ale pani Hanka, u której mieszkaliśmy, uważała, że właśnie powinniśmy wychodzić, nie unikać ludzi i nie kryć się. Chodzić, patrzeć i mówić tak, żeby nikt nie zauważył u nas ani odrobiny strachu, a wtedy żadne podejrzenie nie przyjdzie nikomu do głowy. Mama się z panią Hanką w zupełności zgadzała.

Mama знаła się z panią Hanką z Dobrego, a potem chodziły razem do nauczycielskiego seminarium w Radzyminie. Mama miała tam dziadka, który był właścicielem tartaku i bardzo długo i szczęśliwie żył. Tak długo, że doczekał się mnie, swojego prawnuka, a tak szczęśliwie, że zdążył umrzeć, jeszcze zanim się to wszystko zaczęło... Ale mama nie mogła ukończyć seminarium. Była tam tylko rok. Upomniało się o nią społeczeństwo Dobrego, które było do końca wierne swojemu Bogu, tradycji ojców i ich stylowi. Zaś nade wszystko nie mogło zgodzić się, żeby dobra, żydowska córka z pobożnej rodziny, a zwłaszcza ładna jak mama, wyrastała na nie-Żydówkę pośród nieżydowskich koleżanek i może jeszcze chodziła na spacer z nieżydowskimi chłopakami... Czy pani Hanka z początku nie wiedziała, że byłem obrzezany? Może o tym zapomniała? A może od początku była przeciwko temu, żeby mnie mama przywiozła? A może z początku zgodziła się, a dopiero później straciła odwagę?...

Pan Kamil, przyjaciel pani Hanki, uczył mnie każdego wieczora pacierza. Kazał mi mówić: - Ojczy nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi - i - Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego... - a potem - Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli... - Powtarzałem to za panem Kamilem, a ponieważ pan Kamil był Czechem, więc myślałem, że to po czesku.

Ale nie tylko tego się uczyłem. Pewnego razu wracając z dworu zapukałem do drzwi, bo tak kazało dobre wychowanie, ale kiedy wszedłem, zobaczyłem zaczerwienioną twarz pani Hanki:

- Widzisz, jak on puka?! - powiedziała do mamy.

Nie zrozumiałem, o co chodzi.

- Pukasz jak dziad... - wyjaśniła pani Hanka.

Później dowiedziałem się, że „jak dziad” to znaczyło „jak Żyd”... Nie umiałem, okazuje się, pukać. Robiłem to zbyt cicho i jakby lękliwie, tak się przynajmniej wydawało. Ale ja pukałem w ten sposób tylko dlatego, że bolały mnie od tego palce. A pukać należało krótko i energicznie. Uczyłem się tego gorliwie. Zawsze miałem zaczerwienione kostki palców.

Poza tym było nam u pani Hanka dobrze. Piliśmy herbatę z sacharyną. Smarowaliśmy chleb miękkim, topionym serem albo powidłami, a jak nie, to po prostu margaryną. Bardzo lubiłem herbatę, a i do tego śmierdzącego sera wkrótce się przyzwyczaiłem.

Nauczono mnie cieniutko obierać kartofle na obiad, po które sam chodziłem na pobliski rynek, gdzie wzbudzałem uznanie przekupek.

- A czyj ty jesteś? - pytały.

A ja odpowiadałem:

- Ojca i matki.

A one mówiły: - Zuch chłopak...

Resztę czasu spędzałem na ostrzeniu igieł i skręcaniu dratw. Bo naszym głównym zajęciem było robienie pantofli.

Nie była to trudna rzecz robić pantofle. Brało się trzy konopne sznurki i splatało je w warkocz. Warkocz owijało się dookoła jednego z jego końców, płasko i tak długo, dopóki nie wyglądało to jak podeszwa, a wtedy kształt podeszwy przesywano się i utrwalano dratwą. Dratwa musiała być mocna. Skręcało się ją ze złożonych wielokrotnie nici i smarowało woskiem. Ale jeszcze ważniejsze było ostrzenie igieł, bo konopny warkocz był twardy i kiedy się zrobiło jedną podeszwę, igła była zupełnie tępa. Więc zawsze, dopóki jedne igły były w robocie, drugie trzeba było ostrzyć na zwilżonej śliną oselce, podawać te nowo naostrzone, a odbierać tępe.

Pantofle były na drewnianych koturnach, które kupowało się w sklepie i obciągało kolorowym płótnem. Branzle wycinał pan Kamil z kartonu. Między kartonowy branzel a konopną podeszwę wklejało się różnokolorowe, bawełniane tasiemki w kombinacji po dwa albo trzy kolory. Robienie kleju, to znaczy mieszanie kasztanowej mąki z wodą, było również moim zadaniem.

Pantofle były naprawdę ładne. Nosiły je nawet najelegantsze panie z czerwonym pedikiurem. Kolorowe tasiemki zgrabnie opinały ich stopy, a wysoki obcas wyciskał lekką różowość na ich piętach. Stąpały elastycznie, lekko i niegłośno na naszych dyskretnych, konopnych podeszwach. Nosiła je i pani Hanka, i mama. Obie wyglądały bardzo ładnie w

tych pantoflach i w bardzo krótkich sukienkach podczas niedzielnych spacerów, na które mnie ze sobą zabierały.

Na spacerach musiałem iść z przodu, przed mamą i resztą państwa, którzy szli za moimi plecami. Takie było polecenie pani Hanki. Było to o tyle nieprzyjemne, że nie zawsze wiedziałem, którądy iść, i musiałem się ciągle oglądać za siebie, żeby się upewnić, że mama i pani Hanka wciąż jeszcze za mną idą i że się nie zgubiłem. Ale wtedy pani Hanka zwracała uwagę mamie, a mama mówiła: „Nie oglądaj się!”. Czasem przystawałem nagle, żeby przynajmniej na chwilę chwycić mamę za rękę... Zupełnie nie rozumiałem, dlaczego miałem zawsze iść „z przodu”...

Wolałem te niedziele, kiedy pani Hanka szła z panem Kamilem w goście, a ja do kościoła i na spacer tylko z mamą.

Mama wolała jechać tramwajem niż chodzić ulicami, a jadąc tramwajem starała się, żebyśmy znajdowali się w pierwszym wagonie, z Niemcami. Mama ładnie wyglądała w wysoko upiętych, jasnych włosach, które po kilkakrotnym utlenieniu przestały już być rude. Do tego nosiła wysoki kapelusz z długą, czarną woalką żałoby. Nie wolno było jeździć przednim wagonem, jeśli się nie było Niemcem, ale mama była zawsze w pobliżu pierwszego wagonu i zawsze ktoś z tych ludzi w mundurach pomagał jej wsiąść. Mama mówiła, że nie jest Niemką i, być może, nie ma prawa. Ale Niemiec odpowiadał, że z nim to może. Mama uprzejmie dziękowała, a Niemiec odpowiadał, że cała przyjemność po jego stronie... Mama starała się również o to, żebym ja siedział na niemieckich kolanach i żeby jak najwięcej osób to widziało. Wyjaśniała, że bardzo lubię mundury, bo mój ojciec był też wojskowym, oficerem, obecnie w niemieckiej niewoli i choć byłem jeszcze bardzo mały, kiedy poszedł na wojnę, to jednak mundur zapamiętałem. Niemcy wzdychali ze współczuciem, niektórzy też mieli synów, których dawno nie widzieli, podobno takich samych jak ja...

W Wielkanoc mama powiedziała, że chce pojechać ze mną do katedry po drugiej stronie Wisły, żeby pokazać mi grób Pana Jezusa. Jak się okazało, „grób” to był wielki, dymiący pożar, który można było dostrzec nawet z Pragi. Mama chciała jednak, żebym zobaczył to z bliska. Pożar trwał już od kilku dni.

- Przyjrzyj się - powiedziała mama. - Zapamiętaj... Tam byli nasi wujkowie i ciotki, i twoi mali, tacy jak ty, kuzyni. Było ich bardzo dużo... Nie chciałbyś tam być...

- Nie, nie chciałbym...

- Więc zapamiętaj raz jeszcze, nikt się nie może dowiedzieć o tym, że jesteś Żydem! Nigdy!...

- Czy nigdy?

- Być może, nigdy...

Chodziłem prosto. Nie stawiałem do siebie stóp. Mama kazała mi patrzeć wszystkim w oczy. Robiłem to. Byłem dzieckiem i nie sprawiało mi to jeszcze żadnej trudności. Ale gdybym był starszy? Na przykład jak mama? Czy potrafiłbym? Chyba nie. Tak samo jak inni nie potrafili. Nie umieli patrzeć, ginęli. Mówiło się, że mieli „żydowskie” oczy...

Jak ona to robiła, że mogła? Bo ona patrzyła prosto w oczy. Teraz wiem, dlatego że była matką. Czowała to, co się najczęściej przypisuje mężczyznom, a co odczuwa przede wszystkim kobieta, kiedy zostaje matką. To, że zrobiła i robi swoje, to, co najważniejsze i co naprawdę ma do zrobienia... Nic nie jest wtedy w stanie zmusić jej do ustąpienia, choćby nie wiem co miał przeciwko temu cały świat ze swoim histerycznym i utysiąckrotnionym straszaniem śmiercią. Dlaczego tej siły nie biorą nigdy pod uwagę ani cywilni, ani wojskowi w ich planach?... Tej siły matek?

Wreszcie pewnego razu, idąc „z przodu”, zgubiłem się. Nie skręciłem przy rogu Ząbkowskiej, tylko poszedłem prosto. Kiedy się obejrzałem, nikogo za mną nie było oprócz obcych, którzy nadchodzili i z tyłu, i z przodu, i ze wszystkich stron. Zawołałem: - Mamo! - i puściłem się biegiem, a właściwie zacząłem biegać w kółko, bo nie wiedziałem, dokąd biec. Biegałem we wszystkie strony i zacząłem płakać. Ale zauważyłem, że ludzie zatrzymują się i zaczynają mi się przyglądać, więc przestałem płakać i tylko biegłem. Oślepiło mnie słońce i ogłuszał tupot nóg, wśród których się płątałem na zatłoczonym trotuarze. Gardło miałem ściśnięte od powstrzymanego płaczu i bardzo chciałem krzyczeć, ale nie wolno było! Oni tylko na to czekali! Kto? Tego nie wiedziałem, ale wiedziałem, że tam byli. Na pewno byli wokół mnie. Oni byli wszędzie! Byli w tym tupocie nóg po chodniku.

Wiedziałem i słyszałem, jak mówiono o porzuconych na ulicach dzieciach. Porzuconych i zdradzonych. Coraz częściej się to zdarzało i mówiono o tym coraz częściej. Pani Hanka! To ona kazała mi zawsze iść z przodu! Mówiła, że to na wypadek łapanki, ale ona chciała, żebym się zgubił! Na pewno chciała... Mówiła do mamy: - Oddaj gdzieś tego małego, odeślij go z powrotem, zrób z nim coś, bo z nim zginiesz i my wszyscy przez niego zginiemy razem z tobą. Tyle już było wypadków przez dzieci! - Kiedy to takie mądre i posłuszne dziecko - odpowiadała mama. - Ale dziecko, tylko dziecko!... Może się zapomnieć, a przecież jest chłopcem... Nie możesz narażać siebie i innych! Sama możesz przeżyć, samej ci tyle nie grozi i możesz zostać u mnie, jak długo chcesz, ale tak... - Na pewno tak do niej mówiła. Ja wiem. Ale mama nie chciała się zgodzić, więc ona urządziła te spacerzy z chodzeniem „z przodu”... Dlatego że byłem obrzezany. Byłem obrzezany, to o tym myślałem, biegając z rozpaczą w sercu w owym niedzielnym tłumie ludzi, którzy nie powinni się o tym

dowiedzieć. Nie powinni i nie chcieliby... „Na pewno by nie chcieli” - myślałem natykając się raz po raz na ich roztargnione spojrzenia. Bo i co by wtedy zrobili?... Nie zrobiliby nic. Nic by, przecież, nie mogli zrobić. Musieliby przystanąć i patrzeć. A więc wziąć w tym udział. A żaden z nich na pewno nie chciałby brać w tym udziału...

Gdybym tylko zapłakał, zaraz ktoś by się zainteresował, zapytał, gdzie moja mama, a gdybym odpowiedział, że nie wiem, zaprowadziliby mnie na posterunek. A kiedy by mnie prowadzili, wszyscy patrzyliby i mówili: - Znowu złapano żydowskiego dzieciaka... - Bo wtedy od razu zauważyliby, że mam zbyt ciemne włosy, zbyt wysokie plecy, zbyt odstające jedno ucho... A na posterunku już by się o wszystkim przekonali. Dlatego wolałem nie płakać. Wiedziałem, że mi nie wolno, ponieważ byłem obrzezany. Nie wolno mi było również szukać mojej mamy. Zgubiłem się, ale nie wolno mi było jej szukać...

Dlatego kiedy zainteresował się mną pan w kapeluszu i zapytał, gdzie moja mama, powiedziałem, że w domu. „A ty co tu robisz?” - zapytał. Więc odpowiedziałem, że idę do domu, tylko nie mogę trafić. „A dlaczego się tak boisz?” - zapytał ten pan. „Boję się, że mama się będzie na mnie gniewała”. „A jak się nazywasz?” - zapytał ten pan, a ja odpowiedziałem, że Stasio. „A tatusia masz?” „Nie, mam tylko mamusię, a tatuś jest w niemieckiej niewoli”. „A pamiętasz swój adres?” „Nie, nie pamiętam - powiedziałem - ale trafię, jeśli doprowadzi mnie pan do rynku, na którym się sprzedaje kartofle”.

I ten pan doprowadził mnie do rynku, na którym wielokrotnie kupowałem kartofle na obiad. Pytał jeszcze, czy jestem pewny, że trafię. Czy nie lepiej byłoby, gdyby mnie zaprowadził do samego domu i zobaczył się z moją mamą? Ale powiedziałem, że mu bardzo dziękuję, ale trafię sam i pobiegnę już, bo mama naprawdę będzie się na mnie gniewała za to, że tak długo nie było mnie w domu... Wyrwałem się i pobiegłem szybko, jak tylko mogłem, skręciłem za róg i schowałem się do bramy.

Pan Kamil zamknął mnie wtedy w szafie. Powiedział, że robi to, żeby nastraszyć mamę za to, że na mnie nie uważała. Ale wcale nie musiał jej straszyć. Mama przybiegła wkrótce po mnie. Klęczała na podłodze i płakała, kiedy pan Kamil wyprowadził mnie z szafy, a pani Hanka stała przy niej i pocieszała ją.

Musieliśmy jednak wkrótce wziąć nasze rzeczy i odejść. Było to po południu. Późno po południu. Gdyby to było rano, może mama prędzej znalazłaby jakąś radę. Pani Hanka ani pana Kamila nie było w domu i powiedział to ktoś od sąsiadów. Gdyby to powiedziała pani Hanka albo pan Kamil... Nie, pan Kamil nigdy by tego nie powiedział. Ale pani Hanka powiedziałaby to przynajmniej na kilka dni z góry. Powiedziałaby, żeby mama poszukała sobie jakiegoś innego miejsca albo sama wskazałaby jakiś adres. Albo nawet gdyby pani

Hanka takiego adresu nie wskazała, to pan Kamil na pewno by wskazał. Ale ani pani Hanka, ani pana Kamila nie było w domu. A właściwie dlaczego nie było ich w domu akurat wtedy?... Może dlatego, że nie chcieli być? Może nie widzieli dla nas żadnej rady?... Przyszedł ktoś od sąsiadów i powiedział, że radzi mamie natychmiast uciekać. - Uciekać? - zdziwiła się mama. - Dlaczego? Czy ja zrobiłam komu co złego, żebym musiała uciekać?...

- Pani dobrze wie, dlaczego. Niech pani na nic nie czeka, tylko zabiera dziecko i idzie stąd, póki czas! My pani dobrze radzimy. My nie chcemy dla pani nic złego...

- Ależ ja nie mam żadnych powodów, żeby uciekać - odpowiedziała mama. - Nie rozumiem, co ludzie sobie, doprawdy, ubzdurali?

- Jak pani chce, ale niech pani pamięta, że myśmy uprzedzali!...

Więc zaraz jak tylko tamten ktoś poszedł, mama chwyciła w jedną rękę małą walizeczkę, a drugą ręką wzięła za rękę mnie i wyszliśmy... Siąpił ciepły majowy deszcz i było jeszcze ciemniej, niż powinno być o tej godzinie. Wsiadliśmy do tramwaju, najpierw do jednego, a potem do drugiego, i jeździliśmy. Nie mieliśmy dokąd jechać, więc jeździliśmy tam i z powrotem. Nie siedzieliśmy w wagonie dla Niemców, a ja nie siedziałem na niczyich kolanach, tylko na ławce koło mamy, która patrzyła przez okno. Patrzyła tak za każdym razem, kiedy przejeżdżaliśmy przez most. Bo jeździliśmy z jednego brzegu Wisły na drugi, a popołudnie coraz bardziej się kurczyło i zbliżała się nieuchronnie godzina policyjna. Wreszcie wysiedliśmy przy moście i mama powiedziała, że chyba będziemy musieli pójść do Wisły, bo nie ma już innej rady, i chyba nie warto dłużej się męczyć. Przecież nikt z naszych bliskich nie żyje. Na pewno poginęli już wszyscy. Nawet małeńkie dzieci. Wszyscy zdążyli poumierać. A tylko my nie... A właściwie dlaczego? Czy mamy być inni? To chyba nie takie straszne umrzeć, jeśli wszyscy mogli to zrobić?... Ale ja nie chciałem iść do Wisły! Bałem się. Prosiłem, żebyśmy pojechali przynajmniej jeszcze jednym tramwajem...

Pojechaliśmy więc tramwajem do końca i wysiedliśmy aż na pętli, na Grochowie. Zapadał zmrok i tramwaj zawracał do zajezdni. Inny, również już prawie pusty tramwaj, nadjechał i wysiedli z niego jacyś państwo.

- Dobrze - powiedziała mama. - Nie pójdziemy do Wisły. Pójdziemy do tych ludzi i niech z nami zrobią, co chcą!... - mówiąc to pociągnęła mnie za sobą i podeszliśmy do państwa, którzy wysiedli z tramwaju.

Kiedy tylko podeszliśmy, mama od razu powiedziała, kim jesteśmy i co tu robimy. Powiedziała, że jeśli chcą, to mogą nam pomóc, a jak nie, to niech nas zaprowadzą do Niemców. Niech zrobią zresztą, co chcą!... Ten pan zbladł, a pani zakryła dłonią usta... Po czym ten pan uchylił kapelusza i powiedział, że nazywa się Orliński, wziął od mamy walizkę

i kazał nam z nimi iść.

U państwa Orlińskich nie mogliśmy pozostać na długo, bo tam nie było bezpiecznie. Chodziło jednak o to, żeby przez ten czas poszukać jakiegoś odpowiedniego miejsca. Więc mama pożyczyła od pana Orlińskiego pieniędzy i pojechała do Dobrego. Od stacji szła w nocy pieszo, a potem zakradła się do mieszkania nauczycielki, która w swoim czasie zrobiła dla nas aryjskie papiery. Dostała od niej adres Niutkowej.

Niutkowa mieszkała w czerwonym domku przy kolei koło Miłosnej z Niutkiem, który był tam dróżnikiem. Niutek, wielki chłop, całe życie handlował bydłem, nie bardzo umiał czytać i pisać, ale za to mówił przepiękną, autentyczną gwarą z mazowieckich targów i jarmarków i mógł z powodzeniem być dróżnikiem w Miłosnej, gdzie nikt go nie znał. Niutkowa powiedziała, że chętnie by mamę przyjęła, gdyby mama była sama albo gdybym ja był dziewczynką. A tak może najwyżej dowiedzieć się o jakieś miejsce za pieniądze; oczywiście, kryjówkę, bo nikt się nie zechce narażać przez dziecko, a w dodatku jeśli to dziecko jest chłopcem. Dlaczego mnie mama nie zostawiła z ojcem, dziwiła się Niutkowa. Przecież to nonsens...

Więc mama wsiadła jeszcze raz do pociągu jadącego w kierunku Dobrego i udała się w nocy na wieś, do ludzi, u których ojciec miał zostawione pieniądze. Szła pieszo dziesięć kilometrów. Zapukała w szybę.

- Kto tam? - spytał kobiecy głos.

- Swój.

- Co za swój?!

- Swój, niech pani otworzy, pani Janowska, niech pani się nie boi, to ja...

- Jezusie Nazareński! - zawołała Janowska. - To Abramowa jeszcze żyje?! O Jezu miłościwy...

- Niech mi pani pomoże, pani Janowska, mnie i mojemu dziecku, niech mi pani pomoże, bo zginę.

- A toć na pewno pomożemy, jakżeby nie... Co tylko będzie można. Ale co też my, biedne ludzie, możemy na takie skaranie boskie pomóc?... Obudzę mojego.

- Niech pani nikogo nie budzi, pani Janowska, chodzi tylko o trochę pieniędzy z tego, co mąż u was zostawił. Lepiej, żeby nikt o tym nie wiedział...

Ale z alkierza wychodził już w sznurowanych kalesonach Janowski, a za nim starszy syn, Wicek, i wszyscy zaczęli się mamie przyglądać i dziwić, że żyje.

- Pieniądzy? Jakich? Aaa, tamtych... Mój Boże, kiedy już dawno ich nie ma!... Dalibyśmy, jakżeby nie, przeciwmy ucziwe ludzie, ale kiedy nic już nie zostało. Abramek

zabrał, zabrał wszystko. Był chyba ze trzy razy...

- Albo i cztery...

- Albo i cztery razy. I wszystko zabrał.

- A jak przyszedł, to i ogrzał się, i chleba na drogę daliśmy. A zabrał wszystko, co do grosza. Oddaliśmy, bo jakże, kiedy człowiek w takiej potrzebie. My cudzej krzywdy nie chcemy...

- Ale kiedy pisał do mnie w zeszłym tygodniu. Dostałam przez Arona karteczkę, pisał, że specjalnie zostawił tyle, żeby starczyło na wypadek, gdyby mnie i dziecku było potrzeba.

- Aa, to o te pieniądze chodzi?...

- A tak, pamiętam - przypominał sobie Janowski. - Coś tam zostawił, aleśmy nie wiedzieli, co zrobić, bo to i takie czasy teraz niedobre, że nigdy nic nie wiadomo, tośmy zanieśli do dziedzica, że niby na przechowanie... We dworze zawsze i bezpiecznie, i w ogóle...

- Kiedy tak, to ja tam pójdę - powiedziała mama.

- Dokąd?

- Do dworu.

- A gdzie też tam będzie Abramkowa po nocy chodzić? Bójże się Boga, kobieto. Jeszcze kto zobaczy i, nie daj Bóg, nieszczęście na nas wszystkich. Niech lepiej Abramkowa wejdzie do alkierza, się ogrzeje, odpocznie, a kobieta sama pobiegnie do dworu i powie co i jak, to się, w razie czego, przyniesie. Bez obawy.

- A niech Abramkowa nie wychodzi, aż się zawoła - dodała Janowska, kiedy mama weszła do alkierza.

Mama słyszała, jak skrzypnęły drzwi, kiedy Janowska wyszła. Siedziała w ciemności i czekała, kiedy nagle usłyszała, jak drzwi skrzypnęły jeszcze raz i jeszcze ktoś wyszedł. Więc zaczęła nasłuchiwać. I oto drzwi się otworzyły, i ktoś nastąpił na próg tak ciężko, że aż jęknęło. Mama przyłgnęła do ściany i przyłożyła ucho. Usłyszała za ścianą szeptanie. „Niech Antoś idzie... - usłyszała - niech Antoś idzie i czeka”... Więcej mama nie mogła rozróżnić, ale jeszcze kilkakrotnie słyszała to: „Antoś”... W każdym razie mama zrozumiała, że musi uciekać. Przekradła się po ciemku w drugi koniec alkierza, gdzie znajdowały się jeszcze jedne, małe drzwi wychodzące w stronę kurnika. Nie zważała na alarm, jaki podniosły kury, nie słyszała deszczu ni wiatru, słyszała tylko głucho dudnienie, które ją goniło, i syczący szept „Antoś”... Uciekała przed tym złowieszczym szeptem i przed dudnieniem, które, jak się jej wydawało, goniło ją, a które rozlegało się w jej piersi i skroniach, i pod uderzeniami jej własnych stóp.

Po tym wypadku Niutkowa dała mamie trochę pieniędzy. Mama jej zostawiła karteczkę dla Arona, jeśli by ich odwiedził, i w karteczce tej prosiła, żeby ojciec te pieniądze Niutkowej zwrócił. Ale nie wiadomo, czy ojciec zdążył to zrobić, bo niedługo potem Niutek zginął, a Niutkowa wyprowadziła się w inne strony.

Niutkowej nie było w domu, kiedy do ich domku weszło dwóch Niemców i zapytali Niutka, czy ma łopatę. Niutek powiedział, że ma. Więc kazali mu wziąć łopatę i iść z nimi. Niutek od razu pomyślał, że to już koniec. Szedł powoli przodem wzdłuż płotu, w kierunku, który mu wskazali Niemcy, ale w miejscu, gdzie płot się kończył, skręcił gwałtownie za róg ogrodzenia i pobiegł prosto przed siebie, w pole. Niemcy wołali: „Stój, stój, bo będziemy strzelać!”. A kiedy Niutek biegł dalej, przyklękli i z tej pozycji go zastrzelili. Mówią, że Niemcy nic o Niutku nie wiedzieli. Że chcieli tylko, żeby wziął łopatę i zakopał kogoś, kogo już zastrzelili przedtem. Byli bardzo źli, kiedy musieli potem martwić się o dwóch.

U państwa Orlińskich naprawdę nie było bezpiecznie. Mieli oni dorosłą córkę, Werę, i syna, których odwiedzało wielu młodych ludzi. Niektórzy z nich zalecali się do mamy i mama musiała wychodzić z nimi i z Werą na spacer. Szli ulicami eleganccy i młodzi, w wysokich kapeluszach zarówno mężczyźni, jak i kobiety, a ja szedłem z nimi i nie kazali mi wychodzić do przodu... Wiedzieli o nas, że byliśmy krewnymi Orlińskich. Kolportowali i przynosili różne dobre wiadomości, które wszystkim dodawały otuchy. Ale pani Orlińska zawsze wtrącała się, jeśli chcieli od mamy zbyt wiele. Mama ma dziecko, o którym musi myśleć, mówiła, oraz dosyć własnych kłopotów i bez zajmowania się ich sprawami...

Dlatego kiedy tylko lato zaczęło się na tyle, że można już było wynajmować letniska, pan Orliński pojechał z mamą do Wołomina i wynajął dla nas mieszkanie na Stawkach. Było to na rok przed powstaniem, w którym zginęli i pan Orliński, i jego syn Władek, i Wera.

Na Stawkach mieliśmy za sąsiadkę panią doktorową, która mieszkała tam z synkiem, nawet mniejszym ode mnie. Może dlatego, że był ode mnie mniejszy, a może i nie tylko dlatego, mama kazała mi we wszystkim mu ustępować, kiedy budowaliśmy wspólnie zamki w piasku. Chwaliła zawsze te, które on zrobił, chociaż moim zdaniem były one zupełnie do niczego. Poza tym miałem przykazane, żeby zachowywać ostrożność w czasie tych zabaw w piasku, podczas których dzieci mają zwyczaj robić siusiu, żeby piasek się bardziej nadawał do robienia babek i zamków. Miałem pamiętać o tym, że jestem dobrze wychowanym i skromnym dzieckiem. Starłem się nim być, a pani doktorowa bardzo mnie za to chwaliła.

Do pani doktorowej przyjeżdżała z za „zielonej granicy” Pszczółkowska, mała, krępa kobieta, która przywoziła słoninę i inne rzeczy. Namawiała ona mamę, żeby wzięła mnie i pojechała z nią tam, skąd ona przyjeżdża. Że mama nie będzie żałowała, bo jak sama widzi,

jest tam co jeść. Nie ma natomiast kogoś takiego, kto zgodziłby się uczyć dzieci po polsku czytać i pisać. Mama jako nauczycielka miałaby całkowite utrzymanie wraz z dzieckiem. Gospodarze nie dadzą zginąć komuś, kto zgodziłby się potajemnie uczyć ich dzieci. A dzieci od lat się nie uczą i jest to wielkie zmartwienie, mówiła Pszczółkowska. Mama tłumaczyła, że po prostu nie ma odwagi ruszać z dzieckiem tak daleko, w obce strony, gdzie nikogo nie zna. A cóż to szkodzi, argumentowała Pszczółkowska. Ona wie dobrze, jak w Warszawie ciężko. I o żywność trudno, i coraz bardziej niebezpiecznie, zwłaszcza dla samotnej kobiety z dzieckiem. A czy mama jest pewna, że nie wolałaby znaleźć się raczej gdzieś dalej, w takich obcych stronach, gdzie nikt jej zupełnie nie zna?... Mówiła to patrząc uważnie mamie w oczy. Czasy są takie, mówiła, że ludzie wolą się nie znać. A na nieznanym można czasem bardziej liczyć, chociażby dlatego, że jest ich więcej. Stąd i łatwiej o dobrego człowieka wśród nieznanym niż wśród tych, których się zna...

Mama zrozumiała, że Pszczółkowska się wielu rzeczy domyślała, i wiedziała również, że jeśli kiedykolwiek potrzebowała pomocy „dobrego, nieznanego człowieka”, to mogłaby na nią liczyć. Ale nie chciała słuchać więcej ani o wsiach, ani o gospodarzach. Miała już tego dosyć. Bała się i pewno nie zgodziłaby się nigdy, gdyby nie spotkała raz w Wołominie będąc na mieście pewnego mężczyzny, ubranego jak urzędnik, z teczką.

Spotkała go przed sklepem. Uśmiechnął się i powiedział:

- Pani mi kogoś przypomina...

- Pan się na pewno pomylił - odpowiedziała mama.

- Ejże?... Chyba nie. Czy nie miała pani kiedyś trochę ciemniejszych włosów?...

- Nie, nigdy. Owszem, że trochę przytlenione, to prawda, ale tylko dlatego, że to teraz modne...

- A widzi pani. Modne... Ja się na tym trochę znam... Pani nie z Wołomina, prawda? Sama tu pani, czy może jeszcze z kimś? A gdzie pani mieszka?

- Ja tu nie mieszkam, tylko chwilowo... W odwiedziny.

- Niech się pani nie śpieszy! - powiedział przytrzymując mamę za rękę, kiedy miała zamiar odwrócić się i odejść. - Odprowadzę panią!...

- Bardzo panu dziękuję, to ładnie z pana strony, ale to nie wypada... Co by moi znajomi powiedzieli?...

- No to wstąpmy do cukierni. Chciałbym trochę porozmawiać...

- Ale o czym będziemy rozmawiać? Mnie się naprawdę śpieszy...

- O różnych sprawach... Może o wspólnych znajomych?...

- To może kiedy indziej, później, nie w tej chwili, ja nie wzięłam z sobą niczego...

nawet torebki...

- No, dobrze... - powiedział po zastanowieniu się mężczyzna.

- To może ja przyjdę jutro? - zaproponowała naiwnie mama.

- Jak to jutro?!

- A kiedy?

- Zaraz! Za pół godziny. Niech pani idzie do domu, weźmie torebkę i wraca! Ja tutaj stoję i czekam.

- Kiedy ja nie zdążę za pół godziny. Może za godzinę?

- Zdąży pani! Tylko niech pani pamięta, że lepiej przyjść!... Mnie bardzo na tej rozmowie zależy... A i pani chyba też trochę zależy, prawda? Niech pani na pewno przyjdzie, bo pani wie, Wołomin to małe miasto...

- Doprawdy, nie rozumiem, co pan ma na myśli? Pan chyba jest w błędzie?

Ale ten pan nie był w błędzie. Mama go pamiętała. Przyjeżdżał do Dobrego za interesami i bardzo dobrze znał dziadka. Na pewno mamę pamiętał. Na szczęście nasz domek był na Stawkach, po drugiej stronie kolei i mama przez dwa dni nie wychodziła z domu. Na trzeci dzień przyjechała Pszczółkowska, która była zachwycona, kiedy mama jej tak nieoczekiwanie powiedziała, że się zgadza.

Trzeba było pojechać pociągiem do Małkini, przejść razem z handlarzami przez las, przez który przeciągnięta była granica, przejść cicho i na ile to było możliwe szybko przez ściągnięte w jednym miejscu do dołu druty, tak nisko, że nawet handlarka z pakunkami i w długiej spódnicy, tak długiej, żeby można było pod nią jak najwięcej ukryć, mogła nie trącając drutów przejść. Trzeba było przy tym patrzeć na plecy Niemca, który stał na środku szeroko wyrąbanej przesieki z karabinem. Niemiec stał w ten sposób tylko przez określony czas, po którym się odwracał i wtedy, jeśli jeszcze kogoś zobaczył, to strzelał. Taka była umowa pomiędzy nim a handlarkami i trzeba było tej umowy z prawdziwie niemiecką dokładnością przestrzegać. Poza tym Niemiec w tej umowie nie brał na siebie odpowiedzialności za to, co zrobi inny Niemiec, jeśli kogokolwiek zobaczy.

Kobiety robiły znak krzyża, wybiegały z krzaków, w których czekały ukryte, przebiegały zakasując spódnice przez druty i puszczały się biegiem w głąb lasu. Biegły przez las tak długo, dopóki nie wydostały się daleko poza strefę zakazaną. Wtedy padały bez tchu na ziemię i znowu się żegnały, obiecując i sobie, i Matce Boskiej, że już więcej nie będą przez tę granicę przechodziły. Obiecywały to za każdym razem, kiedy udawało im się ją przejść.

Biegłem razem z nimi przez las, nie zrobiłem im zawodu, nie odzywałem się. Raz

tylko zatrzymałem się na widok nieprawdopodobnej ilości grzybów i jagód, które tam rosły. Miałem ochotę schylić się po nie, kiedy poczułem czyjeś gniewne szarpnięcie, które przywołało mnie do porządku, i pobiegliśmy dalej, depcząc miąższ jagód i grzybów, których było tam tak dużo tylko dlatego, że nie wolno było się po nie schylać!

Jechaliśmy furmanką całą noc, a rano przepawiliśmy się przez rzekę. Wieś była rzeczywiście bardzo daleko i nikt nas tam nie mógł znać. Nazywała się Kończany. Była to długa wieś z pochylonymi nad wodą czarnymi drzewami, które wcale nie dodawały jej wesołego charakteru. A może tylko się tak wydawało, bo wiedzieliśmy, że była to nasza ostatnia wieś. Nie dlatego, żebyśmy przewidywali, że to tu właśnie się wszystko ostatecznie rozwiąże i zakończy, to mogliśmy najwyżej przeczuwać, ale wiedzieć, wiedzieliśmy tylko jedno - że stąd nie mieliśmy już więcej gdzie uciekać.

Była to niebezpieczna gra. Najniebezpieczniejsza z wszystkiego, cośmy robili dotychczas, i na pewno byśmy się tego nie podjęli, gdybyśmy mieli jakiegokolwiek inne wyjście.

Szkolę, w której mieszkaliśmy, zajmowali oprócz nas Pszczółkowscy i Kłodowscy. Pszczółkowski był szewcem, a Kłodowski kowalem i obaj nie mieli własnych chałup ani zagród, chociaż ubogi z nich dwóch był tylko Pszczółkowski. Zresztą szkoła była jedynym murowanym budynkiem w tej wsi, przestronnym, widnym i ładnym, krytym prawdziwą dachówką, a nie słomą ani gontem. Zamieszkaliśmy w pokoju, który nam odstąpili Kłodowscy, za co ich dwie dziewczynki mogły się uczyć u mamy darmo.

Do szkoły dzieci nie przychodziły. To myśmy chodzili do nich. Lekcje odbywały się co tydzień u innego gospodarza, do którego należało również dawanie jeść mamie i mnie. Lekcje odbywały się w dwóch turach, rano i po obiedzie. A więc gdy przychodziliśmy, dostawaliśmy najpierw śniadanie, potem przychodziły dzieci, dzieci odchodziły, a my dostawaliśmy obiad, potem przychodziły dzieci starsze, które do obiadu były zajęte w gospodarstwie, a kiedy odchodziły, dostawaliśmy kolację i wtedy mogliśmy już wrócić do domu. Wśród gospodarzy byli bogatsi i biedniejsi i takie gospodynie, które gotowały gorzej i lepiej, ale nigdy nie głodowaliśmy. Dzieci miały rosyjskie zeszyty w skośne linie i ołówki, które pozostawili w szkole „Sowieci”, którzy nie wierzyli w Boga; aresztowali każdego, kto nosił krawat albo kapelusz, mieli wspólne kuchnie i żony i zakładali kooperatywy. Zostawili oni mnóstwo książek i skośne kratkowanych zeszytów w szkole, którą właśnie oni wybudowali. Podręczniki do katechizmu i obrazki dostawała mama od księdza z Zaręb. Uczyła dzieci polskiego i rachunków oraz katechizmu, którego uczyła się razem z nimi...

Raz na miesiąc mama jeździła aż do Sokołowa, skąd przywoziła od swojego męża, a

mojego tatusia list. „Kochana Zosieńko, bardzo tęsknię za Tobą i synkiem, jestem cały i zdrow i wierzę, że niedługo się znów zobaczymy...” - pisał mój tatuś, oficer i ułan, własnoręcznym, okrągłutkim pismem mojej mamy. Mieliśmy również jego zdjęcie, gładko zaczesanego blondyna w mundurze.

- Ale on nie jest wcale oficerem - zauważył Kłodowski - tylko plutonowym...
- Wtedy jeszcze nie był... - wyjaśniała mama. - Dopiero potem awansował.
- Ale kiedy to wcale nie są ułańskie dystynkcje! - kontynuował Kłodowski.
- Ty się tam dużo na tym znasz, ułańskie czy nie ułańskie! - wtrąciła się Kłodowska.
- Pewno że się znam, w wojsku nie byłem czy co?
- Byłeś, byłeś, a jakże! Konie wojskowe kułeś...
- Kułem czy nie kułem, ale na dystynkcjach się znam! - oświadczył stanowczo kowal.

Mama musiała uważać. Na każdy gest, każde słowo. Teraz już nie chodziło o to, żeby chodzić ulicami z podniesioną głową i uśmiechać się do Niemców w tramwaju. Teraz trzeba było cały czas z ludźmi być. Rozmawiać z nimi, słuchać, jeść, kłaść się spać i wstawać, modlić się, pościć i świętować, chodzić i być wszędzie tam, gdzie i wszyscy, bo ludzie nie lubią tych, którzy się oddzielają, i dużo mówić, bo nie lubi się tych, którzy milczą, i zawsze się ich o coś podejrzewa.

A więc nie odsuwać się i nie stronić, nie pozostawać ani na chwilę samemu, w każdej chwili uważać, żeby nie popełnić gafy, nie zapomnieć czegoś, nie pomylić się, a przy tym zachować naturalność i swobodę. Improwizować. I być zawsze gotowym do improwizacji. Nigdy zaskoczonym. A grać rolę, której nie było przecież kiedy się nauczyć. A przy tym grać dzień w dzień i o każdej porze, bez żadnej przerwy na to, żeby zastanowić się, odetchnąć albo po prostu popatrzeć na swoją własną twarz...

Siedząc przy jednym stole z ludźmi, których chleb jedliśmy i którzy mówili nam o sobie wszystko, odpłacaliśmy im naszym udawaniem i historyjkami, które opowiadała mama. Ja nie musiałem grać. Tak się przyzwyczaiłem, że w końcu nie potrafiłem odróżnić tego, co było o nas zmyślane, od tego, co było prawdą. Miałem tatusia, który służył w Mińsku Mazowieckim w siódmym pułku ułanów, miał na imię Stefan i był wysoki jak drzewo. Miałem babcię, która grywała na pianinie, i dziadka, który umarł na raka żołądka, na szlachetną chorobę ludzi szlachetnych, a mama właśnie po nim nosiła żałobę. Nie musiałem wymyślać żadnych mitów jak inne dzieci. Miałem go, był gotowy i piękny. Dostarczała mi go codziennie moja własna mama, mówiła o nim, przeżywała razem ze mną, a przy tym robiła to jak najzupełniej poważnie... Była najlepszym towarzyszem i współnikiem tej zabawy mojego dzieciństwa.

W jesienne i zimowe wieczory schodziły się kobiety, żeby prząść i robić na drutach swetry, szaliki, pończochy, a mężczyźni, żeby popalić i porozmawiać. W czasie tych długich wieczorów, kiedy kobiety siedziały przy kołowrotkach lub nad robótkami z wełny i angory, a mężczyźni palili machorkę, siedzieliśmy razem z nimi i słuchaliśmy o rzeczach, o których wolelibyśmy nie słyszeć.

Bo w okolicznych lasach ginęli wtedy już ostatni błakający się. Ginęli od zimna, głodu i złoczyńców, wierzących, że ich ciała i dusze zawierają złoto. A może nie byli to nawet prawdziwi złoczyńcy? Może tylko byli do tego stopnia dezorientowani? Bo wtedy już zupełnie nie było wiadomo, co właściwie wolno, a czego nie wolno. A oni nigdy przedtem nie mieli zbyt wiele okazji, żeby się nad takimi sprawami zastanawiać. Zaś samo słowo „las” kojarzyło się z łupem. Jak z kradzionym drzewem... A ludzie ze zwierzętami. Bo w lesie i zwierzęta, i ludzie wyglądają i zachowują się - podobnie... Nikt z ludzi opowiadających te historie w ciepłej, przytulnej izbie nie wiedział, że w tych lasach ginęliśmy właśnie my, którzy siedzieliśmy wśród nich przerażeni, lecz niewidoczni. Ze wstrzymanym oddechem, razem z nimi, przy jednym stole...

Na Trzech Króli urządzono jasełka z królem Herodem z małymi hitlerowskimi wąsikami, białą śmiercią z kosą, czarnym diabłem, pasterzami i osiołkami. Był też i Żyd zwany „Żydek”, który robił pocieszne miny i wołał „ajwaj!”, miał frędzelkową brodę z pejsami, małą, czarną czapkę i chałat, w którym wyglądał jak mój dziadek. W nocy mama obok mnie w łóżku płakała. Rano pobiegła do Zaręb, przyklęła w kościele przy konfesjonale i mówiła księdzu, że jest sama na świecie, którego się okropnie boi, i że ma małego synka, a to jeszcze większym napawa ją lękiem, i prosi o przebaczenie za to, że nic więcej nie może powiedzieć i że przyszła się tylko wypłakać...

Zupełnie niespodziewane zmartwienie spadło na mamę, kiedy kowal zaczął się do niej zalecać. Z pokoju Kłodowskich słychać było awantury. Z początku Kłodowski wymyślał po pijanemu żonie, ale po jakimś czasie, widząc bezskuteczność swoich zabiegów, zaczynał w tych kłótniach wspominać o przybłędach, o których nikt nic nie wie, ani kto oni, ani skąd się wzięli, a których jego żona mu trzyma w domu.

Sytuacja stawała się coraz groźniejsza, aż wreszcie Kłodowska wzięła pewnego dnia mamę na stronę i powiedziała, że jej jak najlepiej życzy, że ją osobiście nie obchodzi, kim mama jest, bo dla niej człowiek, który nie robi nikomu nic złego, jest zawsze człowiekiem, kimkolwiek by był, nie mówiąc już o tym, że z mamą się zżyła i ma dla niej naprawdę dużo współczucia i sympatii, ale jej mąż to nieobliczalny, zakuty łeb, wariat i pijak i lepiej byłoby trzymać się od niego z daleka. Dlatego nie wypędza mamy, bo to byłby grzech, którego by

sobie nigdy nie darowała, ale prosi, żeby mama zamieszkała gdzie indziej. Jej nie chodzi o siebie, bo ona i tak ma już zmarnowane życie, ale o spokój dla dzieci, a i dla mamy też byłoby bezpieczniej...

Mama była w rozpacz. Jakże mogła w jej sytuacji pamiętać, że nie patrząc na to wszystko, co ją dotychczas w jej życiu spotkało, była wciąż kobietą, która miała dwadzieścia osiem lat... Mama pobiegła do Pszczółkowskich.

- Nie martw się, Zosia - powiedział Pszczółkowski. - To wszystko już niedługo się skończy, możesz mi wierzyć, niedługo. A na razie pobiedujesz razem z nami. Łóżko jest wąskie, ale zmieście się jakoś z małym. Nasze dzieci i tak przeważnie śpią na siennikach, to im się rozłoży jeszcze jeden siennik, a jak stąd wyjedziemy, bo pewno będziemy musieli stąd wyjechać, to zostanieie w tym mieszkaniu i jakoś przeczekać do końca... Tak, tak, „Zosiu ma, ja tylko chcę śpiewać tobie...” - zanucił Pszczółkowski. Nucił tak prawie zawsze, kiedy mamę zobaczył. Był smukły i wysoki, reperował nieźle buty, jak prawdziwy szewc, ale wcale nie pasował do zydła, a ja wyobrażałem sobie, że tak właśnie jak Pszczółkowski wygląda mój tatuś „ułan w niemieckiej niewoli”.

Kiedy spaliśmy u Pszczółkowskich, mama nieraz budziła mnie w nocy i pytała, jak myślę, czy ojciec jeszcze żyje? Leżeliśmy na wąskim, drewnianym łóżku, a na rozłożonych pod ścianami siennikach szeleściły i mamrotały przez sen dzieci Pszczółkowskich. Budziły się zawsze nad ranem, pochlipywały: „Mamo, jeść!”, aż zjawiała się w drzwiach drugiej izby Pszczółkowska w białej koszuli i sunąc pomiędzy siennikami wtykała to tu, to tam kawałek razowego chleba. Pod ścianami rozlegało się wtedy mlaskanie i pomrukiwanie, po czym wszystko znów ucichało. Tylko my leżeliśmy z otwartymi oczami nasłuchując, jak za oknem zrywał się raz po raz niespokojny, przedwiosenny wiatr. Były to jedyne chwile, kiedy byliśmy sami.

Wśród rzeczy, które przywoziła zza „zielonej granicy” Pszczółkowska, znajdowały się gazetki. Nie były to gazety, ale właśnie „gazetki”, małe, cieniutkie, nieraz drukowane tylko po jednej stronie. Pszczółkowski dawał je mamie do przeczytania.

Czasem przychodził z Zaręb Kaczorowski, który pracował na poczcie. Rozmawiali do późna w nocy z Pszczółkowskim w drugim pokoju. Czasem się kłócili.

W tym czasie na wsi robiło się bardzo niespokojnie. Chłopcy, którzy zimą chodzili „na kawalerkę”, teraz prawie wcale nie wracali na noc do domów, a Mundeck, Kłodowskiej młodszy brat, wrócił któreś nocy do domu z nożem w plecach i wcale tego nie czuł, bo w nocy był mróz. Pamiętał tylko, że ktoś go bardzo mocno uderzył w plecy. Dopiero rano, gdy wszyscy wstali, zobaczyli, że Mundeck leży w łóżku czerwony od krwi.

- Narodówka... - powiedział Pszczółkowski. - Pełno ich w tych stronach, tacy jak Nienaltowscy, Swierzewscy i inna „ślachta”. Mają herby poprzybijane do chałup... Ciemnota jak inne chłopstwo, tylko lubią rządzić innymi i lubią awantury. Kiedyś jeździli aż do Białegostoku rozbijając żydowskie sklepy albo jeszcze dalej, do Warszawy. Trzeba mieć się przed nimi na baczności. Czasem nawet nie rozumieją, co czynią, ale robią okropne rzeczy jak dzicz. Bandyci, dla nich Polska to znaczy bić i mordować.

Mama coraz częściej biegła do kościoła i rozmawiała z księdzem, od którego dostawała książeczki do religii, a w niedzielę robiła swój po warszawsku elegancki, drobniutki znak krzyża i przystępowała do komunii w kościele pełnym ludzi, żeby wszyscy to mogli zobaczyć. Nie zapomniała również jeździć do Sokołowa po list zaczynający się od „Kochana Zosieńko, bardzo tęsknię za Tobą i synkiem”...

Na wiosnę Pszczółkowsky wyjechali. Zapukał do nich w nocy Kaczorowski. Pszczółkowski nie kazał otwierać, ale Kaczorowski powiedział: „otwórzcie, to ja, Kaczorowski!”. Był bez marynarki i bez czapki. Nie rozmawiali długo. Pszczółkowska pakowała rzeczy.

- Nie bój się, Zosia - powiedział na pożegnanie Pszczółkowski. - To już zupełnie niedługo, tylko nie bój się!... - A Pszczółkowska dodała, że w razie czego mama może polegać na Kłodowskiej, bo to dobra kobieta.

Pszczółkowski uciekł na czas, tak wszyscy mówili. Ale mama od tej pory nasłuchiwała w nocy kroków za naszymi okiennicami i ryglowała drzwi. To, że w domu byliśmy sami, miało i dobre strony. Mogłem, na przykład, rozebrać się do naga, ażeby mama natarła maścią całe moje ciało, gdy miałem świerzb, a potem ja mogłem nacierać tą samą maścią plecy mamy, kiedy się ode mnie zaraziła. Musieliśmy jak najszybciej zgubić ten świerzb, o którym nikt nie powinien się dowiedzieć, bo przerwano by lekcje i nie wiadomo, kto dawałby nam jeść. Poza tym mogliby jeszcze powiedzieć, że to może żydowska choroba... Ale z drugiej strony to mamy nasłuchiwanie nie oznaczało niczego dobrego. Aż pewnego wieczoru przyszła Kłodowska i powiedziała, żeby mama nie spała w domu.

- Co się stało? - spytała mama blednąc.

- Lepiej nie pytać.

- Niemcy?... Na pewno się dowiedzieli o lekcjach?...

- Nie...

- Więc co?...

- Nie mogę dużo powiedzieć, w każdym razie to nie o Niemców chodzi...

Wtedy mama zbladła jeszcze bardziej.

- Nie o Niemców chodzi, a o kogo?... Co ja im zawiniłam?! Przecież tylko uczyłam dzieci... Czego oni mogą ode mnie chcieć?! Od kobiety, która jest sama i z dzieckiem...

- Dlatego właśnie przyszłam... - powiedziała Kłodowska.

- Uczyłam dzieci! Czy uczyłam je źle?... Przecież uczyłam tak, jak tylko mogłam! Nawet pacierzy...

- Niech się pani uspokoi i nie traci głowy - powiedziała Kłodowska. - Od tego tutaj jesteśmy. Są ludzie, którzy nie dadzą pani zrobić krzywdy. Trzeba tylko na razie, na wszelki wypadek, nie nocować przez kilka nocy w domu. Ktoś oskarżył...

- Ale o co?!

- O to, że nie wszystko jest z panią tak, jak trzeba... Mówią, że nie jest pani tą, za kogo się pani podaje. Ludzie też mają swój rozum, swoje oczy i widzą. Sama pani rozumie. Powiedzieli, że jest pani... - spojrzała na mamę, która myślała, że już za chwilę usłyszy słowo, którego się najbardziej bała ze wszystkich słów, ale na ustach Kłodowskiej pokazało się coś na kształt lekkiego, smutnego uśmiechu - powiedzieli, że jest pani... szpiegiem - dokończyła. - Niech się pani nie boi - dodała cicho. - Ja nie wiem, kim pani jest, ale jestem kobietą i widzę, że pani chodzi tylko o własne życie i o dziecko, kobieta to od razu zrozumie...

Dopóki się, jak to Kłodowska powiedziała, nie uspokoiło, mama przez szereg nocy sypiała w Zarębach u Kłodowskiej siostry, a mnie wzięła Kłodowska do siebie. Sypiałem w jednym łóżku z Tereską, która była jeszcze tak mała, że kiedy naciągaliśmy kołdrę powyżej głowy i bawiliśmy się nieskromnie w ciemności, mogłem się nie obawiać o to, że pozna, że jestem Żydem.

Zdaje się, że duży wpływ na to, ażeby zostawiono mamę w spokoju, miał ksiądz, któremu Kłodowska wszystko opowiedziała. Zginął tylko Kaczorowski. Przyszli do niego w nocy. Nie Niemcy, tylko koledzy... Mieli do niego żal, mówiono. Może chodziło o to, że Pszczołkowski uciekł, a może o coś więcej? Kiedy wyprowadzili go z domu, przeszukali piwnicę, w której szukali czegoś innego, ale znaleźli niedużą, mizerną kobietę, Żydówkę, która była, jak się okazało, Kaczorowskiego żoną. Nikt nie wiedział potem, co z nią zrobili.

Kiedy przyszła prawdziwa wiosna, zaczęliśmy chodzić na naukę do księdza. Mama obawiała się mnie posłać, powiedziała, że jestem jeszcze za mały. Ale Kłodowska powiedziała: „Nie szkodzi, nawet jeśli za mały, posłij!”. Więc mama mnie posłała.

Biegliśmy do Zaręb co rano przez pachnące wilgocią łąki. Kiedy się zrobiło zupełnie ciepło, biegliśmy boso. Zrywaliśmy kaczeńce, które składaliśmy potem na ołtarzu. W kościele staliśmy w dwóch rzędach, a z góry spoglądał na nas ołtarz z tajemniczym światełkiem. Ze ścian patrzyły postacie z brodami, których tu nikt inny więcej nie nosił... A wysokie witraże

grały przepięknymi melodiami kolorów.

Wychodził ksiądz w białej komży i dostojnymi gestami odprawiał nad naszymi pochylonymi głowami nabożeństwo. Z pobłażliwą łagodnością wtórowały mu gotowe na każde jego skinienie organy, łatwo było zauważyć, z jakim wysiłkiem powstrzymywały się, żeby nie zagrznieć z całej ukrytej w nich mocy. Gdy ksiądz przyklękał, w górę unosił się niebieskawy dym i przesłaniał twarze świętych z wyciągniętymi przed siebie bez żadnego zamierzonego celu ramionami. Kościół napełniał się wtedy zapachem, jakiego nie spotykało się na żadnej z pobliskich łąk.

Ksiądz opowiadał historie o Abrahamie, Izaaku, Mojżeszu. Był młody i bardzo zgrabnie wyglądał w sięgającej trzewików sutannie. Łagodnym spojrzeniem dziękował za każdą dobrą odpowiedź, a opuszczał głowę i zamyślał się, kiedy spodziewana odpowiedź nie padała.

W przeciwieństwie do innych dzieci bez trudu zapamiętywałem wszystkie te melodyjne imiona, które wymieniał ksiądz. Ksiądz opowiadał historie zwyczajne, ale niekiedy bardzo bolesne. Przejmowaliśmy się nimi. Cieszyliśmy się, że my, w przeciwieństwie do ludzi, o których ksiądz opowiadał, nie nienawidziliśmy, nie zdradzaliśmy ani nie pragnęliśmy jeszcze nikogo zabić. Gorzej było z przywłaszczaniem sobie cudzych pudełek od zapalek, wierzbowych gwizdków lub kolorowych kredek. Baliśmy się szatana czyhającego na nas za naszymi własnymi plecami. Poczuciem winy napawała nas skłonność do bawienia się nieskromnymi rzeczami. Ale najgorzej było z niemówieniem prawdy. Zwłaszcza jeśli ktoś jak ja miał taką, której nie wolno było nikomu powiedzieć i musiał kłamać codziennie już przez samo swoje istnienie...

Najbardziej wstrząsająca była historia o Panu Jezusie, który choć był synem samego Pana Boga, jednak zaraz po urodzeniu się i przyjęciu hołdów i podarunków, które ludzie tak chętnie składają każdemu nowo narodzonemu, musiał uciekać wraz ze swoją udręczoną młodą matką przed żołnierzami Heroda i kryć się wszędzie po drodze w obawie, żeby go nie wydano. Później wrócił i wyrósł na najlepszego i najmądrzejszego wśród ludzi, o których wszystko wiedział i którym bardzo współczuł, zwłaszcza słabym, niemądrym i zaślepionym, a nawet niedobrym i nieuczciwym, których pragnął przestrzec przed bezsensownością ich nieuczciwości, która w końcu zawsze im samym przynosi najwięcej zła. Ponieważ nie rozumiano, nazywał chwilę, do której zacierają, Sądem Ostatecznym, a cierpienie z powodu zmarnowania pięknej szansy życia - Piekłem, a pustkę albo pamięć popełnionego zła - Potępieniem. Kochał ludzi i pragnął im pomóc, bo sam bał się śmierci nie mniej od nich, chociaż był Bogiem, i tym bardziej im współczuł. Ale mu nie wierzyli. Ludziom sprawia

trudność uwierzenie, że ktoś jest lepszy od nich, podejrzewają o wszystko, tylko nie o życzliwość. - O wy, małej wiary! - wołał pełen rozpaczyny widząc, że to, co dla niego było tak proste, dla nich graniczyło z niemożliwością... Ileż niesprawiedliwości doznał - nawet w tamtych dawnych, naiwnych czasach - mówiąc prawdę i zanadto odkrywając swoje serce. Czasami pragnął już nawet po prostu zamknąć oczy i umrzeć, i nigdy nie zmartwychwstać. A jednak nie zrobił tego. Nie opuścił ich, chociaż wiedział, że zostanie przez nich zdradzony i zadreńczony na śmierć. Jakżeby mógł o tym nie wiedzieć? Był przecież Bogiem, a nawet człowiek wie takie rzeczy od razu.

Miał wyjątkowe szczęście do ludzi, tylko jeden na trzynastu był zdrajcą. Bolało go to jednak bardziej niż inne rany i jeszcze raz o mało nie zwątpił. Musiał być więcej niż człowiekiem, ażeby wytrwać. Gdyby bowiem i on zwątpił, na marne poszłoby jeszcze jedno cierpienie. I któż dałby świadectwo całej prawdzie, gdyby nawet on, który przyniósł jej z sobą najwięcej, uległ jak inni, zrezygnował i cofnął się? - Nie - powiedział. - Raczej musicie mnie zamordować! To jest cena, którą musicie zapłacić za brak wiary, za wasz brak wiary w samych siebie! - był Bogiem, dlatego pozostał wierny sobie i swojej klęsce, którą tak wcześniej przewidział. Spokojnie poszedł na Golgotę i w spokoju konał, bo wiedział, że uczynił dla nich wszystko, co mógł. Więcej nawet Bóg nie potrafił uczynić. A uczynił to - jako pierwszy.

Historię tę należało pamiętać lepiej niż którąkolwiek. Ksiądz, pragnąc ją w nas utrwalić, zadawał pytania, na które odpowiadało się ze swojego miejsca w szeregu. Tylko mnie ksiądz przywoływał do siebie, kazał stawać obok niego, na stopniu ołtarza, i opowiadać zwrócony twarzą do zebranych dzieci. Wzbudzało to podziw u dzieci, które od tego czasu nazywały mnie... księdzem.

Wróciwszy do domu pytałem mamy:

- Mamo, dlaczego oni ukrzyżowali Pana Jezusa? Dlaczego to zrobili?

- Kto?

- Żydzi.

- Żydzi go ukrzyżowali?

- Tak. Właśnie Żydzi...

- Nie wiem, synku, ale myślę, że gdyby urodził się nie wśród Żydów, to zabiliby go nie-Żydzi...

Była wtedy wiosna, pora, kiedy na wsi niewiele się jadło, a i tego trzeba było nieraz szukać na łąkach i nad strumieniami. „Szkoły” nie było, ponieważ mniejsze dzieci chodziły do księdza, a większe były cały dzień potrzebne w obejściu i do pasienia bydła. Wracając z

kościół, zbierałem z łąk szczaw, a potem chodziłem po chrust, żeby mama mogła ten szczaw ugotować.

Tylko Nienałtowsy brali nas jeszcze do siebie, ażeby ich chłopcy mogli się dalej uczyć. Ale tylko po południu i co drugi dzień. Inni gospodarze brali nas czasem do sadzenia kartofli albo po prostu przysyłali od czasu do czasu trochę jaj, masła, albo miodu, niby jeszcze za „przeszłe”. Na imieniny Jadzia Nienałtowszczanka przyniosła mamie placek. Dostaliśmy również kawał lnianego płótna, robionego na domowych krosnach, a bielonego na słońcu, ażeby mnie mama miała w co ubrać do komunii.

Do komunii miałem przystąpić z grzechem. Byłem przecież niechrzczony. Mówiłem mamie, że to śmiertelny grzech, kiedy ktoś coś takiego zatai na spowiedzi i w dodatku przystąpi do komunii, ale powiedziała mi, że chyba nie chcę, ażeby ona przeze mnie zginęła. Powiedziałem, że nie, nie chcę! Ale to przecież niemożliwe, powiedziałem, żeby ksiądz nas wydał!...

- Wystarczy, jeśli będzie musiał cię ochrzcić... - powiedziała mama.

- To może ja wcale nie przystąpię do spowiedzi?

- Musisz przystąpić!

- To nie przystąpię do komunii...

- Musisz iść do komunii razem z innymi dziećmi.

- I mam mieć śmiertelny grzech?

- Jeśli tego nie zrobisz albo powiesz to, co nie trzeba... będziesz miał jeszcze większy grzech! Pamiętaj...

Kościół był napelniony odświętnie ubranymi ludźmi, łagodnymi, uśmiechającymi się. Ich pobożny głos unosił się i opadał przy akompaniamencie organów. Klękali zgodnie i zgodnie wstawali, z twarzami wpatrzonymi w ołtarz i w nas, którzyśmy przed tym ołtarzem klęczeli. Miałem ubranko z podarowanego białego płótna z wielkim błękitnym kołnierzem i białą, marynarską czapką z niebieską wstążką. Przed kościołem, gdzie czekały nasze wzruszone matki, ksiądz wręczył nam święte obrazki. Każdemu po jednym, a mnie - dwa... Ostrożnie stąpałem po ziemi. Oddzielały mnie od niej wysokie, białe pończochy i pomimo ciężkiego grzechu czułem się jak Anioł...

Tego lata pasłem wraz z chłopcami krowy Nienałtowskiego. Paliliśmy na polu ogniska i uganiaлись się za psami i za żabami, bo krowy pasły się i bez naszej pomocy, spokojnie, pomiędzy błękitem a zielenią, do których miały nie podlegające niczyjej wątpliwości prawo, a dzieliły się z ptakami, mrówkami i biedronkami w taki łatwy i zwyczajny sposób, który wśród ludzi był niemożliwy. Boże, jak dobrze jest krowom i jak

dobrze jest paść krowy, myślałem. Był taki jeden chłopiec, który, kiedy mu wszystkich zabili i został zupełnie sam, poszedł na wioskę paść krowy. Ani jego, ani on nikogo tam nie znał. Powiedział, że nie pamięta, skąd jest ani jak się nazywa. A ludzie go o nic więcej nie pytali. Dostał u gospodarza kąt do spania, miskę i przebywał tylko z krowami. I latem, i zimą. I nie było drugiego człowieka, który by miał wtedy tyle szczęścia co on. Bo w końcu naprawdę zapomniał o tym, skąd przyszedł i jak się nazywał... Inni, którzy też mieli takie szczęście, później odeszli, bo pamiętali, kim byli albo ktoś o nich pamiętał. Ale on tam pozostał. I może wciąż jeszcze tam jest?...

Myśmy musieli jednak przestać paść nasze krowy, ponieważ nadciągnęli Niemcy. Mieli zaprzężone do załadowanych rolwag wielkie, belgijskie konie z jasnymi grzywami. „Dobre mają jeszcze konie” - mówili ludzie z podziwem. Wiedzieli, że te konie i tak nic nie pomogą, więc dlaczego mieliby skąpić podziwu?... Natomiast starali się poukrywać w lesie własne konie i krowy.

Niektóre wozy zatrzymały się przed kuźnią Kłodowskiego, a Niemcy zaczęli chodzić po wsi. Jeden z nich przyszedł do Kłodowskiej i wszedł do kuchni, gdzie mama obierała kartofle dla Kłodowskich i dla nas, najpierw poprosił wody, a potem usiadł na stołku naprzeciwko mamy, podparł się karabinem i patrzył, jak mama obierała kartofle, i wcale się nie zabierał do odejścia.

- Co, on tutaj ma zamiar tak wiecznie siedzieć? - zapytała Kłodowska. - Powiedz mu, żeby sobie poszedł! Na wojnę! Tam, pif, paf!... Koledzy już poszli, poszli już. Kameraden!

Niemiec popatrzył na Kłodowską i coś odpowiedział.

- Co on mówi? - zapytała Kłodowska.

- Mówi, że ma już dość wojny, że już nie chce wojować...

- Rychło w czas sobie przypomniał! - powiedziała Kłodowska.

- Mówi, że dawno już nie jadł domowego obiadu.

- Powiedz mu, że trzeba było siedzieć w domu, u żony, toby jadł! A tak to będzie tutaj ziemię gryzł...

Niemiec wyjął z pochwy bagnet, sięgnął po kartofel i zaczął obierać. Może wydawało mu się, że Kłodowskiej chodzi o to, że jeśli chce jeść obiad, to powinien pomóc.

- Spójrz tylko, jak on na ciebie patrzy! - powiedziała do mamy Kłodowska. - Jakby rzeczywiście już dawno nie jadł domowego obiadu... Co on sobie właściwie myśli, ta fujara?!

Twarz mamy oblała się rumieńcem, ale nie był to wcale rumieniec kobiecego wstydu. Naprzeciwko niej siedział i patrzył na nią pożądanymi oczami Niemiec. Co ten Niemiec myślał, to było, oczywiście, widać. Ale co wtedy mama sobie myślała, tego on się zupełnie

nie domyślał...

Potem zajechał przed szkołę nieduży samochód pomalowany w kolory liści i pni drzew. Kiedy Niemiec usłyszał warkot samochodu, rzucił kartofel, chwycił karabin i wybiegł. Z samochodu wysiadł major. Chodziło o to, żeby mu upiec na obiad kaczkę. Zdaniem Nienaltowskiego, który kaczkę przyniósł, tylko mama, jako osoba pochodząca z Warszawy, mogła tę kaczkę przyrządzić i nadziać. Majorowi zależało również na tym, żeby kaczka była gotowa jak najszybciej, więc zawołano jeszcze kilka kobiet, ażeby mamie pomogły, zaś sam major udał się z powrotem do samochodu. Stałem właśnie i patrzyłem na jego połyskujący daszek u czapki, błyszczące cholewy i epolety. Zauważył mnie, zatrzymał się przy drzwiczkach i skinął na mnie rękę, pokazując, że jeśli chcę, to mogę się z nim przejechać. „Idź, idź, kiedy cię pan woła!” - wołali do mnie ludzie zebrani przed szkołą. Ale ja uciekłem czym prędzej do kuchni.

Podczas gdy major jeździł samochodem i oglądał miejsca, gdzie ludzie kopali rowy i ścinali topole przydrożne i te znad wody - były to olbrzymie topole, które, gdy leżały, wydawały się jeszcze większe niż przedtem - kobiety uwijały się w kuchni, w której było gęsto od zapachu skwierczącej w gorącym tłuszczu kaczki. Wszystkim zależało na tym, ażeby major miał kaczkę na czas i żeby mu smakowała.

I rzeczywiście kaczka była wyśmienita. Major był tak zadowolony, że nawet prosił mamę, żeby się też poczęstowała. Ale tego już mama nie potrafiła zrobić... Wobec tego major poprosił, żeby mu zaśpiewać rosyjskie piosenki.

- Ależ my nie umiemy - tłumaczyły kobiety. - My nie Ruskie, my Polacy...

- Wszystko jedno! Śpiewać rosyjskie piosenki - upierał się major.

Zachodziła obawa, że major się jeszcze rozgniewa, więc Nienaltowski posłał po Jadzię, której przedtem zabronił wychodzić na krok z domu. Jadzia umiała „Rozkwitały jabłonie i grusze”. Jadzia zaśpiewała po rosyjsku „Rozkwitały jabłonie i grusze”, przy czym jąkała się i zapominała słowa, zwłaszcza takie, które, zdaniem Nienaltowskiego, mogłyby majora urazić...

Całą noc słychać było dalekie, armatnie wystrzały, a na drugi dzień szrapnele zaczęły przelatywać nad Kończanami. Jednocześnie z obu stron wsi zapaliły się stodoły i zabudowania. Ludzie rzucili się do ratowania, ale Niemcy zabronili gasić. To nie od szrapneli zaczęła palić się wieś.

Nienaltowski zorganizował natychmiast zbieranie gęsi, jaj i słoniny, a kiedy już wszystko zebrali, pośpieszyli z mamą do Niemców. Niemcy przyjęli dary i wyrazili zadowolenie z tak szczerej lojalności mieszkańców, ale wieś, powiedzieli, musi, niestety,

zostać spalona, bo zabudowania przesłaniają pole ostrzału.

Więc posłano po więcej drobiu, jaj i słoniny, które Niemcy znowu przyjęli, ale, rozkładali ręce, niestety, nic nie mogą poradzić, mówili. Wojna, taki rozkaz!

- To niech chociaż szkoła zostanie!... - wołali ludzie. - Niech przynajmniej szkoła!... Jest duża, mocna, murowana, z dachówką, strychem i piwnicami! Ogień jej nie chwyci! Mogłaby przygarnąć wiele rodzin!...

Dobrze, zgodzili się Niemcy. Nie obiecują nic, ale zobaczą, co da się zrobić. Na razie jednak, ponieważ nie są niewdzięcznikami, zaopiekują się ludnością, której nie pozostawią na pastwę ognia i bolszewików. A zatem wszyscy - zabrawszy krowy, konie, których nie ukryto, już przedtem zostały zarekwirowane - opuszczą wieś pod opieką wojska. Trzodą i innym, drobniejszym inwentarzem zajmą się tabory.

Szybko i łatwo zapalały się stodoły, samotne sterty i słomiane dachy chałup. Opuszczając wieś, ludzie oglądali się za siebie, żeby sprawdzić, która zagroda się już zapaliła, a która jeszcze nie. Tyle razy to się już zdarzało. Zawsze, jak długa historia tych wsi. Ale ich niepoprawni mieszkańcy zaślepieni i zadufani przez nawyk i naturę, która każe im za każdym razem na nowo wierzyć w trwałość tego, co robią i co posiadają, wydawali się tak zaskoczeni, jak gdyby zdarzyło się to pierwszy raz...

Kiedy byliśmy już daleko za wsią, jasno i strzeliście, okazalej niż wszystkie inne zapaliła się obłana benzyna szkoła.

Po drodze selekcjonowano krowy i przekazywano armii. To samo robiono z ludźmi, których odsyłano do kopania wciąż nowych okopów. Ustawieni na skrzyżowaniach żandarmi wypatrywali co młodsze twarze zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Żołnierze na koniach uwijali się po obu stronach gościńca, poganiaли nerwowo swoje konie, które poganiały ludzi. - Dokąd nas gonicie? - pytali ludzie zwracając się w stronę końskich pysków.

Na horyzoncie narastał huk i widać było nawet dymy wystrzałów.

- Dokąd nas gonicie? Po co wam jeszcze te kobiety z dziećmi i starzy ludzie, którzy w tym tłumie zostali? Zostawcie nas tutaj, zabraliście już wszystko, więc nas przynajmniej zostawcie!... - wołali ludzie.

- Toć oni nas na prawdziwe zatracenie gonią!... - zawołał Nienaltowski, który zostawił w lesie spętane konie i krowy. - Uciekajcie, ludzie! - wołał. - Jak wszyscy zaczną uciekać, to nie dadzą rady! Uciekajcie!

Ale kobiety z dziećmi nie chciały uciekać. Do ucieczki rzucił się tylko stary Nienaltowski i dwóch innych chłopów.

- Halt! - zawołał żołnierz. Ściągnął konia, owinął uzdę wokół ręki i podniósł karabin.

Nienalowski wskoczył do rowu, skąd widać było jego granatową maciejówkę.

- Halt! - powtórzył żołnierz.

Dwaj chłopci, którzy pobiegli razem z Nienalowskim, zatrzymali się i zawrócili, tylko maciejówka uciekającego Nienalowskiego wciąż podskakiwała w rowie.

- Wracaj, stary! - zawołała Nienalowska.

- Niech tato wraca! - wołała Jadzia.

Żołnierz nie strzelał, opuścił karabin. Wszyscy zatrzymali się i czekali. Wreszcie Nienalowski zaczął wylazić z rowu, zdjął czapkę, otarł rękawem czoło i otrzepał cholewy. Wtedy żołnierz znowu podniósł karabin...

Nienalowski otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle rzucił czapkę i zaczął uciekać. Żołnierz strzelił raz i drugi... Nienalowskiej pozwolono tylko podnieść z ziemi granatową czapkę.

Strzelaninę słychać było ze wszystkich stron i w końcu nikt już nie wiedział, z której właściwie strony nadchodziła. Słychać już było nie tylko huk dział, ale i drobną strzelaninę karabinową.

Kobiety prosiły, żeby mama zwróciła się do starszego z Niemców i wytłumaczyła, że przecież i tak nie mają już dokąd iść, że i stamtąd, dokąd idą, słychać strzelaninę. Niech pozwolą ludziom się ukryć. Dzieci nie mają już siły iść!...

Niemiec, do którego się mama zwróciła, spojrzał na nas z wysokości konia i wskazał na mnie. Mama bez słowa podsadziła mnie na siodło.

Koń był bardzo wysoki. Trzymałem się kurczowo jego ruchliwej szyi, a mama uśmiechała się z dołu.

- Nie bój się, synku, bądź zuchem! Podziękuj panu żołnierzowi, ten pan ma takiego samego synka jak ty...

Niemiec siedział głęboko w siodle, a ja tylko na zadartej krawędzi siodła i kiedy koń schylał łeb po źdźbło trawy, zawisałem nad otwartą przepaścią. Chwyciłem się wtedy sukna munduru i spodni wiozącego mnie Niemca. Mama szła przy strzemieniu i spod uśmiechu strzegła mnie swoim uważnym spojrzeniem. Strzegła tym spojrzeniem nas obu, zarówno mnie, jak i Niemca.

Nikt na tej drodze nie był pewny swojego losu, ale też nikt spośród ludzi, którzy znajdowali się razem z nami na tej drodze, nie wiedział - może tylko z wyjątkiem Kłodowskiej, o której z kolei my nie wiedzieliśmy, co ona właściwie wie, a czego nie wie, a ona wcale nie starała się o to, żebyśmy się dowiedzieli - a zatem nikt, może tylko z wyjątkiem Kłodowskiej, która się może domyślała, nie wiedział, że choć wprawdzie nikt nie był pewny

swojego losu na tej drodze, to jednak tylko my dwoje, mama i ja, nie mieliśmy prawa chodzić żadną z tych dróg, nawet popędzani razem z krowami. Nie mieliśmy prawa... Ludzie, wśród których urodziliśmy się i z którymi żyliśmy, byli już wtedy martwi, poumierali popędzani innymi, wcześniejszymi drogami, na których nas z nimi nie było, poumierali pod swoimi własnymi imionami. Natomiast my, gdybyśmy zginęli, nikt nie dowiedziałby się nawet naszych prawdziwych imion. Byliśmy tylko my dwoje...

Ale mama wyglądała tak, jakby się już niczego nie bała. Chłodno i spokojnie patrzyła na Niemca, który mnie wiozł, i rozmawiała swobodnie, choć rozmawiając z Niemcem musiała stale uważać, ażeby wśród wypowiedzianych przez nią niemieckich słów nie znalazło się coś z żydowskiego... Idąc obok Niemca wiozącego mnie na swoim koniu, wydawała się już o tym nie pamiętać. Czy była pewna, że wygraliśmy?...

Szła wyprostowana, jakby nie czuła zmęczenia, a w jej uśmiechu, którym odpowiadała na uwagi Niemca, nie było nic przymilnego. Przeciwnie, zdawała się mówić: „Jedź, jedź! Nie jesteś ani lepszym, ani gorszym od każdego innego Niemca. Po prostu tylko nie wiesz tego, czego Niemiec nie powinien wiedzieć... Tak czy owak, jedziesz ku swemu przeznaczeniu, więc dlaczego nie miałbyś podwieźć mojego małego synka? Jest on tyle razy mniejszy od ciebie, ale o ile więcej rzeczy sprzysięgło się przeciwko niemu niż przeciwko tobie?... Dlatego wieź go, wieź!... To najlepsze, co możesz uczynić...”.

Patrzyła, jak chwyciłem się zielonego sukna jego munduru, gdy koń schylał nagle głowę, i mówiła mi: - Nie bój się, synku! - A mówiła to tak, jakby chciała powiedzieć: „Nie bój się tego Niemca. On już się nawet nie gniewa, że go szarpiesz za jego piękny mundur. Przeciwnie, nie widzisz? Jest zadowolony, cieszy się, że może cię mieć na swoim siodle w tej niepewnej dla niego godzinie... Uśmiecha się, widzisz? On się boi... Siedź na jego siodle. Zrób to dla niego! Na razie tak jest lepiej i jemu, i nam...”.

Linia frontu, przed którą uciekaliśmy, nie wiadomo jakim sposobem znalazła się nagle przed nami.

Niemcy nie mogli przypuszczać, że tak się stanie. Przed wieczorem nadleciały samoloty. Pociemniało tak, jakby nadleciała wielka, deszczowa chmura. Niektóre samoloty zniżyły się i posypały drobnym, lecz gęstym deszczem. Ktoś krzyknął:

- Cywile, nie kryć się!

Więc ludzie się nie kryli, tylko rozbiegli po polu.

Nad ranem człowiek w jasnej bluzie rozgarnął snopki, wśród których siedzieliśmy, i powiedział słowo - zdrowstwuje! Przy drodze leżał przszyty do zielonej murawy koń.

Wyszliśmy na obmytą pociskami ziemię...

Zwycięstwo

*Nikommu nie zależałoby na tym bardziej
niż mnie, żeby fakty przytoczone w tej
książce wyglądały inaczej -
Autor*

Część pierwsza

Rosjanie szli wyboistym, glinianym gościńcem prowadzącym przez wioski, z których zostały same kominy. Szli przez wioski sterzających kominów i długimi tykami opukiwali drogę. Jechali na wozach ciągniętych przez konie, na lawetach armat i ciężkich, powolnych czołgach. Głowy mieli ogolone do skóry, brudne furażerki nasunięte fantazyjnie na czoło. Za miękkimi, marszczonymi cholewami butów mieli zatknięte drewniane łyżki własnej roboty. Na postoju wyciągali je zza cholewy i jedli nimi zupę i kaszę, potem wycierali o spodnie i wtykali znów za cholewę. Szli przez cały dzień i całą noc, a potem znów cały dzień aż do nocy.

- Boże, ile ich jest - mówili mężczyźni z niepokojem. - Wcale końca nie widać...

Rosjanie byli bardzo młodzi, osiemnastoletni, siedemnastoletni, nawet szesnastoletni.

- Wytracili już starsze roczniki - twierdzili mężczyźni ze znawstwem.

Młodzi żołnierze przygrywali sobie na harmoniach lub ustnych organkach. Wypijali duże ilości wódki, denaturatu, wody kolońskiej - co tylko im wpadło do rąk. Podobno gwałcili kobiety, ale tego myśmy już nie widzieli. Przeciwnie, kobiety patrzyły na nich ze współczuciem i prawdziwym wzruszeniem.

- Przecież to jeszcze dzieci! - mówiły. - I co toto wie? Co toto zaznało w swoim życiu? Idzie na wojnę, może niedługo zginie, a w domu matka płacze...

Staliśmy przy drodze i patrzyliśmy na nich, a mama ukradkiem ocierała łzy. Od czasu do czasu nachylała się do mojego ucha i mówiła szeptem:

- Przeżyliśmy... Widzisz, przeżyliśmy!...

Patrzyłem szeroko otwartymi oczami na czołgi, wielkie jak domy, sunące drogą i poboczem drogi.

- A jak teraz będzie? - spytałem patrząc na czołgi orzące ziemię w poprzeczne skiby.

- Teraz już będzie nam dobrze. Będziemy mogli żyć. Tak jak wszyscy. I nikogo już nie będziemy się bać...

- Nie będziemy się bać?... Dlaczego?

- Bo wojna się skończy. Zobaczysz, jak wszystko się zmieni.

- I nie będziemy się więcej bać ludzi? - pytałem z niedowierzaniem.

- No pewnie, że nie. Ludzie teraz będą dla nas dobrzy, zobaczysz...

- A Niemcy?

- Niemców już nie ma. Już ich więcej nie będzie. Przeżyliśmy ich! Czy to rozumiesz? Przeżyliśmy wszystkich Niemców...

Czułem na szyi jej gorący oddech, kiedy się nachylała do mojego ucha. Na policzkach miała rumieńce, nie od szminki, której używała, żeby wyglądać wesoło i zdrowo - prawdziwie.

- Ale dlaczego mówisz mi to wszystko na ucho? - zapytałem.

- Na razie jeszcze nie wolno o tym głośno mówić. Na razie nikt jeszcze nie powinien wiedzieć, że jesteśmy Żydami...

- A kiedy?

- Jak wrócimy do Dobrego?

- Do Dobrego? Dlaczego mamy wracać do Dobrego?

- Jak to, dlaczego? Musimy przecież odszukać tatusia, babcię, dziadka, naszą rodzinę...

Nic nie odpowiedziałem.

- Dlaczego nic nie mówisz? Jak myślisz, czy oni żyją?...

Znów nie odpowiedziałem.

- Dlaczego nie odpowiadasz? Nie pamiętasz już ich? Nie pamiętasz nawet tatusia?

- Pamiętam - powiedziałem. - Ale nie chcę...

- Czego nie chcesz?!...

- Nie chcę do Dobrego...

- Jak to? Dlaczego?!...

Nie odpowiedziałem.

- Dlaczego nie chcesz do Dobrego? Dlaczego nie odpowiadasz? Mów!

- Bo ja nie chcę być więcej Żydem...

Teraz ona nie odpowiedziała.

- Mamo, nie słyszałaś, co ja powiedziałem? Ja nie chcę! Naprawdę nie chcę... Ja już więcej nie będę Żydem, dobrze?

Znowu nie odpowiedziała. Podniosłem głowę, ale nie spojrzała na mnie. Patrzyła gdzieś daleko przed siebie.

- Nie będę, dobrze?...

- Zobaczymy... - odpowiedziała.

- Nie, ja chcę wiedzieć na pewno!

- No, dobrze, dobrze, jak będziesz chciał. Ja cię nie będę zmuszać. Kto wie, czy jeszcze w ogóle będą Żydzi...

*

W Kończanach ludzie wyciągali z popiołów metalowe zamki, klamki, fajerki i kuchenne blaty. Stawiali przy pogorzeliśkach szalasy i gotowali na wolnym powietrzu. Biegali po lasach w poszukiwaniu swoich owiec i krów. Niektórzy szli do lasu i nie wracali, zwłaszcza ci, co w czterdziestym pierwszym roku zbyt ostentacyjnie cieszyli się, jak Rosjanie uciekali.

Chodziliśmy od pogorzeliśka do pogorzeliśka i żegnaliśmy się z gospodarzami. Starali się nas zatrzymać.

- Dokąd pani pójdzie z dzieckiem? Przecież jest jeszcze wojna. W miastach głód. Tu na wsi zawsze łatwiej. Jest lato. Przespać można się byle gdzie, nawet w snopkach póki ludzie pobudują stodoły, a do zimy niejedna chałupa stanie... W Świerżach się nie wszystko spaliło, można by tam u kogoś zostać na razie, a my byśmy przysyłali dzieci na naukę. Kto wie, ile to jeszcze potrwa, zanim znów otworzą jakieś szkoły i co to będą za szkoły?...

Jedynie Kłodowska mamy nie zatrzymywała. Mama była pewna, że Kłodowska się domyśla, że jesteśmy Żydami, tylko stara się nie dać tego po sobie poznać. Mama kochała ją za to. Wiedziała, że Kłodowska zawsze broniła nas przed podejrzeniami ze strony innych ludzi. To że Kłodowska nie starała się nas zatrzymać, utwierdziło mamę w przekonaniu, że powinniśmy jak najszybciej wyjechać.

I Kłodowska, i mama wiedziały, że oprócz owiec i krów w okolicznych lasach ukrywała się „Narodówka”. Dla „Narodówki” Rosjanie czy Niemcy to było wszystko jedno. Z tą różnicą, że od kiedy wiadomo było, że nie Niemcy wygrają wojnę tylko Rosjanie, „Narodówka” bardziej bała się Rosjan. Rosjan i komunistów. Zaś oprócz Rosjan i komunistów „Narodówka” najbardziej nie lubiła Żydów. I to właśnie było dla nas najgorsze. Rosjanom „Narodówka” nic nie mogła zrobić. Komunistów, o ile gdzieś byli, trudno było wykryć. Oni nigdy nie nazywali siebie komunistami. Natomiast bardzo łatwo było wykryć i osiągnąć Żydów z Sokołowa, Białej Podlaskiej i białostockiego getta, którzy szukali schronienia w lasach.

Mama o tym wszystkim wiedziała. Wiedziała, kto należał do „Narodówki”, wiedziała, co robili z Żydami. Mieszkaliśmy między tymi ludźmi, chodziliśmy razem z nimi do kościoła, mama uczyła ich dzieci nielegalnie polskiego i katechizmu, nie mieli przed nami tajemnic. Mówili, że Żydzi cieszyli się z przyjscia Rosjan w trzydziestym dziewiątym roku. Mówili też, że najgorsi enkawudziści to byli Żydzi. Niektórzy twierdzili, że to dobrze, że Hitler wyniszczy w Polsce Żydów, zanim znów przyjdą Rosjanie, bo inaczej to Żydzi połączyliby się z Rosjanami, żeby wyniszczyć Polaków. Częstośmy tego słuchali. Mamie ciarki

przechodziły po plecach, kiedy słuchała, ale musiała słuchać i nic nie mówić, a jeśli mówić, to mówić to samo. Łatwo można było sobie wyobrazić, co by nas czekało, gdyby ci ludzie dowiedzieli się, że jesteśmy Żydami.

Dlatego nawet przy pożegnaniu nie wolno nam było się przyznać, że jesteśmy Żydami. Żegnając się z ludźmi, z którymi wiele razem przeżyliśmy i którzy okazywali nam swoją przyjaźń, mama czuła się winna i nieczysta. Dziwnego uczucia doznawała wobec takich osób jak Nienałtowski, którzy w ostatnim, najcięższym okresie okazywali nam elegancką i chrześcijańską pomoc zamawiając dodatkowe lekcje dla swoich dzieci, ażeby mieć jeszcze jedną okazję dawać nam jeść. Mama nie mogła nie czuć dla nich wdzięczności jako kobieta i matka, gdy jednocześnie, jako Żydówka, właśnie przed Nienałtowskimi czuła największy lęk. Była dwiema osobami naraz - musiała doznawać podwójnych uczuć. Nie było na to rady. Najtrudniej jej było przy pożegnaniu z Kłodowską. Rozplakała się. Było jej wstyd.

Furmanka odwiozła nas do Bugu. Przeprowadziliśmy się promem prowadzonym przez rosyjskich saperów i dostaliśmy się do zatłoczonego towarowego pociągu.

W pociągu mama również nikomu nie mówiła, że jesteśmy Żydami. Mówiła tylko, że od dawna nie miała wieści o swojej matce, ojcu, siostrach i młodszym bracie, i że nie wie, co stało się z moim ojcem. Niepokój ją ścisnął za serce, mówiła, na myśl, że mogło im stać się coś złego, a przecież tyle złego się stało. Łkanie ją chwytalo za gardło, kiedy o tym mówiła. Ludzie ją pocieszali, jak mogli. Każdego z nich spotkało nieszczęście, prawie każdego. - Ale nie każdego jednakowo - oponowała mama. - To jeszcze nie takie straszne, gdy się straci jedną osobę, nawet bardzo bliską i drogą, ale gdy straci się wszystkich i gdy człowiek zostaje na świecie sam zupełnie, sam jeden... - Niech się pani nie martwi, tak źle na pewno nie będzie - pocieszali ją ludzie, którzy nie wiedzieli, że mama jest Żydówką i że dlatego jej najgorsze obawy mogły się z łatwością sprawdzić.

W Mińsku Mazowieckim mama chciała już biec do znajomych, żeby się wszystkiego dowiedzieć, ale straciła odwagę i do nikogo nie poszła.

W ciężarówkach, które zatrzymywaliśmy na drodze, żołnierze próbowali się zalecać do mamy. Kiedy byli zbyt natarciwi, mama mówiła, że jest żoną polskiego oficera, który wrócił z Rosji z wojskiem, że dostaliśmy od niego wiadomość, że jest cały i zdrow i właśnie do niego jedziemy. Dopiero w ostatniej ciężarówce, która jechała do samego Dobrego, mama powiedziała, że jest Żydówką, że wraca do miasteczka, w którym się urodziła i wychowała i w którym miała całą najbliższą rodzinę. Może oni, żołnierze, spotkali, a może przynajmniej słyszeli o jakichś Żydach, co ocaleli? - pytała mama. Nikt jej nie odpowiedział i nikt więcej nie zalecał się do niej.

*

Dziadek, babcia, obie ciotki i nieletni wujek Chil mieli bardzo mało szans, żeby przeżyć - sami, bez pieniędzy i w lesie. Kto miał pieniądze, mógł jeszcze chodzić od chłopa do chłopa i liczyć na jakąś pomoc. Ale i to trzeba było umieć, bo posiadanie pieniędzy miało i swoją złą stronę. Trzeba było wiedzieć do kogo pójść, komu, kiedy i jak płacić.

To nie było dla nich. Dziadek był religijnym Żydem, prawie fanatykiem - o świecie nie miał pojęcia. Babcia była mądrzejsza, ale umiała być mądra tylko u siebie w domu, w Dobrem, nie w lesie. Oboje byli na to za starzy. Ciotki zaś były za młode. Basia była ładna i pewien człowiek z Poznańskiego, katolik, chciał się z nią ożenić i zabrać w swoje strony, gdzie nikt by nie wiedział, że jest Żydówką. Ale ona nie chciała. Mówiła, że nie po to wychodzi się za męża. On jej to proponował jeszcze na parę tygodni przed wywiezieniem Żydów z Dobrego. Starsza od Basi Chancia była nie tylko biedna, ale i brzydka, i nikt nigdy nie chciał się z nią ożenić. Miała grube nogi i duży nos i bała się ludzi. Wujek Chil, dziadka jedyny i ukochany syn, miał pięknie zakręcone pejsy przy dziecinnych i zawsze bladych policzkach, jarmułkę na czubku głowy, długą, chasydzką kapotkę i studiował Talmud, chociaż miał wszystkiego trzynaście lat.

Dziadek być może czuł ulgę, kiedy Niemcy ustawili ich nad rozkopaną ziemianką. Chancia mogła czuć lęk, a Basia pogardę. A może obie czuły pogardę. Przecież patrzyły w oczy - mężczyzn. Może tylko trzynastoletni wujek Chil był naprawdę przerażony. Najnieszczęśliwsza musiała być jednak babcia, która całe życie tyrała dla nich i harowała, która całe życie była matką. Zasypali ich w ziemiance, w której ich znaleźli.

Ojciec został zabity w rok później. Zarabany siekierą. Znaleziono go pod Radoszyną, przy drodze, i tam zakopano.

Staliśmy na środku targowego placu otoczonego domami i sklepikami. Domy miały te same powykrzywiane, stare okiennice, a sklepiki wydeptane, kamienne schodki. Plac upstrzony był końskim nawozem. Gdy stało się w Dobrem na placu, widziało się całe Dobre. W górze, pomiędzy chmurami przesuwająca się kościelna wieża, a przez niezabudowane przerwy pomiędzy domami widać było zielone łąki, snopki na skoszonych polach i las. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy siedzieliśmy na załadowanych tobołkami wozach i patrzyliśmy za siebie ostatni raz. Tylko drewniana chałupka dziadka, która stała za opłotkami, została spalona i rozebrano bóżnicę, która również stała za pierwszą linią domów, ukryta przed ludzkimi oczami. Poza tym wszystko zostało, jak było. Nawet te snopki na polach... Od tamtej pory zboże skoszono wszystkiego dwa razy i to drugie zboże stało jeszcze na polu, a myśmy myśleli, że minęły wieki. A i ludzie patrzyli na nas tak, jakbyśmy wrócili z

tamtego świata, i dziwili się: - Jak to? To Abramkowa żyje?...

Byli to inni ludzie. Tych, którzy tu kiedyś mieszkali, już nie było. Jakbyśmy rzeczywiście wrócili nie po dwóch, ale po dwustu latach. Ludzie stali dookoła nas i przyglądali nam się, a inni wciąż przybiegali, żeby nas oglądać i wszyscy tak samo głośno się dziwili, że żyjemy, aż i my sami zaczęliśmy się dziwić i zaczęliśmy się czuć tak, jakbyśmy żyli zbyt długo.

Mama patrzyła na domy stojące dookoła i sklepiki. Wskazywała okna i wymieniała imiona. Kiedy wymieniła wszystkie sklepiki, zaczęła wskazywać okna na pierwszym piętrze wymieniając również imiona tych, którzy kiedyś na pierwszym piętrze mieszkali. Wyglądało to tak, jakby wszystkim tym domom, oknom, sklepikom nadawała imiona. Więcej niż jedno piętro domy w Dobrem nie miały.

Nie płakała ani nie rozpaczała i nikt się temu nie dziwił. Płacze się, kiedy ktoś bliski zginie. Rozpacza się, jeśli ten ktoś był naprawdę drogi. Ale nie wtedy, gdy zginie - miasto. Łatwo sobie wyobrazić mamy rozpacz, gdyby się okazało, że tylko nasza rodzina zginęła, a wszyscy inni żyją. Gdyby zginęła co druga rodzina i w tym również nasza, to też nieszczęście byłoby bardziej zrozumiałe i można by było rozpaczać. Albo gdyby z każdej rodziny ktoś został i gdyby wszyscy ci ocaleni stanęli na rynku, razem - razem mogliby płakać. Nawet gdyby nie z każdej rodziny, ale z co drugiej... Ale nie tak! To nie było zwyczajne, ludzkie nieszczęście. Nie było na człowieka miarę. A w takim wypadku człowiek nie jest w stanie naprawdę go odczuć i pojąć. W ten sposób natura bierze człowieka w obronę.

*

Więc mama nie rozpaczała, tylko ze łzami w oczach rzuciła się na szyję naszemu byłemu nieprzyjacielowi, Nusenowi, jego żonie Frymce i Frydom, bo z całego Dobrego ocaleli tylko Nusen z żoną i Frydowie z synem, Izakiem, który był w moim wieku. Z okolicznych miejscowości pozostali przy życiu Słoń, Aron i Biemek z córką, również w tym wieku co ja i Izak, oraz Bolek z Rudzienka, Adek z Mińska Mazowieckiego i Frydów krewni z Mińska Mazowieckiego, Majnemerowie.

Frydowie, jak się okazało, byli cały czas w Dobrem. Przed wywiezieniem ukryli się w schowku pod swoją piekarnią i tam przetrwali. Całe dwa lata. Frydowie, tak jak inni Żydzi z Dobrego, nie zdawali sobie sprawy, dokąd Niemcy chcą ich właściwie wywieźć. Nie wiedzieli również, kiedy i w jaki sposób skończy się wojna. Ale rozumując logicznie uważali, że gdy Niemcy dojdą do wniosku, że już dosyć Żydów wywieźli, to pozostałych zostawią w spokoju. Dlatego schowali się pod piekarnią. Nie przypuszczali, że będą tam siedzieć dwa lata. Jedzenie podawał im piekarczyk. Nie nowy właściciel piekarni, który wcale mógł sobie

nie życzyć, żeby Frydowie przeżyli, tylko właśnie pomocnik piekarski, który dostawał od Fryda więcej niż od nowego właściciela nie tylko wtedy, gdy u Fryda pracował, ale i przez ten cały czas, gdy im przynosił jedzenie. Dostarczanie jedzenia nie było trudne dla człowieka, który co drugą noc dyżurował w piekarni sam i pod ręką zawsze miał świeży chleb. Gdyby ktoś Frydów wykrył, to też prawdopodobnie nie piekarzyk poniósłby konsekwencje tylko właściciel piekarni, na którym z kolei piekarzykowi bynajmniej nie zależało. Co drugą noc wolno było Frydom wyjść na pół godziny, wynieść nieczystości i nabrać w płuca powietrza przed ponownym zejściem pod ziemię. Brakowało im powietrza i światła. Izak przez to bardzo źle widział. Gdyby wiedzieli, że to będzie trwało dwa lata, pewno nigdy by się na to nie zdecydowali. Z jednym mieli dobrze - nigdy nie byli głodni. Jedli swój własny chleb...

Frymka i Nusen wyskoczyli z pociągu do Treblinki sami, zostawiając w nim swoje dzieci.

Przeżyli, ukrywając się u chłopów. Za pieniądze. Nigdy jednak nie dawali pieniędzy z góry i nie siedzieli zbyt długo u jednego chłopca. Jeśli zapłaciło się z góry, mówili, to Chłop starał się Żyda pozbyć i - pozbywał się, jak umiał. Również niebezpiecznie było siedzieć zbyt długo u jednego chłopca, bo chłop, który już sobie „zarobił”, również starał się pozbyć kłopotu. W ten sposób zginęła w Rudzienku siostra Frydowej z mężem. Człowiek, który ich ukrywał - sam zabił. Jeśli trafiali na porządnego chłopca, to też nie mogli długo siedzieć, bo chłop się bał. Nie Niemców się bał. Było mało prawdopodobne, żeby Niemcy sami przyszli szukać Żydów. Bał się donosicielei - sąsiadów. Zawistnych chłopskich sąsiadów, którzy zazdrościli, gdy ktoś sobie zarobił na trzymaniu Żydów. Więc odchodząc od chłopca Nusenowie nigdy nie mówili, do kogo idą. Gdy im się czasem coś w zachowaniu gospodarza zaczynało nie podobać, wykradali się w nocy sami i odchodzili bez jego wiedzy. Byli czujni, patrzyli na ręce, nikomu nie wierzyli.

- Nie wystarczało mieć pieniądze - mówili. - Trzeba jeszcze było być kupcem i wiedzieć, jak płacić. Kto tego nie umiał, ten ginął...

- Przeżyłaś na aryjskich papierach? Z dzieckiem? - dziwiła się Nusenowa. - Nie bałaś się, że dziecko cię wyda?... I w jej zdziwieniu było coś nieprzyjemnego.

*

Wprawdzie ze stu żydowskich rodzin ocaleli tylko Frydowie i Nusenowie, ale wszystkie domy w Dobrem były zajęte i nie mieliśmy gdzie mieszkać. Swojego mieszkania w Dobrem nigdy nie mieliśmy, mieszkaliśmy w Radoszynie, a chałupka dziadka, w której mieszkaliśmy, kiedy nas z Radoszyny wysiedlono, a która nigdy się właściwie na mieszkanie nie nadawała, została po epidemii tyfusu przez Niemców spalona.

W Dobrem miał jednak swoją ćwierć kamienicy mój drugi dziadek, z Nowej Wsi. Dziadek w niej nigdy nie mieszkał, tylko wynajmował innym Żydom z Dobrego. Ta część kamienicy, wybudowana za pieniądze dziadka, składała się ze sklepu i części mieszkalnej, do której było osobne wejście od tyłu. Druga ćwierć tej samej kamienicy należała do Nusenów, a pierwsze piętro do Frydów. Była to najlepsza kamienica w Dobrem.

Tymczasem, gdy nas nie było i wszyscy byli przekonani, że nie żyjemy, tę ćwierć kamienicy, która nam się teraz prawnie należała, zajęli Nusenowie, którzy nie wiadomo w jaki sposób, okazali się nagle dalekimi krewnymi mojego dziadka. W ich własnej części, tam gdzie Nusen miał dawniej jatkę, mieścił się teraz posterunek milicji, a od tyłu mieszkał milicjant Czyżewski z rodziną.

Nusenowie tłumaczyli, że przecież nie mogli wiedzieć, że mama i ja żyjemy, a teraz nie ma rady, za późno.

- Przecież nie pójdziemy na milicję i nie powiemy, żeby milicja się wyniosła, bo my potrzebujemy dla ciebie mieszkanie!...

Mamie nawet przez myśl nie przeszło, żeby usuwać milicję. Tak jak wszyscy Żydzi z Dobrego czuła lęk przed wszelką nieżydowską władzą. Chodziło jej tylko o to, żeby Nusenowie ustąpili i oddali nam jeden pokój. Mieszkanie było dość duże i mogliśmy się wszyscy zmieścić.

- Ile nam potrzeba po tym wszystkim, co przeżyliśmy?... - mówiła mama.

Ale Nusenowie nie chcieli słyszeć o tym, żebyśmy zamieszkali razem. Mama zwróciła się o interwencję do Frydów. Frydowie twierdzili, że gdy Nusenowie zjawili się w Dobrem, mogli zażądać, żeby wpuszczono ich do własnego mieszkania, ale oni wcale nie zażądali. Przeciwnie, woleli wprowadzić się do tej części domu, która należała do mojego dziadka, podając się za jego jedynych żyjących krewnych, by w ten sposób wejść w jej posiadanie, a za swoje mieszkanie pobierać od Czyżewskich czynsz lub nawet całą tamtą ćwierć kamienicy sprzedać.

Gdy interwencja Frydów nie pomogła, mama zwróciła się do wielkiego Władka, który był najstarszym rangą milicjantem. Do żadnego innego nie-Żyda nigdy by się w takiej sprawie nie zwróciła, ale wiedziała, że Władkowi i Nusenowie, i inni Żydzi wiele zawdzięczali w czasie okupacji. Zresztą do niego wszyscy w Dobrem mieli zaufanie. Władek wysłuchał mamę, a potem na osobności porozmawiał z Nusenem radząc, żeby lepiej dobrowolnie wpuścił mamę do mieszkania, bo może grozić mu sprawa o fałszywe zeznanie i podszycie się pod cudzy spadek. Nusenowie zgodzili się odstąpić nam pokój od podwórza.

Ludzie twierdzili, że ktoś wydał Niemcom ziemiankę, w której ukrywała się rodzina mamy. Może chłop jakiś, a może gajowy. Było to bardzo prawdopodobne, bo Niemcy niechętnie wchodzili do lasu i na pewno nie poszliby tylko po to, żeby szukać Żydów, to by było dla nich za duże ryzyko dla zbyt mało ważnego powodu. Musieli dokładnie wiedzieć - a to znaczy, że ktoś im doniósł. Nusenowie i Frydowie uważali, że mama powinna zbadać tę sprawę. Mama jednak nie reagowała. Co za różnica, jak to się stało, i co za różnica, kto doniósł? Przecież w rzeczywistości nie wierzyła, że jej rodzice, siostry i brat mogli przeżyć. Tyłu innych nie mogło! I w jaki sposób tu wskazać winnego? I jak udowodnić winę? Nie było żadnych świadków. W takich sprawach nigdy nie było świadków. Zabili ich Niemcy, mówiła sobie, więc kto jeszcze może być winien? Mówiła tak - na swoje własne usprawiedliwienie.

Inaczej było ze sprawą ojca. Ojca nie zabili Niemcy. Nie można też było powiedzieć, że nie miał szans przetrwać. Przecież tak długo sobie radził. Zabrakło mu tylko czterech miesięcy. Był mądry, sprytny, znał okolicę i miał pieniądze. Niemcy nigdy by go nie dostali. Na to nie było już żadnego usprawiedliwienia. Mama mogła nie wierzyć, że ktokolwiek z rodziny się uratuje, ale zawsze miała nadzieję, że ojciec. Poszła do Radoszyny.

*

Czworaki, w których kiedyś mieszkaliśmy, były spalone. Spalił się również dwór, śpichrze i stodoły. Została obora, która była murowana. W oborze mieszkali Kurowscy. Przestraszyli się, gdy zobaczyli mamę.

- To Abramkowa żyje?... - Mama nie lubiła tego pytania.

Kurowski zaprowadził ją na miejsce, gdzie ojciec był zakopany. Było to bardzo blisko, na skraju pola. Ale Kurowscy twierdzili, że ani oni, ani nikt w Radoszynie nie wie, kto „to zrobił”.

- A do kogo on wtedy przyszedł? - spytała mama. - Przecież musiał tu do kogoś przyjść, jeśli go właśnie tu... jeśli go tu właśnie znaleziono...

- My nie wiemy, do kogo przyszedł - powiedział Kurowski.

- Mógł przyjść tylko do dziedzica, u którego miał różne rzeczy, albo do Kurowskiego, u którego miał tysiąc złotych... - powiedziała mama.

- Dziewięćset, a nie tysiąc! - poprawiła Kurowska.

- Niech będzie dziewięćset. Ale rzeczy i pieniądze miał tylko u dziedzica i u Kurowskiego, bo tylko do dziedzica i do Kurowskiego miał zaufanie.

Co, nie tak było? Nie miał u Kurowskiego pieniędzy?...

- Owszem, miał. Ale odebrał!...

- Wszystkiego nie odebrał.

- Wszystko odebrał! - zawołała Kurowska. - Wszyściutko co tylko było!...

- To niemożliwe. Ja cały czas dostawałam od niego listy, w których pisał, że wciąż ma u Kurowskiego pieniądze, bo specjalnie je dla mnie zostawił...

- Eee, i co on tam zostawił... - wzruszył ramionami Kurowski.

- Nic nie zostawił! - poprawiła natychmiast Kurowska. - Jak mógł zostawić, kiedy co i raz przychodził i brał?...

- A więc przychodził?

- No, niby przychodził...

- A wtedy? Nie przyszedł? Nie wstąpił nawet? Dlaczego? Czy się Kurowskiego bał?...

- Ależ broń Boże! Dlaczego? - zawołała Kurowska. - Dlaczego miałby się bać? Przecież nikt by mu tu żadnej krzywdy nie zrobił! Jakżeby, miły Boże!... Pewno u dziedzica był, u Dziurewicza...

- Tak jest - potwierdził Kurowski. - Mógł mieć do dziedzica interes.

- Mógł nawet nie chcieć, żeby go kto inny widział... - dodała Kurowska.

- Wiem, że był u dziedzica. Dziurewicz sam mi powiedział, że u niego był - skłamała mama.

- Ano właśnie!...

- Ale powiedział mi też, że potem wyszedł od niego i poszedł do Kurowskiego...

- Jak to?...

- A tak, bo potrzeba mu było pieniędzy, a u dziedzica już więcej pieniędzy nie miał.

- Kiedy to trudno człowiekowi tak wszystko pamiętać - powiedział Kurowski. - Może tam i był... Ale co do pieniędzy, to zabrał, tak jak moja kobieta mówi! Wszystko co do grosza, wszystko co miał!...

- A tak, tak jak mówimy! - potwierdziła raz jeszcze Kurowska. - Wszystko zabrał! A jak przyszedł to i przy ogniu posiedział, i ogrzał się, a i chleba to mu też nikt nie żałował. A czasem to i na drogę wziął!... I nikt mu nic złego nie zrobił, Pan Bóg niech będzie świadkiem! Nieszczęśliwy człowiek, mój Boże... Rano ludzie przybiegli i mówią, że Abramek leży zabity... Inni to i poszli oglądać, ale ja nie mogłam... Mój Boże, siekierą... Dobrze, że choć Abramkowa żyje i że dziecko uratowała...

- U kogo on się wtedy ukrywał? - zapytała mama.

- Nie wiadomo u kogo. Ale nie tutaj, nie w Radoszynie. Mówią, że w Jacewku u kogoś, ale u kogo, tego nikt nie wie...

- A gdzie się wyprowadził Dziurewicz?

- Do Mińska - odpowiedział Kurowski.

- Jak to? - zdziwiła się Kurowska. - Przecież Abramkowa mówiła, że u niego była?...

- A tak, rzeczywiście... Zapomniałam.

- A może Abramkowa chciałaby zostać? Może na noc? Może nie ma gdzie spać?

- O nie, wracam do Dobrego.

- A może coś zje? Pewno głodna z drogi?

- Nie, nie! Nie jestem ani trochę głodna...

- To może sobie choć trochę odpocznie? My teraz w oborze mieszkamy, ale się wysprzątało, wymyło, trochę przebudowało...

- Może innym razem. Teraz już sobie pójdę.

- I sama tak chodzi? A nie boi się? Nie daj Boże jakiego nieszczęścia... Czasy są takie niedobre!... Niech lepiej na siebie uważa!...

*

Następnego dnia mama pojechała do Mińska. Dziurewiczowa rozplakała się, gdy mamę zobaczyła. Dziurewicz miał posępną minę.

Owszem, ojciec przychodził do dworu przez jakiś czas jeszcze, po tym jak mama otrzymała aryjską kenkartę i wyjechała do Warszawy. Dostawał wszystko, czego tylko potrzebował, i prawie wszystko odebrał, a czego nie zdążył odebrać, to gdy nadszedł front, spaliło się razem z dworem albo jeszcze przedtem partyzanci zabrali.

- Pod koniec to już rzadko przychodził, bo bał się. We dworze jak nie Niemcy to partyzanci, każdy kto tylko chciał... A partyzantów różnych człowiek nie mniej bał się niż Niemców....

- Ale kto to zrobił? - pytała mama. - Dlaczego? Dla tych paru marnych groszy i rzeczy, które u ludzi miał? Tak długo się męczył, tak długo sobie radził i tak niewiele brakowało, żeby przeżył... Kto to mógł zrobić? Komu zależało?...

- Lepiej się nie dowiadywać... - powiedział Dziurewicz. - Co to teraz pomoże? Nic. A czasy są jeszcze niepewne... Tylu ludzi zginęło i sam Bóg nie wie dlaczego... Więc po co się, kobieto, narażać?

- A sprawiedliwość? Czy sprawiedliwości nie ma? Przecież jakaś sprawiedliwość musi być? Chyba należy się ona mnie i mojemu dziecku? Czy po to przeżyliśmy?...

- Dobrze, że sama żyjesz i że dziecko uratowałaś. To już jest jakaś sprawiedliwość. Przez to i jemu lżej teraz w ziemi... Nieraz mówił, że nie wie, czy sam przeżyje, ale o ciebie mu chodzi i o dziecko. Pamiętaj o tym. Myśl lepiej o sobie i o dziecku. I o niczym więcej!...

Dziurewiczowa wyjęła z szafy mamy przedwojenne palto, oddała jej również naszą maszynę do szycia, która stała w ich mieszkaniu.

Mama przywiozła maszynę do Dobrego. Postawiła ją w kącie. Przysunęła krzesło, okryła się swoim przedwojennym paltem, oparła głowę o żelazny blat i dopiero wtedy wybuchnęła prawdziwym, głośnym płaczem.

*

Aron, Biemek i Słoń przesiedzieli ostatni okres w Drupiu u Sobótków razem z Bolkiem z Rudzienka, Adkiem z Mińska i dziesięcioma zbiegłymi z obozu dla jeńców Rosjanami. Sobótkowie mieli w Drupiu młyn nad urwiskiem. W urwisku tym wyłobiony był duży, solidny schron, a gęste krzewy zasłaniały wejście do schronu, które było od strony rzeki. Sobótkowie im gotowali, a gdy brakowało jedzenia - niełatwo było wyżywić tylu chłopów - posyłali ich nocą do sąsiednich wsi, albo jeszcze lepiej do dworów, gdzie jako partyzanci „rekwirowali” mąkę, kaszę, wódkę, słoninę i zaopatrywali Sobótków. Sobótkowie już nawet nie prowadzili swojego młyna. Najtrudniej było przetrwać ostatnie tygodnie, kiedy zbliżał się front. SS-mani biegali po okolicy i węszyli jak psy, aż gęsto od nich było. Żandarmi zaglądali do każdej obory i stodoły szukając bydła i zboża. Chłopi uprowadzali bydło do lasu. Żandarmi i SS-mani udawali się do lasu i robili obławy na bydło. Przy tej okazji niejedno nieszczęście spadło na partyzantów, zbiegłych Rosjan i ostatnich już Żydów. Chłopi za żadne skarby nie chcieli ukrywać nikogo w swoich zagrodach. W ten sposób zupełnie nie było gdzie się schronić ani na wsi, ani w lesie i dużo ludzi wtedy, już pod sam koniec, zginęło.

Gdyby nie Sobótkowie, Aron, Biemek i Słoń by nie przetrwali. Przez ostatnie kilka dni nie wolno im było nawet wychylić się ze schronu, załatwiali się na miejscu, pod siebie. Za to, gdy wreszcie weszli Rosjanie, u Sobótków odbyła się pijatyka, jakiej nikt przedtem w Drupiu nie widział. Sobótkowie wypchnęli przed dom beczkę z ciepłym jeszcze, nie przeczyszczonym samogonem. Pili do nieprzytomności Polacy, Rosjanie, Żydzi. Najwięcej Żydzi. Potem przyszło NKWD i odebrało im broń. Ale nic nie mieli ani do Sobótków, ani do Żydów, zabrali tylko pijanych ze szczęścia, zbiegłych z niemieckich obozów jenieckich Rosjan. Okazało się, że tych NKWD najbardziej nie lubiło.

Aron i Słoń pozostali u Sobótków. Słoń żenił się bowiem z Sobótkówną. Aron miał się ożenić z dziewczyną, która go doglądała, kiedy był ranny po ucieczce z obławy, i zaszła od tego w ciążę, ale lepiej się czuł u Sobótków i pozostał razem ze Słoniem. Biemek zaręczony był z córką Śliwy i siedział u niego w Makowcu. Adek i Bolek byli teraz w Mińsku. Adek miał nadzieję, że może zgłosi się ktoś z jego rodziny, a Bolek, który miał w okolicy osobiste porachunki, wstąpił do milicji, żeby dostać z powrotem broń. Aron, Biemek i Słoń pokłócili się z nim. Właśnie z tego powodu. Uważali, że Bolek może sprowadzić na

nich nowe nieszczęście. A oni mieli już dosyć. Wiedzieli dobrze, że z ich bliskich nikt się nie zgłosi. Byli sami. Postanowili zacząć na nowo. Na razie przeważnie siedzieli u Sobótków i pili.

Kiedy Aron, Biemek i Słoń się dowiedzieli, że żyjemy, przyszli do Dobrego, żeby się z nami zobaczyć.

Wszyscy trzej nosili rosyjskie fufajki. Nawet ośmioletnia córka Biemka z ogoloną do skóry głową ubrana była w fufajkę, która jej zwisała do ziemi. Ale poza tym wyglądali dobrze i, z wyjątkiem Arona, mieli raczej zadowolone miny. Ich przyszli teściowie dali już na zapowiedzi i zapraszali na wesele.

Wydając swoje dziewczyny za Biemka, Arona i Słonia trzy chrześcijańskie, chłopskie rodziny nie tylko spełniały „dobry uczynek”, że Aron, Biemek i Słoń musieli pójść do kościoła i się ochrzcić, ale miały i tę korzyść, że nie musiały dawać ani morgi posagu. Przeciwnie, na przykład Biemek, który brał córkę Śliwy - o niecałe dziesięć lat starszą od jego własnej córki - dawał Śliwie kolonię w Makowcu z dużym i prawie nowym, przed samą wojną wybudowanym domem. Biemek, który stracił ośmioro braci i siostr, był teraz jedynym spadkobiercą majątków rodzinnych w Makowcu, Rembertowie, Radzyminie i Starej Miłosnej. Aron i Słoń wprawdzie żadnych majątków do odebrania nie mieli, ale ich przyszli krewni uważali, że wychodząc za nich, dziewczyny i tak robią dobrą partię, bo Żydzi - nawet ochrzczeni - pozostają jednak Żydami, to znaczy nie przepijają, nie biją żon i nawet bez ziemi zawsze potrafią zarobić na utrzymanie.

Chłopi i ludzie z Dobrego byli do Biemka, Arona i Słonia przychylnie usposobieni. Oceniali ich krok jako logiczną konsekwencję tego, co się stało. Niektórzy uśmiechali się ironicznie, ale w gruncie rzeczy czuli satysfakcję.

Również nikt z Żydów nie miał im właściwie za złe, że się żenią z chrześcijankami. Z kim mieli się żenić? Przecież nie było z kim. Z tymi dziewczynami sypiali wtedy, kiedy innych kobiet nie mieli i kiedy żadne zastanawianie się nie miało sensu, bo wtedy każde przespanie się z dziewczyną mogło być ostatnie. Mieli zobowiązania wobec Śliwy, Sobótków i dziewczyny, która doglądała rannego Arona. To, że się musieli ochrzcić, było przykre. Ale w końcu jakie znaczenie to miało po tym wszystkim, co się już stało? Nie brał im tego za złe nawet Fryd, który jedyny ze wszystkich powrócił do koszernej jedzenia i wkładał czapkę siadając do stołu. Tylko zaproszenia na wesele nie przyjął.

- Dlaczego nie? - śmiał się Słoń. - Będzie to prawdziwe żydowskie wesele! Że ślub w kościele?... Jak Dobrze Dobrem nikt tyłu Żydów w kościele nie widział!...

Biemek się nie śmiał, a Aron był wprost smutny. Aron nie przypuszczał, że żyjemy i

że jeszcze spotka się z mamą. Był młodszy od mamy, ale zawsze chciał się z nią ożenić.

Aron, Biurek i Słoń uważali, że ojciec przeżyłby, gdyby słuchał ich i trzymał się z nimi. Ale ojciec chodził zawsze swoimi drogami. Wiele razy mówili mu, żeby nie chodził do Radoszyny, ale był uparty.

- Za bardzo wierzył swojemu dziedzicowi oraz innym, którym dawał pieniądze.

- Tak - przyznawała mama - on zawsze wierzył ludziom, którym płacił.

Mama była jednak przeciwna podejrzewaniu pod adresem Dziurewicza. Dziurewicz nie kazałby zabić człowieka dla kilku marnych przedmiotów. Tym bardziej ojca. Dziurewicz nie był dla nikogo ani miły, ani zbytnio serdeczny, ale ojca naprawdę lubił. Może nawet bardziej niż swoich chrześcijan.

O Kurowskich mama nie wiedziała co myśleć. Pamiętała tę noc, gdy przekradła się do nich z Warszawy, żeby jej dali trochę pieniędzy, które ojciec zostawił, a oni jej kazali siedzieć w alkierzu i czekać, a sami w drugiej izbie tak długo się szeptem naradzali, aż mama przestraszyła się i uciekła.

Aron twierdził, że musiał to zrobić ktoś z Radoszyny. Biurek, którego dwaj bracia zginęli u dziedzica Podorewskiego, podejrzewał Dziurewicza. Tylko Słoń był innego zdania. Jeśli ojciec ukrywał się nie w Radoszynie tylko w Jacewku, to mógł to zrobić ktoś z Jacewka. Ten, u kogo się ukrywał. Tak samo jak zrobił Zduńczyk, u którego ukrywała się siostra i szwagier Frydowej, w Rudzienku. Ale Aron, Biurek i Słoń odradzali oskarżania kogokolwiek. Jeśli mama oskarży niewinnego, to będzie źle, a jeśli winnego, to może być - jeszcze gorzej. Uważali, że mama powinna przede wszystkim jak najszybciej wyjechać z Dobrego. Niezależnie od tego czy ma zamiar kogokolwiek oskarżyć, czy nie. Ci, którzy są winni, mogą być niebezpieczni. Oni trzej, sprzymierzeni ze swoimi nowymi rodzinami, czuli się pewniej, ale i oni właściwie tylko czekają, żeby front poszedł dalej i żeby również mogli wyjechać.

U kogo się ojciec ukrywał w Jacewku, tego Słoń, Biurek i Aron nie wiedzieli. Albo nie chcieli powiedzieć. Ale był tylko jeden człowiek, u którego ojciec mógł się ukrywać w Jacewku. Nazywał się Wojtyński.

Wojtyński nie był ojca przyjacielem. Nieraz przychodził i mówił: „Po co ci takie drogie palto? Hitler i tak ci zabierze, oddaj lepiej mnie...”. Kiedy wysiedlano nas z Radoszyny, przyszedł, żeby ojciec zostawił u niego pieniądze i wszystkie lepsze rzeczy. „I tak zginiesz, to po co ci? Przepadnie i nikt nie będzie miał... Nie lepiej, żebyś u mnie zostawił? Jak będziesz żył, to oddam...”. Wojtyński był bardzo zły, że ojciec mu nic nie zostawił. Przyszedł w nocy i rąbnął siekierą w okiennicę, aż wszystkie szyby wyleciały.

A jednak zanim rozstaliśmy się w lesie, ojciec powiedział, że w ostateczności pójdzie na zimę do Wojtyńskiego, bo Wojtyński najmniej się boi, a za to jest najbardziej chciwy na pieniądze i wystarczy mu dobrze zapłacić. Więc pewno wtedy, gdy nie miał już gdzie pójść, poszedł do Wojtyńskiego. Być może po jakimś czasie Wojtyński zażądał więcej pieniędzy. Ojciec musiał pójść do Radoszyny. Wojtyński poszedł za nim. Zaczekał, a gdy ojciec wracał... A może nawet czekał u siebie w domu. Potem mógł położyć na furę, przywieźć pod Radoszynę, żeby nie było na niego, i zrzucić. Śpiewak, do którego należy tamto pole, opowiadał ludziom, że słyszał, jakby ktoś w nocy na polu coś zrzucił. Śpiewak i inni chłopci w Radoszynie byli przekonani, że zrobił to ktoś, kto ojca ukrywał i bał się, że to się wyda.

Może rzeczywiście Wojtyński nie zrobił tego z nienawiści, ale dlatego, że jednak bał się. Nie Niemców, ale ludzi, u których ojciec miał pieniądze i wartościowe rzeczy. Mógł sobie pomyśleć, że nie darują mu tego, że ojca pieniądze przechodzą od nich do niego. Było to na cztery miesiące przed przyjściem Rosjan, mógł się bać, że w ogóle nie darują mu, że przez niego ojciec naprawdę przeżyje - w co przedtem nikt przecież nie wierzył - a potem przyjdzie odebrać swoje. Mogli nawet Wojtyńskiemu zagrozić. Nie musieliby się zbytnio trudzić, posłaliby mu Niemców i już.

Mama nie wiedziała co czynić. Pamiętała ostrzeżenie Biumka, Arona i Słonia.

*

Zanim mama cokolwiek postanowiła, ktoś zastrzelił w Jadowie dziedzica Podorewskiego z Piwek. Tego samego, który zamknął w piwnicy Abla i Manesa, Biumka braci, gdy przyszli go prosić o żywność, a potem zadzwonił do Niemców. Znalaziono go z przestrzeloną głową w jego mieszkaniu w Jadowie, dokąd musiał się wyprowadzić z Piwek.

Strzelono do niego przez okno i nikt nie wiedział kto, ale już następnej nocy przyszło z dziesięciu uzbrojonych ludzi do Drupia do Sobótków i szukali Biumka, Arona i Słonia. Pytali również o Bolka. Biumek na szczęście nocował w Makowcu u Śliwy, a Aron i Słoń, którym w izbie za bardzo dokuczały wszy, spali w stodole. Sen mieli jednak z przyzwyczajenia bardzo czujny. Gdy usłyszeli, co się dzieje, uchylili tylne wrota stodoły i wybiegli w pole.

Nie wrócili więcej do Drupia. Pojechali do Mińska Mazowieckiego, do Bolka i opowiedzieli, co się stało.

Bolek poszedł do NKWD, poprosił kilku milicjantów z automatami i samochód. Milicjanci jeździli z Bolkiem po okolicy i do każdego, kto próbował uciekać, strzelali. Jeździli w biały dzień. Bolek mówił, gdzie jechać i pokazywał drogę. Zastrzelili podczas ucieczki Zduńczyka i Tomaszkiewicza. Tomaszkiewicza zastrzelił sam Bolek z zemsty za

swoją matkę. Ludzie mówili, że z zimną krwią wystrzelał w niego cały magazynek.

Aron i Słoń przerazili się.

- Co ty robisz?! - wołali do Bolka. - Przecież jesteś Żydem! Tobie nie wolno! Nie rozumiesz?! Oni ci tego nigdy nie darują! Nie znasz ich? Nawet, gdybyś strzelał do ich osobistego wroga, nie darują ci! Dlatego, że ty jesteś Żydem, a tamten jest swój... A będzie nie tylko na ciebie, ale na wszystkich Żydów!...

- Oni mi nie darują? A ja mam darować, tak? Mam darować moją matkę, Abla, Manesa, obławy?! Wyście już darowali!...

- A co pomoże zemsta? Co martwym pomoże zemsta? Może przynieść tylko nowe nieszczęście na żywych...

- A tak to was zostawią w spokoju? Nie przyszli do Drupia? Przecież przyszli! Więc co wy mówicie za rzeczy? Przecież sami w to nie wierzycie i wiecie tak samo jak ja, że oni się teraz boją tego, co zrobili. Boją się więzienia, NKWD... Będą chcieli zabić każdego, kto ich może oskarżyć. Więc na co chcecie czekać? Aż was dostaną i zarzną?...

- Są jeszcze inne sposoby. Można ich łapać, aresztować, sądzić. Niech gniją w więzieniach...

- Do więzienia się wsadza i z więzienia się wypuszcza... Więzienie to nie jest kara! - odpowiedział Bolek.

Bolek był synem Alter-Chila. Mieli w Rudzienku jatkę. Pewnego razu przyszedł do nich Volksdeutsch i chciał zabrać mięso. Bolek i jego młodszy brat wyszli zza lady. Co taki Volksdeutsch będzie im mięso brał?

Stłukli go i wyrzucili ze sklepu. Volksdeutsch zawiadomił żandarmerię. Dwóch żandarmów przyjechało motocyklami z Węgrowa. Bolek z bratem ukryli się u sąsiadów w piwnicy, tylko Alter-Chil został w jatce. Żandarmi zbili Alter-Chila szpicrutami, a potem kazali mu uciekać. „Synowie uciekli to i ty pokaż, że potrafisz!...”. Alter-Chil wybiegł ze sklepu, a żandarm strzelił za nim. Ale strzelił niecelnie. Alter-Chil leżał na rynku i konał, i nikomu nie wolno było do niego podejść.

Bolek i jego brat musieli z Rudzienka uciekać, została tylko matka, żeby Alter-Chila pochować. Rozchorowała się jednak i trzeba ją było zabrać do szpitala do Węgrowa, gdzie się jeszcze zaraziła tyfusem. Uciekła ze szpitala, z gorączką. Poszła szukać synów. Doszła aż do Mińska Mazowieckiego. Pieszko, bo nikt jej nie chciał zabrać na furę. Zanim jednak doszła, wywieziono już z Mińska Żydów. Bolek i jego brat, którzy siedzieli w Mińsku u krewnych, nie chcieli dać się wywieźć. Gdy prowadzono ich razem z innymi do pociągu, rzucili się do ucieczki. Brat Bolka został trafiony w plecy i zginął na miejscu. Bolkowi udało się zbiec w

ogrody.

Matkę, która postradała zmysły, widywano w okolicy dość długo. W krzakach sypiała, liśćmi się przykrywała. Czasem jak szła przez wieś, to albo jej chleba rzucono, albo poszczuto psami, ale poza tym nikt jej nic złego nie robił. Była jednak obłąkana, chodziła po świecie w biały dzień, musiała wpaść w ręce żandarma.

Tomaszkiewicz jej ani nie zabił, ani nie wydał i właściwie nie był winien jej śmierci. Tomasziewicz przejeżdżał furą, żandarm zatrzymał go i kazał mu odwieźć Żydówkę do Węgrowa. Była to późna jesień, Tomasziewiczowi bardzo nie chciało się jechać tyle kilometrów po słońcu i żał mu było konia. Poprosił żandarma, żeby zastrzelił Żydówkę na miejscu, w pobliskim lesie, i sam zaofiarował się ją zakopać. Jeszcze podobno postawił wódkę żandarmowi.

Bolek wiedział, że jeśli Tomasziewiczza aresztują, to mu nic nie zrobią. Dlatego zajechali w sam obiad, nie nad ranem, nie w nocy. Nawet nie wtargnęli do środka, tylko zapukali. „O co chodzi?” zapytała Tomasziewiczowa zatrzymując ich w sieni. „Mamy rozkaz zaaresztować obywatela Tomasziewiczza Stefana”, odpowiedział plutonowy. Tomasziewicz, gdy to usłyszał, skoczył w okno i do ogrodu. A tam właśnie, oparty o drzewo, czekał na niego Bolek z ręką na spuście automatu.

Mówiono, że również Bolek zastrzelił Podorewskiego. Ale później okazało się, że to nieprawda.

Zastrzelił go zięć, który nie chciał dopuścić, ażeby Podorewski był sądzony za współpracę z Niemcami.

*

Założyliśmy nowe, mocne okiennice, a drzwi na noc zamykaliśmy na żelazne sztaby i czekaliśmy tylko na to, żeby front wreszcie poszedł naprzód, żebyśmy mogli wyjechać.

Front jednak nie posuwał się. Przeciwnie, Rosjanie zaczęli wracać z frontu na odpoczynek. W Dobrem zakwaterowano garnizon. Miało to tę dobrą stronę, że wszystko w okolicy się uspokoiło i poczuliśmy się znowu bezpieczniej.

Fryd prowadził swoją piekarnię, zarabiając dodatkowo na zamówieniach dla rosyjskiego wojska. Nusen odebrał od kogoś kamaszniczą maszynę po swoim bracie i z rzeźnika stał się kamasznikiem. Szył cholewy dla wiejskich szewców i chłopów, od których przyjmował w zapłacie nabiał, drób i samogon, a za samogon dostawał od Rosjan skórę. Mama przyjmowała sukienki do przeróbki i reperacji albo jeździła z innymi kobietami do Lublina po drożdże dla Fryda i dla chłopów przybywających do Dobrego w każdy poniedziałek na targ. Ja zacząłem chodzić do szkoły. Chrzest Bumka, Arona i Słonia odbył

się po cichu, bez zbytecznych świadków. Za jedną bytnością w kościele, zaraz po chrzcie odbył się ślub Arona, którego narzeczona nie mogła już dłużej czekać. Natomiast ślub Biunka i Słonia został odłożony na Boże Narodzenie.

Trzej rosyjscy oficerowie zostali zakwaterowani w naszym domu. Na górze u Frydów lejtnanci, Etkin i Szejn, a u nas, ściślej u Nusenów, kapitan Gopin.

Gopin był już niemłody, łysy, rozumiał po polsku i lubił śpiewać polskie piosenki. Miał pogodne usposobienie, ale milkł zawsze, gdy zobaczył zielony otok NKWD. W dobrym humorze bywał również starszy lejtnant Etkin, który służył w kwatermistrzostwie i przynosił do domu wódkę i konserwy. Tylko lejtnant Szejn był milczący i nigdy się nawet nie uśmiechnął. Był on szczupły, wysoki, miał starannie dopasowany szynel z angielskiego sukna. Na uroczystych apelach nosił białe rękawiczki i wychodził w poczie sztandarowym, Frydowa i mama wodziły za nim oczami i starały się odgadywać jego życzenia, ale Szejn nigdy niczego nie potrzebował. Zakwaterowano ich u nas nie tylko dlatego, że była to najlepsza kamienica w Dobrem, ale i dlatego, że byliśmy Żydami. Rosyjscy oficerowie o wiele lepiej się czuli u Żydów, a i my, choć w naszych mieszkaniach zrobiło się ciasno, czuliśmy się lepiej z nimi niż sami.

Oficerowie przynosili puszki z mięsem i konserwami rybnymi, cukier w kostkach, herbatę, a nawet amerykańską czekoladę. Frydowa, Nusenowa i mama gotowały im za to pierogi, rosół z makaronem i fasolą, a czasem rybę po żydowsku. Przysiadają z boku i przyglądały się, jak nisko pochyleni nad talerzami Rosjanie z apetytem i wojskowym pośpiechem jedli owe żydowskie potrawy, i opowiadały im, jak to oszukiwaliśmy Niemców, wbrew którym żyjemy i jak bardzośmy na nich, Rosjan, czekali.

- Bijcie Niemców, nie oszczędzajcie! - mówiły. - Wybijcie ich do ostatniego za to wszystko, co oni z nami robili... Pamiętajcie, nie litujcie się, święta ziemia nie powinna ich nosić!...

Wieczorem, gdy Etkin przynosił wódkę, Frymka, Frydowa i mama przyrządzały zakąskę z kiełbasy i kiszonych ogórków. Rosjanie sprowadzali kolegów kwaterujących w okolicy i żołnierza z harmonią. Nalegali, żeby wszyscy, to znaczy Nusenowie, Frydowie i mama, jedli i pili razem z nimi. Jeśli ktoś nie chciał, Rosjanie się obrażali. Więc wszyscy jedli i pili.

Żołnierz grał na harmonii to skoczne, to rzewne melodie, a oficerowie zawodzili smętnie przygaszonymi głosami, to znów podrywali się, bili rękami po udach i po cholewach i miotali się po podłodze w desperackich gestach kozaka.

Gdy się zmęczyli, żądali, żeby im zaśpiewać żydowskie piosenki i zatańczyć po

żydowsku. Wtedy wychodziła na środek Frymka, która była najbardziej muzykalna i знаła najwięcej żydowskich melodii oraz najwięcej z kobiet piła. Frymka tańczyła spoglądając sobie pod nogi, przeginając się w pasie, podrzucając ramiona i głowę i strzelając palcami. Wszyscy podchwytywali rytm, razem z Frymką strzelali z palców lub przyklaskiwali.

Pewnego razu rozbawiona i pijana Frymka wezwała Rosjan, żeby jej partnerowali. Rosjanie nie pozwolili się prosić. Wskoczyli na środek pokoju w swoich zielonych rubaszkach z przypasanymi naganami i śmiejąc się zaczęli naśladować pełne religijnej pasji i upojenia, namiętne, chasydzkie gesty.

Fryd, Frydowa, Nusen i mama opuścili głowy. Frymka zauważyła to, oprzytomniała, chwyciła się dłonią za usta i zaczęła głośno płakać.

Często tak się kończyło, nawet jeśli nikt z Rosjan nie próbował naśladować zapatrzonych w swego Boga chasydów. Wystarczyło jedno słowo, jeden gest, jedna nuta, niebacznie wtrącone imię. Wystarczyło, że pod wpływem melodii czyjś wzrok się zatrzymał, oddalił, spotkał się z czyimś wzrokiem - i już było po całej zabawie. Melodia załamywała się w gardłach, opadały ramiona i zamiast rytmu tańca wstrząsało nimi łkanie.

Nusen natychmiast wyprowadzał Frymkę do ich pokoju, Frydowie również udawali się do siebie na górę, Rosjanie wkładali czapki i wychodzili, a mama nie miała nawet przed kim się wyplakać.

*

Czasem dochodziło do kłótni pomiędzy mamą a Frymką, która po stracie dzieci stała się zawistna i zła. Kłótnia mogła zacząć się z byle jakiego powodu, ale zawsze się tak samo kończyła.

Wszyscy uważali, że Frymka nie powinna była wyskoczyć z pociągu bez dzieci. Choć nikt jej, oczywiście, tego nie mówił. Frymka mówiła, że chciała ratować dzieci. I wszyscy jej wierzyli. Kto nie chce ratować swoich dzieci? Jeśli ich nie ratowała, to widocznie nie mogła. Ale mimo wszystko...

Frymka opowiadała, że w pociągu, do którego ich wepchnięto, był taki okropny tłok, że ludzie leżeli jeden na drugim i wprost się dusili, więc kiedy wreszcie udało się wybić zakratowane okienko, wszyscy chcieli się do niego dostać i dzieci zostały z tyłu. Nusen i Frymka wołali, żeby im podano dzieci, ale nikt ich nie słuchał. Ludzie walczyli między sobą o to, żeby się jak najprędzej przedostać. Otwór był taki mały, że nie można się było precyzyjnie o własnych siłach, więc jeden drugiego wypychał, ażeby zdobyć drogę dla siebie. Trzeba było się bardzo spieszyć, żeby zdążyć, zanim strażnicy zaczną strzelać. Ludzie krzyczeli przynaglając do pośpiechu. Frymce i Nusenowi obiecywano wyrzucić dzieci, jak

tylko sami wyskoczą. Wyskoczyli.

Co mieli robić? Strażnicy już zaczęli strzelać. Nie wiedzieli, że więcej już nie zobaczą swoich dzieci. Dzięki temu, że wyskoczyli - żyją.

- Rzeczywiście - potwierdziła raz pojednawczo mama. - Co przysłoby komu z tego, gdybyś nie wyskoczyła? Wszyscy byście zginęli. I co by to pomogło dzieciom?

- A nawet, gdybyście z dziećmi wyskoczyli - mówiła Frydowa - gdzie byś się mogła z dwojgiem małych dzieci schować? Żaden chłop by was nie przyjął. W kryjówce by nie wytrzymały, zaczęłyby płakać...

Frymka wiedziała, że syn Frydowej, Izak, choć nie starszy od jej dzieci, siedział w kryjówce dwa lata i nie płakał.

- Dziewczynkę można było dać do klasztoru - zauważyła mama.. - Z chłopcem byłoby trudniej, bo obrzezany, ale dziewczynkę by wzięli...

- Nie dałabym! - zawołała Frymka. - Żeby mi wychowali na przechrztę i wroga?!

- Ale przecież by żyło... - powiedziała mama.

- Żyłoby, żyło! Co ty się tak mądrzysz? Czy sama nie zostawiłaś swojego młodszego w Stanisławowie, gdy pobiegłaś schować się w siano?!... Czy myślisz, że ja tego nie wiem? Że ludzie nie wiedzą?!...

- Ja go zostawiłam? Jak możesz tak mówić?! Ja?... Ja go schowałam u chrześcijanki! Dziecko było niepodobne, niebieskie oczka, włoski blond, zupełnie niepodobne do żydowskiego. Nikt by się nawet nie domyślił i nie zauważył, gdyby ktoś nie oskarżył... Miał wszystkiego półtora roczku, co ja mogłam zrobić? Jak mogłam schować się z nim? W sianie?... Nikt by mnie nie ukrył z takim małym dzieckiem, nikt! To byłaby pewna zguba. Miałam dać się wziąć razem z nim? O drugim, starszym dziecku też musiałam myśleć. I, dzięki Bogu, je mam!...

- Tego przechrztę, który co wieczór klęka przy łóżku i modli się?...

- To co, że się modli? Modlenie się jeszcze nikomu nie zaszkodziło...

- Do Pana Jezusa?...

- Jest jeszcze mały, dla niego to wszystko jedno do kogo się modli...

- A ja tego nie chciałam! Też mogłam mieć aryjskie papiery, gdybym chciała! Jeszcze wcześniej niż ty!...

- Ty? Przecież jesteś za bardzo podobna...

- Kto, ja jestem podobna? Patrzcie ją, ja jestem podobna, a ona nie! Bo ja to nie mogłam sobie utlenić włosów!...

- Co ty wiesz? Czy ty możesz wiedzieć, co ja przeżyłam? Czy ty wiesz, co to jest

życie na aryjskich papierach? Kiedy masz papiery, a nie masz się gdzie podziać. Ani nie masz za co żyć. Ani domu, ani rodziny, nikogo w zupełnie obcym świecie... Nie masz nawet prawdziwego adresu. A niech cię zatrzymają i sprawdzą. Albo niech sprawdzą dziecko, czy nie obrzezane... I co wtedy? A łapanki? A szmalcownicy?... A jak spotkasz nagle kogoś znajomego... Niechby tylko odezwał się do ciebie po imieniu... Niechby powiedział jedno słowo... Niechby tylko pokazał po twarzy... Wiesz, ile trzeba było odwagi, żeby żyć na aryjskich papierach? A mówić z ludźmi i nie pomylić się? Nie powiedzieć niepotrzebnego słowa. Pilnować się. Nawet we śnie. A wiedzieć, kiedy pójść do kościoła, kiedy i gdzie się modlić, spowiadać... A jak się spowiadać, to jak?... Ludzie ginęli ze swoimi aryjskimi papierami na moich oczach! Więcej ich ginęło niż u chłopów w kryjówkach i w lesie. Jeszcze samej kobiecie było łatwiej, ale z dzieckiem? Z dzieckiem, które wszystko wiedziało?...

- No i co z tego? Ty umiałaś to wszystko, a ja bym nie umiała?...

- To czemuś tego nie zrobiła?

- Bo nie chciałam, rozumiesz? Nie chciałam! Bo byłam i jestem Żydówką! Tak jak wszyscy Żydzi!...

- To dlaczego wyskakiwałaś? Dlaczego nie pojechałaś, tak jak wszyscy Żydzi?...

- Żałujesz mi, że żyję?!...

- Ja tobie niczego nie żałuję! To ty mnie zazdrościsz, bo ja uratowałam dziecko!...

- Nie, to ty mnie zazdrościsz! Wiesz, czego mi zazdrościsz? Męża!... Myślisz, że nie widzę, jak się za nim oglądasz?!... Myślisz, że nie wiem, że nie słyszałam, jak mówiłaś do ludzi, że nie on jest winien! Że nie on zostawił dzieci, tylko ja! Że to ja, ja jestem winna!...

- Nikomu takich rzeczy nie mówiłam i nie zazdrozczę ci twojego męża. Nigdy na niego nawet nie spojrzałam!...

- Nie? Bo co? Bo jest dosyć Rosjan?...

Kto wie, do czego by wtedy doszło, gdyby nie przybiegł Fryd.

- Wstyd! Żydowskie kobiety! - zawołał Fryd. - Jak tak można?! To po to przeżyliśmy?!... Nie wstyd wam przed obcymi?... Jak można się nawzajem obwiniać? Kto, kto z nas może być winien?!... Zastanówcie się! Wstyd!

Nusen wyprowadził Frymkę z kuchni. Frydowie odeszli na górę. Frydowie stanowili rodzinę, Nusenowie też byli przynajmniej we dwoje. A kto miał się ująć za mamą? Więc nie Frymka po tej awanturze płakała, lecz mama.

Mama była nadal najładniejszą kobietą w Dobrem. Nosiła najlepiej uszyte, własnoręcznie przerabiane sukienki i z daleka rzucały się w oczy jej utlenione, jasne włosy. Rosjanie zalecali się do niej. Ale chociaż czynili to w znany, wojskowy sposób, nigdy nie byli

ordynarni ani nachalni, jak to się zdarzało w stosunku do innych kobiet w Dobrem.

Mama była wdową, a Rosjanie byli dobrzy dla wdów. Znacznie lepsi niż dla innych kobiet. W każdym razie nie krzywdzili wdowy. Na odwrót, starali się okazywać jej opiekę i pomoc. Nie onieśmiałą ich bynajmniej żałoba. Była wojna, a w czasie wojny wdowa to zwyczajna rzecz. „Wdów jest teraz dużo”, mówili, „I jeszcze więcej będzie”... Byli dobrzy dla wdów, bo myśleli o swoich własnych żonach, które bardzo łatwo mogły zostać wdowami.

Kapitan Gopin coraz częściej przychodził do nas wieczorem. Palił papierosy i nucił: „Moja szuflatka zamknięta na klucz, a w niej pamiątek moooc...”. Jeśli lejtnanci byli wieczorem na służbie, Gopin przychodził do naszego pokoju z kolacją i zostawał coraz dłużej.

Kapitan był wiekiem starszy od wielu wyższych rangą oficerów. Nie miał też tytułu orderów co inni, ale był bardzo szanowany przez żołnierzy. Mama mówiła, że Gopin też niemało w swoim życiu przeżył, że był najlepszym rosyjskim oficerem, jakiego sobie można wyobrazić, i że to nie jego wina, że w jego wieku był jeszcze wciąż kapitanem.

Czasem zasypiałem podczas wizyty Gopina w naszym pokoju i nie słyszałem, kiedy wychodził. Pewnego rana obudziłem się i zobaczyłem rubaszkę z kapitańskimi pagonami wiszącą na krześle, a samego Gopina gołącego się nad naszą miednicą przed lustrem. Tego samego dnia Gopin zabrał od Nusenów wszystkie swoje rzeczy i przeniósł je do nas.

Gopin lubił zabierać mnie do żołnierzy. Chcąc przypodobać się swojemu kapitanowi, żołnierze dawali mi do noszenia broń, pod której ciężarem się uginałem, a czasem częstowali wódką, którą dusiłem się, lecz piłem. Pewnego dnia Gopin zawiózł mnie do pułkowego szewca i kazał zrobić dla mnie buty z cholewami na zimę. Byłem bardzo dumny z tych butów i z tego, że kapitan Gopin mieszkał z nami. Nawet Frymka, której mama się najbardziej bała, nieoczekiwanie nabrała respektu i przestała kłócić się z mamą.

*

Od czasu gdy Gopin przeniósł się do mamy, zaczął nas odwiedzać enkawudzista Kola. Nikt nie znał jego nazwiska, kazał mówić na siebie Kola i wszyscy go tak nazywali. Kola, chociaż nie mieszkał u nas i nigdy nie przynosił konserw, był zawsze, gdy przychodził, częstowany obiadem albo kolacją. Zjadał wszystko, co mu podawano, a jeśli miał mało, to kazał sobie jeszcze dołożyć. Nic sobie nie robiąc z Gopina, zalecał się do mamy. Mnie, również przy Gopinie, brał na kolana i kazał powtarzać za sobą:

Ja maleńkij cwietczek,

ja junij pianier,

*ja Stalina synoczek,
zaszczytnik eseser...*

Izakowi Frydowi, który był bardziej muzykalny niż ja, Kola kazał śpiewać piosenkę z polskimi słowami:

*Pójdziemy przez Polskę i przez cały świat
będzie odtąd wszędzie -
Republika Rad!*

Ojciec spuścił Izakowi lanie, gdy usłyszał, jak Izak śpiewał to sobie w domu, a mnie wypytywał, czy nikt obcy nie słyszał, jak Izak tę piosenkę śpiewał.

Raz Fryd przy Koli zapytał, co się stało z rosyjskimi Żydami, kiedy Niemcy przyszli do Rosji? Z Żydami z Kijowa, Homla, Odessy, Saratowa, Charkowa, Nowogrodu, Pskowa?...

Wszyscy spojrzeli na Kolę i nikt się nie odzywał.

- Ewakuowali się... - odezwał się w końcu Etkin.

- Wszyscy?

- No pewno - powiedział Etkin.

- Kto się nie ewakuował, wstępował do partyzantki - powiedział enkawudzista Kola.

- A starsi ludzie, kobiety, dzieci?...

- Wszyscy... - powiedział Kola.

- Przeważnie jednak się ewakuowali - powtórzył Etkin.

Gopin i Szejn milczeli.

- W Rosji Niemcy nie wazyli się robić takich rzeczy jak tutaj - powiedział enkawudzista Kola. - Naród nie pozwolił! U nas Żydzi, nie-Żydzi wszystko jedno. Jak mogli dojsć kto Żyd, a kto nie? Nie mogli. Ludzie u nas tacy, że nikt by nie wydał Niemcowi...

- Przeważnie jednak ewakuowali się - powtórzył znowu starszy lejtnant Etkin. Gopin nadal się nie odzywał, a Szejn wstał i wyszedł.

Szejn był Żydem. Na żydowski Nowy Rok Frydowa zaprosiła go razem z nami i Nusenami. Nikogo z pozostałych oficerów nie zaprosiła, nawet Gopina. Lejtnant Szejn na żadne libacje nigdy nie przychodził, ale wtedy przyszedł. Gdy usiedliśmy dookoła świątecznego stołu, wyjął z kieszeni na piersi trzy fotografie w celofanowym opakowaniu.

- Moja matka - powiedział podając pierwszą fotografię. - Moja siostra - powiedział podając drugą. - Dziewczyna z dzieckiem na ręku - powiedział pokazując trzecią fotografię -

to była moja żona...

Sztejn pochodził z Kijowa, a jego matka i siostra mieszkały w Odessie. Kijów miał nigdy nie być Niemcom oddany, podobnie jak później Odessa. Skoncentrowano całą ukraińską armię, żeby bronić Kijowa. Cała armia została odcięta, otoczona i wzięta do niewoli. Część przeszła później na niemiecką stronę. Rodzina Sztejna została w Kijowie, nikt z nich nie zdążył się ewakuować. Nikt z Żydów, którzy pozostali w Kijowie, nie przeżył. Odessa była broniona. Kiedy została w końcu wzięta przez Niemców i Rumunów, było w niej jeszcze siedemdziesiąt tysięcy Żydów. Kiedy Rosjanie Odessę odebrali, nie zastali ani jednego Żyda - tylko ciała w podziemiach starożytnych, pododesskich katakumb.

Fotografie krążyły podawane z rąk do rąk dookoła świątecznie nakrytego stołu. Nikt nie wypowiadał uwag. Tylko cienie kołysały się na ścianach, gdy przy zapalonych świecach wstaliśmy z miejsc i ojciec Izaka odmawiał głośno modlitwę.

*

Pewnego dnia Frymka i Nusen dostali wezwanie do Mińska Mazowieckiego, gdzie w ścisłej tajemnicy wręczono im legitymacje PPR-u. Wręczając legitymacje powiedziano im, że od tej pory mają obowiązek zawiadamiać partię o wszelkich podejrzanych rzeczach, jakie działyby się w Dobrem, a zwłaszcza o podejrzanych osobach. Nusenowie byli zaskoczeni. Przecież nikogo o przyjęcie do partii nie prosili. Bali się jednak odmówić przyjęcia legitymacji, więc tylko zapytali nieśmiało, czemu zawdzięczają aż takie zaufanie?

- A komu mamy ufać? - odpowiedział sekretarz. - Czy tym, którzy nienawidzą naszego wyzwoliciela, Związku Radzieckiego? Czy tym, co chodzą do kościoła i modlą się o naszą zgubę? A może tym, którzy nienawidzą Żydów?...

To ostatnie pytanie najbardziej trafiło Nusenom do przekonania.

- Pamiętajcie, że jeśli wam coś będzie groziło, to nikt nie będzie was bronił, tylko my, nasza władza i nasza partia! - powiedział na pożegnanie sekretarz. - Musimy więc sobie wzajemnie pomagać...

Frymka miała za złe mamie, że nie wniosła oskarżenia w sprawie zabójstwa ojca. Mówiła, że obowiązkiem mamy, chociażby jako żony i matki osieroconego dziecka, było pójść na NKWD i podać nazwiska wszystkich podejrzanych. NKWD już samo doszłoby, kto jest naprawdę winny, a kto nie. Od tego NKWD jest. Ostrożność mamy była, zdaniem Frymki, zwykłym tchórzostwem, dla którego nawet nie było uzasadnienia, bo w Dobrem stacjonowali Rosjanie i nie było powodu się bać. Wyjechać z Dobrego i tak prędzej czy później trzeba będzie, więc tym bardziej należało wnieść oskarżenie.

Wkrótce i mama dostała wezwanie do Mińska. Ale nie pojechała. Wzywano ją jeszcze

dwukrotnie. Wreszcie przyjechał do Dobrego Bolek. Był w mundurze plutonowego. Na piersi miał medal. Pokazał mamie listę z nazwiskami.

- Co możesz o tych ludziach powiedzieć? - spytał.

- Nic nie mogę o nich powiedzieć - odpowiedziała mama. - Przecież mnie tutaj nie było, kiedy to wszystko się działo.

- Nic nie możesz powiedzieć?... - Bolek podszedł do mnie i położył rękę na mojej głowie. - Nie możesz powiedzieć nawet, kto zabił ojca twojego dziecka?...

- Zostawcie mnie wreszcie w spokoju! - zawołała mama wybuchając płaczem. Czego wy wszyscy ode mnie chcecie?! Czy nie dość jeszcze miałam za swoje w moim krótkim życiu?!... Wystarczy! Nie chcę! Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego! Nie chcę mieć z niczym do czynienia! Jestem kobietą i chcę żyć, tak jak wszystkie kobiety! Mam chyba do tego prawo?! Nie chcę o niczym więcej wiedzieć! Nie chcę i już!...

- Nie płacz - powiedział Bolek. - I nie bój się! Czego ty się tak boisz? Przecież byłaś odważna? Dzięki swojej odwadze przeżyłaś. A teraz się boisz? Czy po to przeżyłaś? Przystań się bać! Czasy się zmieniły, niech teraz inni się boją...

Mama długo nie mogła się uspokoić. Bolek podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

- Jeśli się boisz, możesz jechać do Mińska... O, tym samochodem, co stoi przed domem! Choćby tak jak stoisz, zaraz!...

- Po co? Do kogo ja pojedę do Mińska? - nie zrozumiała mama.

- Jest do kogo... Do kogoś, kto mógłby cię zawsze bronić. Gopin? Odejdzie niedługo na front, i co potem? Co zrobisz sama z dzieckiem? Dokąd pojedziesz? I ja jestem na świecie sam, może jeszcze bardziej niż ty... Bylibyśmy sobie oboje potrzebni. Jesteś jedyną kobietą, z którą umiałbym się ożenić... Na niczym więcej mi nie zależy... Czy mnie rozumiesz?

- Tak... - odpowiedziała mama.

- No więc jak?

- Zastanowię się...

Mama bardzo dobrze Bolka rozumiała. Ale wyszłaby za każdego tylko nie za niego. Po prostu się bała.

Gdy Bolek odjechał, mama pobiegła do pani Ciokowej, nauczycielki, przez którą Słoń załatwił nam w swoim czasie aryjskie papiery, i wymieniła jej nazwiska, które Bolek miał na liście. Prawdę mówiąc nie były to nazwiska ludzi, którzy byliby wari, żeby się ich losem przejmować, ale mamie chodziło o to, żeby w Dobrem wiedziano, że nie miała z tą sprawą nic wspólnego, że właśnie przeciwnie...

Na liście, którą mama widziała u Bolka, nie było nazwiska Dziurewicza. A tymczasem nazajutrz pani Ciokowa przybiegła do mamy z wiadomością, że Dziurewicza w Mińsku aresztowano. Pani Ciokowa, która była osobistą przyjaciółką Dziurewiczowej, nalegała, żeby mama pojechała do Mińska ratować Dziurewicza.

- To zrobi na ludziach dobre wrażenie - powiedziała. - I będzie mogło się pani przydać...

Mama bała się pójść świadczyć za Dziurewiczem, ale bała się również odmówić. Do Dziurewiczowej była zawsze bardzo przywiązana i chciała jej pomóc, z drugiej jednak strony, chociaż nie chciała wierzyć, żeby Dziurewicz się przyczynił do śmierci ojca, to po tym wszystkim, kiedy się dłużej zastanawiała, niczego już nie była pewna. Nie mogła jednak odmówić i pojechała do Mińska. Pojechała przede wszystkim dlatego, że się bała.

Enkawudzista był rad, że mama przysłała. Wyjął z szuflady kartkę papieru i podał jej.

Na kartce tej okrągłym, szkolnym pismem było napisane, że były posiadacz ziemski z Radoszyny, Dziurewicz, który jak większość obszarników utrzymywał dobre stosunki z Niemcami, w zamian za co Niemcy ochraniaли jego stan posiadania, wiedziony chęcią zysku i wrodzonym antysemityzmem, zorganizował zamach na życie szukającego u niego pomocy, prześladowanego przez niemieckiego okupanta, Abrama z Radoszyny, syna zgładzonego w Treblince Jeszyi z Nowej Wsi, gmina Dobrze, powiat Mińsk Mazowiecki... I tak dalej. Czy mama jest gotowa podpisać się pod tym oświadczeniem?

- Wprost przeciwnie! - powiedziała mama. - Właśnie przysłałam, żeby temu oświadczeniu zaprzeczyć. Dziurewicza, byłego dziedzica z Radoszyny, znam jako porządnego człowieka, który w swoim życiu nikomu nie zrobił krzywdy. Przeciwnie, bronił nas przed wysiedleniem z Radoszyny, a i potem pomagał nam, jak tylko mógł. Przechowywał nasze rzeczy, nie odmówił nam nigdy chleba, mleka albo kartofli, gdy po kryjomu przychodziliśmy w nocy do Radoszyny, a nawet pozwalał nam się przespać w oborze lub stodole. Dziurewicz nigdy by nie wyrządził nam takiej krzywdy! Z powodu kilku marnych rzeczy, które u niego przechowywaliśmy?... Ani nawet z powodu antysemityzmu! Antysemityzm czuliśmy przeważnie ze strony chłopów, a nie dziedzica. Jak ktoś mógł w ogóle zrobić takie doniesienie? - dziwiła się mama. - Przecież to mnie, wdowie, która została bez środków do życia z dzieckiem na zawsze pozbawionym ojcowskiej opieki, chyba najbardziej zależałoby na tym, żeby ukarać tego, kto zabił mojego męża, i nigdy bym nie darowała! Gdybym miała chociaż cień podejrzenia w stosunku do Dziurewicza, to sama zrobiłabym doniesienie, ale ja mogę ręczyć za jego niewinność!...

- Takaś pewna, że ten *promieszczik* taki dobry pan?

- On tego nie zrobił, mogę dać głowę!...

- Uważaj, żebyś kiedyś nie straciła tej swojej głowy, jak ją będziesz tak dawać! - powiedział enkawudzista ze złością.

Prosto z NKWD mama poszła do Bolka i powiedziała, że jeśli naprawdę mu na niej zależy i nie chce jej krzywdy, to niech również pójdzie do NKWD i złoży oświadczenie przeciwko oskarżeniu Dziurewicza.

Dziurewicza w końcu wypuszczono. Wszyscy wiedzieli, że to dzięki mamie, i od razu lepiej poczuliśmy się w Dobrem. Tylko z Frymką mama znowu się pokłóciła, bo to jej pismo mama rozpoznała na kartce, którą w NKWD dano jej do podpisania.

*

Na siódmego listopada zapowiedziano wielką uroczystość w Dobrem. Pani Ciokowa poszła do proboszcza po klucz od parafialnej sali. Ksiądz nie chciał się jednak zgodzić, żeby w Domu Parafialnym odbywały się, jak się wyraził, bezbożne uroczystości. Pani Ciokowa przekonywała, że nie chodzi wcale o żadną bezbożną uroczystość, tylko o uroczystość narodową, polską.

- Polską?... Nie wstydzisz się pani mówić takie rzeczy? I to komu? Mnie, księdzu? Co to, ja nie wiem, co to jest siódmy listopada?

- Nieważne, że siódmy, proszę księdza - powiedziała pani Ciokowa. - Niech mi ksiądz wierzy! Po prostu nie ma innej rady, dlatego siódmy... Nic więcej nie mogę księdzu powiedzieć.

- Wstydzilibyście się robić głupca z waszego starego księdza. Stary jestem, ale nie do tego stopnia. A klucza od sali parafialnej nie dam! Nie mam! Zgubiłem!... - powiedział ksiądz i szybko się przeżegnał.

Nie było innej rady, wójt, mąż pani Ciokowej, posłał Władka z jeszcze dwoma milicjantami. Właściwie nie potrzeba ich było aż trzech. Wielki Władek podał jednemu z milicjantów swój karabin do potrzymania, a sam nawet się nie rozpędzał, tylko oparł się dobrze o drzwi i drzwi od razu puściły, tylko drzazgi poleciały.

Mama zwróciła się do pani Ciokowej z prośbą, żeby i mnie pozwoliła wygłosić jakiś wiersz na uroczystości. Pani Ciokowa od razu chętnie się na to zgodziła i dała mi do wyuczenia się bardzo długi wiersz pod tytułem Rok 1918. Mama pamiętała ten wiersz jeszcze z czasów, kiedy sama chodziła w Dobrem do szkoły.

Na uroczystość przybyli rosyjscy oficerowie, dzieci szkolne i milicjanci z białoczerwonymi opaskami. Resztę miejsc wypełniła ludność Dobrego zachęcona ogłoszeniami, które wielkimi literami zapowiadały - Występy Cyrkowe.

Wójt najpierw udzielił głosu majorowi Motkowowi, który był komendantem Dobrego, a potem pani Ciokowej. Nikt oprócz Rosjan nie rozumiał, o czym mówił we wstępnym przemówieniu major Motkow, ale z przemówienia pani Ciokowej wynikało, że rzeczywiście nie chodziło o żadne bezbożne święto, które mogłoby przynieść ujme pięćsetletniej parafii w Dobrem.

- Jest to święto, które każdy z nas, Polaków, dobrze zna i pamięta! - mówiła pani Ciokowa. - I którego nigdy nie zapomni! Święto, którego tak długo nie wolno nam było obchodzić, a które jednak obchodzimy i będziemy obchodzić, wbrew wszystkim naszym wrogom!...

Na sali nastąpiło poruszenie.

- Jest mi tym przyjemniej - kontynuowała pani Ciokowa - że rosyjscy oficerowie byli tak mili i zechcieli przyjść, żeby wraz z nami wziąć udział w n a s z y m - pani Ciokowa z całym naciskiem podkreśliła to „naszym” - święcie!... - Pani Ciokowa uczyniła pauzę i, rzeczywiście, rozległy się oklaski.

- Niech żyje Polska! - zawołała pani Ciokowa.

- Niech żyje! - odpowiedziała sala, a Rosjanie uprzejmie zaklaskali.

- Niech żyje święto... - pani Ciokowa znów chwilę się zawahała - listopada!...

Po przemówieniach usunięto z podium stół prezydialny i krzesła i wtoczono pianino. Sprowadzony z Mińska Mazowieckiego artysta w przedwojennym, ciemnym garniturze i z białą-czerwoną kokardą w klapie, ze złożonymi jak do modlitwy rękoma zaśpiewał „O mój rozmarynie rozwijaj się”, „Rozkwitały pąki białych róż” i kilka innych, znanych każdemu dziecku w Dobrem piosenek, które przez wiele lat śpiewał stacjonowany w Mińsku Mazowieckim siódmy pułk ułanów.

Każdy numer programu zapowiadany był po polsku i po rosyjsku. Po polsku zapowiadała pani Ciokowa, a po rosyjsku pewien młodszy lejtnant. Kiedy pani Ciokowa zapowiedziała wiersz pod tytułem *Rok 1918* lejtnant podszedł i nachylił się do jej ucha.

- 1917 - powiedział.

- Nie, z całą pewnością „18” - odpowiedziała głośno pani Ciokowa.

- Właściwie o tysiąc dziewięćset osiemnastym też wiersze pisano... - zgodził się w końcu Rosjanin.

Wiersz się zaczynał od słów: „Ludzie, konie, armaty”, a kończył okrzykiem: „Wypędzimy naszych wrogów gdzie pieprz rośnie!”. Okrzyk ten należało wznieść głośno, wyraźnie i z wielkim przekonaniem.

Ludzie słuchali wiersza w ciszy i z prawdziwą uwagą. Ale gdy zawołałem owe

„wypędzimy wrogów gdzie pieprz rośnie!”, zerwali się z miejsc klaszcząc, tupiąc, wołając „brawo!”. Ku jeszcze większej radości sali, również Rosjanie śmieli się i klaskali.

Nie wiedziałem co robić. Chciałem jak najszybciej zejść ze sceny, ale pani Ciokowa wzięła mnie za rękę, wyprowadziła z powrotem na przód podium i kazała mi tę ostatnią zwrotkę powtórzyć. Kiedy powtórzyłem, wielki Władek, który cały czas stał koło podium w skórzanej kurtce, z karabinem, śmiejąc się chwycił mnie w swoje ogromne ręce i trzymając wysoko nad głową zniósł ze sceny.

Entuzjastycznie przyjęto potem również rosyjskich zonglerów, iluzjonistę i dwóch akrobatów. Na zakończenie major Motkow wyraził w imieniu rosyjskiego dowództwa gorące podziękowanie pani Ciokowej za świetne zorganizowanie uroczystości, a ludności Dobrego za przybycie i za to, że uroczystość upłynęła w tak przyjaznej i serdecznej atmosferze.

Wieczorem Rosjanie wydali przyjęcie w naszym domu. Pokoje zostały oświetlone elektrycznymi lampami, które rosyjscy żołnierze podłączyli długimi, grubymi kablami do ustawionych na podwórzu akumulatorów. Stoły zestawiono w podkowę, a do ściany przybito wycięte z gazety zdjęcie marszałka Stalina. Przybył pułkownik, który zajął miejsce pod samym zdjęciem Stalina, Rosjanki w mundurach i przedstawiciele polskiej milicji. Frymka, Frydowa i mama podawały do stołu.

Pułkownik wygłosił toast, po którym Rosjanki zaintonowały: „Wypiom za rodzinu, wypiom za Stalina!...”. Kiedy wszyscy już byli podpici, enkawudzista Kola zawołał mnie, postawił na stole twarzą do zdjęcia na ścianie i siedzącego pod zdjęciem pułkownika i kazał mi zarecytować: *Ja maleńkij cwietczek, ja junij pianier, ja Stalina synoczek...* i tak dalej. Rosjanie byli zachwyceni, Kola ucałował mnie w oba policzki. I znowu wielki Władek, który był wśród zaproszonych przedstawicieli polskiej władzy, wstał, zdjął mnie ze stołu i oddał w ręce mamy. Tym razem nie było jednak ani śladu uśmiechu na jego twarzy.

*

Wielki Władek był najwyższym i najsilniejszym mężczyzną w Dobrem i ludzie go szanowali, chociaż nikt go się właściwie nie bał. Wielki Władek nigdy nie zrobił nikomu nic złego. Za Niemców należał do AK, ale tak zwaną polityką się nie zajmował, chciał tylko bić się z Niemcami. Kiedy przyszli Rosjanie, wyszedł z lasu. Miał dosyć lasu, chciał wstąpić do prawdziwego wojska. Ale do wojska go nie przyjęli, bo utykał od rany, która uszkodziła mu w nodze nerw. Więc Władek, który nic innego oprócz noszenia broni nie umiał, wstąpił do milicji. Nie był ani nie miał zamiaru stać się komunistą. Mówił, że jego jedynym obowiązkiem jako milicjanta jest uważać, żeby nikomu w Dobrem nie działa się krzywda, więc nikt nie powinien mieć do niego pretensji o to, że wstąpił do milicji. I ludzie w Dobrem

rzeczywiście nie mieli do niego pretensji. Przeciwnie, był jedynym milicjantem, którego lubili. Nawet Frymka, która nie lubiła nikogo, a już najbardziej słowa „Aka”, twierdziła, że wielki Władek jest jedynym porządnym gojem, jakiego zna. Władek raz uratował im życie.

Za Niemców było na wsi wielu takich, którzy chodzili po nocy z bronią i sprawowali władzę. Przy tej okazji załatwiali swoje porachunki z sąsiadami, rywalami i wszystkimi, których nie lubili. Sprawiało im przyjemność, że mogli decydować komu życie, a komu śmierć. Czasami wstępowali do AK, czasami do innych organizacji, których było wtedy dużo. Kiedy potrzebowali broni, to rzeczywiście napadali na Niemców, kiedy się chcieli zabawić, napadali na chłopów lub dwory, a gdy spotkali Żyda, to żądali pieniędzy. Wszystko to nazywało się „partyzantka”.

Kilku uzbrojonych parobków znalazło raz Frymkę i Nusena u chłopca w komorze. Grozili, że jeśli nie dostaną pieniędzy, to zawiadomią Niemców. Gospodarz zląkł się, że rzeczywiście mogą dać znać do Niemców, ale nie chciał też stracić pieniędzy Nusenów. Poprosił, żeby „panowie partyzanci” pozwolili mu pójść z Nusenem do kogoś, u kogo Nusen ma pieniądze, a sami niech przez ten czas rozgosczą się przy wódce i zakąsce. Gospodarz i Nusen poszli, a Frymka została pod zastaw. Co przez ten czas „partyzanci” robili z Frymką - tego Frymka nigdy nie opowiadała. Dość, że gospodarz zamiast z pieniędzmi wrócił z wielkim Władkiem. Władek i jego koledzy odebrali „partyzantom” broń, przy czym Władek im zapowiedział, że jeśli tylko spróbują coś pisnąć do Niemców - to on ich już znajdzie.

Wielki Władek bardzo imponował nam, dzieciom.

*

Gopin dostał jednak nominację na majora. Nominacja przyszła wraz z rozkazem wymarszu na front. Mama z wypiekami na twarzy krzątała się przy walizce Gopina. Wyprasowała mu mundur, poprzyszywała mocno guziki. Sama nie wiedziała, co dla niego zrobić, bo Gopin niczego nie potrzebował. Upiekła mu ciastek na drogę. Gopin ze swej strony zawiózł mnie jeszcze raz do wojskowego szewca i kazał zrobić dla mnie jeszcze jedną parę butów - na wyrost. Zostawił mi na pamiątkę swój kompas, futerał od lornetki i stare kapitańskie pagony. Kilkakrotnie żegnał się z nami, wychodził z domu, a potem wracał, gdy okazało się, że wymarsz został odłożony o jeszcze jedną godzinę. Na koniec mama włożyła palto i wsiadła z nim do samochodu. Odprowadziła go aż do Mińska Mazowieckiego.

W dwa dni później wyjechali do Mińska Mazowieckiego Nusenowie, a na ich miejsce wprowadził się posterunek milicji. Mama sama to zaproponowała, bo źle się czuła w dużym i pustym mieszkaniu. Czyżewscy przejęli po milicji pokój, gdzie dawniej była jatka Nusena, a nam zupełnie wystarczał tylny pokój z kuchnią, która teraz była wyłącznie do naszej

dyspozycji.

*

Ślub Słonia z Sobótkówną i Biumka z córką Śliwy odbył się w drugi dzień Bożego Narodzenia. Zjechali się chłopci z całej okolicy. Rynek zastawiony był furmankami jak w targowcy poniedziałek. Nawet major Motkow, który pozostał w Dobrem jako przedstawiciel rosyjskiego dowództwa, wziął udział w tym widowisku. Do kościoła oczywiście nie wszedł, ale gdy młode pary wychodziły zeń, major ze swoim ordynansem, Ukraińcem, którego nazywano „Cap-carap”, i milicjantami urządzili straszliwą strzelaninę na wiwat. Potem Motkow z „Cap-carapem” wsiedli do swojego gazika, a reszta ludzi na furmanki i pojechali do Drupia na wesele. Pojechała również mama, bo Biumek i Słoń oraz Aron, który był drużbą, bardzo nalegali. Tylko Frydowie odmówili wzięcia udziału w weselu.

Na wszelki wypadek Aron, Biumek i Słoń zaprosili na wesele wszystkich milicjantów z Dobrego. Milicjanci chętnie skorzystali z zaproszenia. Na posterunku w Dobrem został tylko wielki Władek z jeszcze jednym milicjantem. Aron, Biumek i Słoń bardzo chcieli, żeby Władek był na ich weselu, ale Władek oświadczył, że z felerem w nodze niewiele na weselu wytańczy, a za to o wiele bardziej przyda się na posterunku w Dobrem.

Na weselu było ze trzysta osób. Było to właściwie potrójne wesele, bo Aron przedtem wesela nie miał. Objadano się do nieprzytomności, a samogonu było znacznie więcej niż goście mogli wypić. Jednakże obecność milicjantów i majora Motkowa pozwalała całkowicie panować nad atmosferą i nie dochodziło do rozlewu krwi. Jeśli ktoś czasem kogoś zaczepił, to kończyło się najwyżej na puszczeniu krwi z nosa, ale nikt nie używał noża. Orkiestra grała na przemian polki, oberki, kozaki. Major i milicjanci tańczyli jak opętani, a „Cap-carap”, wesolek i złodziejaszek - z tego właśnie powodu nazywano go „Cap-carap” - był wodzirejem. W przerwach między tańcami wszyscy z wszystkimi pili. Ci, co mieli broń, strzelali na wiwat, a najwięcej strzelał „Cap-carap”.

Pito zarówno do Biumka, który miał teraz na imię „Janek”, do Słonia, którego wołano „Stachu?”, jak i do Arona, którego nie traktowano jako drużbę, lecz również jako pana młodego.

- Pij, Janek! - wołali goście do Arona, który również miał teraz na imię „Janek”. Przecież to i twoje pierwsze prawdziwe wesele!...

- Nie tak sobie wyobrażałem moje prawdziwe wesele - powiedział Aron do mamy. Nalał sobie pełną szklankę wódki. Nalał również dla mamy. - Możesz mi wierzyć, że nie tak... - powiedział, wychylając całą szklankę do dna. Bardzo dużo pił. Mama również piła.

- Co za różnica, jak? - odpowiedziała mama. - Najważniejsze, że w ogóle masz

wesele! Że żyjesz... Że w ogóle żyjemy...

- Co z tego, kiedy nasze życie już nie jest takie, jakbyśmy chcieli... I nigdy już nie będzie.

- A czy było ono kiedykolwiek takie, jakbyśmy chcieli? Też nie. I nie tylko nasze. Życie innych też nie jest takie, jakiego by chcieli...

- Innym jest jednak zawsze lepiej niż nam...

- Przestań Aron! - przerwał mu Słoń. - To jest wesele!...

- Słyszysz? To jest wesele!... - powiedział Aron do Biumka, który siedział ze spuszczoną głową. - Jest wesele, a ty co?!...

- Moi bracia powinni tu być - odpowiedział pijany Biumek. - Moi bracia...

- Cicho bądź! - powiedział Słoń. - I nie myśl o tym! Było, przepadło, koniec! Trzeba żyć! Trudno. Czy po to przeżyłeś, żeby się teraz do końca życia martwić? W dodatku na własnym weselu?... *Lchaim!*...

- Przestań! - zawołał Aron do Słonia. - Teraz ty przestań, Słoń! Tobie też nie wszystko wolno! Tego ci nie wolno! Pamiętaj!... Nie jesteś na żydowskim weselu! I nigdy już nie będziesz...

Słoń się zmieszał i stracił cały fason.

- No dobrze... - powiedział. - Ale nie miejcie wszyscy takich min, bo jeszcze zauważą...

- Nic nie pomoże to wszystko! - powiedział Aron do mamy, - Jesteśmy i zostaniemy Żydami, choćby nas dwadzieścia razy ochrzcili... Choćbyśmy nie chcieli. Nie zapomnimy. Tego się nie da zapomnieć. Zresztą oni nam sami przypomną... I to jeszcze nie raz! Nawet naszym biednym, mieszanym dzieciom... Zobaczysz! Widzisz to? - wskazał tańczących. - Ja w to wszystko nie wierzę! Może za sto, dwieście lat... Pamiętaj, jak tylko front pójdzie naprzód, trzeba stąd natychmiast wyjechać! I to daleko! Jak najdalej! Tak daleko, żeby nigdy nie wrócić...

*

Podczas gdy pijany major Motkow i milicjanci popisywali się w Drupiu hołubcami i prysiadami pod komendą wodzireja „Cap-carapa” i wystrzelili swoją amunicję na wiwat, do Dobrego przyszło kilkunastu uzbrojonych ludzi. Podeszli pod posterunek i wystrzelili kilka razy do okien.

- Otwórzcie drzwi i podnieście ręce do góry, to nic wam nie zrobimy - zawołał do Władka i drugiego milicjanta, który był z nim na posterunku.

- O co wam chodzi? Czego chcecie? - zapytał wielki Władek.

- Nie pytaj, tylko rób, co ci się każe, bo będzie gorzej!

- Nie otwieraj! - zawołał milicjant, który był z Władkiem, i załadował karabin.

- Co robisz?! - powiedział Władek wyrywając mu karabin z rąk. - Z kim chcesz się bić? Z Polakami?...

Władek otworzył i obaj stanęli z podniesionymi rękoma. Tamci związali im ręce. Milicjanta, który był z Władkiem, uderzyli kolbą po głowie i zostawili nieprzytomnego, Władka wyprowadzili na podwórze. Nie bili go.

- Dobrze, że otworzyłeś - powiedział jeden z nich - bo mogłoby być o wiele gorzej!...

Stali pod naszymi oknami. Leżałem pod łóżkiem i wszystko słyszałem.

- Panowie, dajcie zapalić... - powiedział wielki Władek. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

- Jeszcze trochę... - poprosił Władek.

- Dosyć! - zakomenderował jeden z tamtych. Po chwili szczeknął strzał i coś ciężko chlapnęło w błoto.

Zaraz potem zadudniły kroki na schodach prowadzących do Frydów.

Usłyszawszy strzały Frydowie zerwali się z łóżek i wybiegli na strych po drabinie, którą wciągnęli za sobą na górę, a otwór zasunęli klapą. Na klapę postawili wszystko, co tylko stało na strychu.

Tamci nie mieli czasu, żeby próbować się do nich dostać. Tylko w mieszkaniu Frydów, rano, wszystko było podarte i porozbijane.

U nas były tylko dziury w okiennicach i wybite szyby. Rozbity przez kule został gąsior z olejem, który stał na oknie. Ale właściwie nikt nie próbował się dostać do środka.

Na podwórzu, w miejscu skąd zabrano ciało wielkiego Władka, leżały wgniecione w błoto śmieci i niedopalony papieros.

Senni i zmęczeni całonocną zabawą i pijatyką milicjanci opuścili wesele o świcie. Ale do Dobrego wrócili dopiero w południe. Leżeli wszyscy siedmiu w poprzek fury. Przyciągnął ich nieprowadzony przez nikogo koń.

Nie zostali zastrzeleni. Nie znaleziono w ich ciałach kul. Byli porżnięci nożami. Nie mieli w ogóle twarzy. Zdjęto ich z wozu i ułożono na słomie. Byli bez broni i bez butów.

Przybiegł Witek Czyżewski, którego ojciec też był wśród tych siedmiu.

- Chodź, to zobaczysz! - powiedział.

Przed wejściem do szopy było pełno ludzi. Już z daleka słychać było, jak kobiety płakały. Gdy podeszliśmy, ludzie rozstąpili się, żeby przepuścić Witka. Zbliżyliśmy się na palcach.

- Trzeci z tego brzegu... - powiedział Witek z dumą.
- Skąd wiesz, że to on? - spytałem szeptem.
- Poznaję po spodniach.

Witek nie płakał. Ani wtedy w szopie, ani na pogrzebie. Przeciwnie, wydawało się, że był naprawdę dumny. Jego matka płakała. I wszystkie kobiety płakały. Ale ani Witek, ani inne dzieci nie płakały. Jeśli umierała matka, to dzieci płakały. Czasem płakały, jeżeli ojciec umarł. Ale bardzo rzadko zdarzało się, żeby któreś z dzieci płakało, kiedy ojciec został zabity. Ojcowie ginęli i to było całkiem normalne. Wzbudzało zainteresowanie. Mogło być powodem do dumy. Ja też nie płakałem, kiedy dowiedzieliśmy się, że ojciec został zabity. Co prawda, dwa lata żyliśmy bez niego i zdążyłem się przyzwycząić do tego, że go nie ma. Ale myślę, że nie płakałbym również, gdybym się dowiedział, że na froncie zabito Gopina, którego kapitańskie pagony nosiłem na ramionach. Dzieci na ogół nie potrafią płakać, gdy ich ojcowie giną. Dopiero potem, gdy dorastają.

Natomiast gdy chowano wielkiego Władka - płakałem.

*

Z Mińska przyjechały rosyjskie ciężarówki z ustawionymi na szoferkach kulomiotami. Przede wszystkim zabrali milicjanta, który był z Władkiem, a którego tamci zostawili żywego. Nikt nie wiedział, co się z nim potem stało. Nikt o nim więcej nie słyszał.

NKWD biegało od domu do domu. Księgarza Malczewskiego, który próbował uciekać, zastrzelili. Przesłuchania odbywały się na miejscu, w Dobrem, w pięknym, wybudowanym przed samą wojną budynku szkolnym, przed którym stało jeszcze popiersie marszałka Piłsudskiego. Pani Ciokowa próbowała interweniować w sprawie synów księgarza Malczewskiego. Jeden miał szesnaście, a drugi wszystkiego czternaście lat. Ludzie słyszeli, jak ich bito. Ale pani Ciokowej nie wpuszczono do budynku. Powiedziano jej, żeby nie wsadzała nosa w nie swoje sprawy, bo i za nią się wezmą.

Ciężarówki udały się jedne w kierunku Węgrowa, a drugie Jakubowa. Przez dwa dni słychać było w lasach strzelanie. Zaraz po akcji majora Motkowa wysłano na front, na pierwszą linię. Jego ordynans „Cap-carap” nie wrócił z obławy w okolicy Jakubowa. Szukano jego ciała, ale nie było go również wśród zabitych. Przepadł jak kamień w wodę.

Frydowie wyjechali do Mińska zaraz następnego dnia po napadzie. Mama była w gorszej sytuacji. Nie miałyby z czego żyć w Mińsku. W Dobrem mieliśmy przynajmniej swoje mieszkanie i można było się jakoś utrzymać z przerabiania sukienek i handlu drożdżami. A co mogłaby mama robić w Mińsku, gdzie były i sklepy z drożdżami, i prawdziwe krawcowe?

- Przecież nic nikomu nie zrobiliśmy - mówiła mama - więc czego mamy się bać? Nawet pieniędzy nie mamy...

Mama każdemu mówiła, że na nas nie było napadu.

- Strzelali w okna, bo chcieli wejść na posterunek! O posterunek im chodziło, nie o nas...

Być może rzeczywiście o nas im nie chodziło. Ale czego chcieli od Frydów? Przecież Frydowie też nic nikomu nie zrobili? Że mieli pieniądze? Nie tylko Frydowie mieli pieniądze w Dobrem. Dlaczego nie pobiegli do innych, którzy mieli pieniądze? Dlaczego tylko do Frydów? I dlaczego nikt się temu nie dziwił? Nikt nawet nie zapytał - dlaczego? Dlaczego nawet mama się nie dziwiła?

W Dobrem wielu ludzi miało pieniądze. Żydzi zostawili tu wszystko. Kamieniczki, sklepiki, towary - i te które mieli w sklepach, i te które mieli schowane - meble, sprzęty, a nawet odzież. Nasi kuzyni, Szczepańscy, zostawili u pani Ciokowej całe worki cukru i mąki, ojciec Frydowej, Ajzyk, wszystkie swoje łokciowe towary. Pani Ciokowa była porządną kobietą, więc gdy Ajzyk lub ktokolwiek z jego rodziny przychodził w nocy, dostawał chleb, cukier, maść przeciw świerzbowi i inne lekarstwa. Ale gdy Ajzyka złapali i kiedy zginęła siostra Frydowej i bracia - nikt więcej nie przychodził. Szczepańscy zaś nie zgłosili się nigdy, pojechali do Treblinki od razu.

A ile towarów zostawiono u Szczęsnego, u Zbrzeźnego, u Bodeckich? A ile u Bobrów? Pewnego razu wpadli do Dobrego „czarni” i zrobili u Bóbra rewizję. Dwie ciężarówki załadowali towarami. Bóbrówna, która była bardzo ładną dziewczyną i modnie się ubierała, wsiadła z nimi do szoferki. Za pół godziny ciężarówka, do której wsiadła Bóbrówna, wróciła i towary z powrotem wyładowano.

Ludzie w Dobrem nie byli potworami i niektórzy szczerze współczuli Żydom. Ale w gruncie rzeczy byli zadowoleni. Nawet ci, którzy współczuli. Tyle miejsca się zwolniło w miasteczku. I tyle różnego dobra. Nie mogli nie odczuć cichego zadowolenia. Nawet najlepsi, którym było przykro przed samymi sobą się przyznać. Niemcy o tym wiedzieli i z pewnością - liczyli na to.

Żydzi zostawili wszystko, bo myśleli, że wrócą. Ci, którzy uciekli ze Stanisławowa przed wywiezieniem do Treblinki, zakradali się później nocami do swoich znajomych i oddawali resztę wartościowych rzeczy, które mieli przy sobie, za jedzenie i za lekarstwa. Apteka w Dobrem prosperowała jak nigdy. Prosperowały również jak nigdy przedtem były żydowskie sklepiki. Handel odbywał się za niemieckimi plecami. Ze wsi przychodziła żywność, którą chłopcy ukrywali przed Niemcami, a kobiety z Dobrego woziły ją aż do

Warszawy. Przez „zieloną granicę” przywożono tkaniny z Łodzi. W Warszawie i w Łodzi były dwa największe żydowskie getta. W tak wielkich gettach niemało było bogatych Żydów, którzy „przyciśnięci do muru”

- dosłownie! - oddawali za trochę żywności najcenniejsze rzeczy lub złoto. Więc nigdy przedtem Dobrze nie chodziło tak dobrze ubrane, nie jadło tak dostatnio i tak ładnie nie mieszkało. A kto wrócił, żeby swoje rzeczy odebrać? Ile sukienek z tych, które przynoszono do przerobienia, mama rozpoznawała?... Kto wrócił do Dobrego? My, Nusenowie, Frydowie - nikt.

Gdy Frydowie wyszli po dwóch latach z kryjówki pod piekarnią, z tego grobu, w którym byli żywcem zakopani, myśleli, że po tym jak tyle przecierpieli i jednak pozostali przy życiu - prawie sami z całego miasteczka - to wszyscy im będą współczuli, dodawali otuchy, może nawet cieszyli się nimi... A tymczasem tamci nie pobiegli po pieniądze do innych tylko do Frydów, dlatego że Frydowie byli Żydami. A jak Żyd ma pieniądze, to każdy myśli, że ma prawo mu je odebrać.

Dlatego nie chciałem być Żydem. Nie chciałem być Żydem jeszcze bardziej niż przedtem, gdy nie wolno mi było wspominać ojca ani dziadka, ani prawdziwego imienia, którym mnie wołali, ani żadnego słowa, które kiedykolwiek do mnie powiedzieli. Jeszcze bardziej niż wtedy, gdy ksiądz uczył mnie, jaką krzywdę Żydzi wyrządzili światu... Bardziej niż wtedy, gdy wróciliśmy i ludzie uważali, że to nie jest normalne, że pozostaliśmy żywi. I nawet bardziej niż wtedy, gdy okazało się, że nie wolno nawet się pytać, kto zabił mojego ojca?

Nie tylko klękałem przy łóżku i odmawiałem codzienną modlitwę. Nie opuszczałem lekcji religii, na które wolno mi było nie chodzić. I uczyłem się religii lepiej niż ktokolwiek w klasie. Razem z wszystkimi szedłem przed lekcjami do szkolnej kaplicy i śpiewałem. Razem z wszystkimi wstawałem po lekcjach, zegnałem się znakiem krzyża i mówiłem: - „Dziękuję Ci, Boże, za światłość tej nauki...”. Wykradałem się w niedzielę do kościoła, gdzie ludzie przyglądali mi się z zainteresowaniem, pokazywali mnie sobie wzrokiem i mówili „biedne dziecko...”. Gdy nikogo w kościele nie było, klękałem przed malowanymi postaciami na ołtarzach i prosiłem, żeby choć raz użyły swojej wszechmocnej władzy i sprawiły, żebym nie był Żydem. „Dobrzy święci - szeptałem - czy nie dość wam, że zabito mojego ojca i małego brata, obu dziadków, babki, ciotki, wujków, kuzynów? Którzy przecież nic nie zawinili. Czy nie dość wam jeszcze? Czego jeszcze chcecie? Zastanówcie się! Jestem pewny, że Pan Jezus, nigdy by się na to nie zgodził...”.

Pewnego dnia przyszła wiadomość, że wreszcie wzięto Warszawę. A zaraz potem Łódź. Dowiedzieliśmy się też, że Gopin został zdegradowany. Puścił do domu AK-owców, którzy złożyli przed nim broń; nie oddał ich do NKWD.

Lejtnant Szejn poległ pod Warszawą. Frydowie i Nusenowie przenieśli się z Mińska do Łodzi.

Część druga

*Zadedykowana pamięci mojego ojczyma,
Askera Uszera Powązka*

Mama nawet nie próbowała sprzedać naszej części kamienicy. Takie rzeczy bardzo ludzi drażniły i były niebezpieczne. Jakiś Żyd przyjechał do Mińska, żeby sprzedać dom i przypłacił to życiem. Ludzie zdążyli się już przyzwyczaić, że dawni właściciele nie żyją i że sami są właścicielami domów, w których mieszkają. Wprawdzie w naszej części kamienicy nikt inny nie mieszkał tylko my, ale mama bałaby się wyjeżdżać z Dobrego z pieniędzmi. Sprzedała więc jedynie maszynę do szycia i wyjechaliśmy, gdy tylko skończyły się mrozy.

Jechaliśmy przez Warszawę. Ale nawet nie zatrzymaliśmy się. W Warszawie nie było domów, pięturyły się tylko postrzępione, dziurawe ściany, przez które prześwitywało niebo. Przeszliśmy pieszo przez drewniany most, na którym rosyjskie żołnierki dyrygowały ruchem. Nie było ulic. Szliśmy po kładkach przerzuconych nad kupami gruzu. Wojskowe ciężarówki skakały po wysokich garbach ugniecionej czołgami cegły.

Tam, gdzie kiedyś paliło się getto, nawet ściany nie pozostały. Tylko wysoko usypana równina gruzów. Przekopana wśród tych gruzów droga wyglądała jak wąwóz w egzotycznym, skalistym krajobrazie. Mama opuściła głowę, żeby nie widzieć.

*

W Łodzi niewysokie, ciemnoszare domy stały równo, mocno, jeden przy drugim pokryte starym, przedwojennym kurzem. Tramwaje miały na niebiesko pomalowane szyby, ale dodawało im to tylko uroku. Na wystawach sporo już było towarów z amerykańskich i angielskich paczek i wszystkimi ulicami wartko płynęły wypełnione po brzegi, tętniące życiem rynsztoki.

Zatrzymaliśmy się u Nusenów i Frydów, którzy wspólnie z dwoma braćmi Majnemerami z Mińska Mazowieckiego i ich siostrą Belcią zajmowali mieszkanie, składające się z kuchni, łazienki i czterech pokoi w amfiladzie.

Każdy z tych pokoi umeblowany był na inny kolor - kawowy, kremowy, kakaowy i czekoladowy. W pierwszym pokoju stał wielki, błyszczący fortepian, a podłogi były ze lśniącego i lekko skrzypiącego parkietu. Nawet dziedzic w Radoszynie nie miał takiego

mieszkania.

Ani takich mebli. Łóżka były szerokie, ze sprężynowymi materacami. Przy każdym łóżku stała nocna szafka, na każdej szafce nocna lampka. Toaletki z dużymi lustrami, a przy każdej miękko wyściełany taboret. Na kredensach, toaletkach, komodach figurki z porcelany lub ciężkie, szklane kule z zamkniętymi w nich fantazyjnymi kształtami. Żyrandole poobwieszane kryształkami o kształtach płatków, trójkątów i ściekających sopli. Na ścianach obrazki i makatki przedstawiające dobrze odżywione dziewczynki z anielskimi, niebieskimi oczami i chłopczyków ubranych w zgrabne, krótkie spodniki, kolorowe kaftaniki i kapelusiki, jak również obrazki i makatki w zakochane łabędzie, sarny, jelonki, leśne strumyki, a nawet w krasnoludki. Makatki, na których były niemieckie napisy, leżały na podłodze odwrócone na lewą stronę i służyły do wycierania nóg.

Takich mieszkań było bardzo wiele wtedy, gdy Nusenowie i Frydowie przyjechali do Łodzi. Były prawie nienaruszone, bo pilnowali ich żołnierze, a żołnierze, ani Rosjanie, ani Polacy, tych rzeczy nie potrzebowali. Rosjanie szukali tylko wódki, wody kolońskiej i zegarków, żołnierki przepadały głównie za jedwabiem, ubierały się w długie, różowe nocne koszule myśląc, że to suknie wieczorowe. Zaś Polakom, którzy tych mieszkań pilnowali, chodziło tylko o pieniądze. Na drzwiach wywieszali karteczkę, że mieszkanie zostało zajęte przez kaprała, plutonowego lub sierżanta takiego i takiego i każdy wiedział, że trzeba było danego kaprała czy sierżanta odszukać, zapłacić odpowiednią sumę i można było się wprowadzać. Kapralowi płaciło się pięćset złotych, plutonowemu trochę więcej, sierżantowi tysiąc. Ale też i wartość mieszkania była proporcjonalna do rangi. Tysiąc złotych płaciło się sierżantowi, ale za takie mieszkanie jak Frydów, Nusenów i Majnemerów - z telefonem i fortepianem.

Ja i Izak Fryd szperaliśmy po strychach i piwnicach, gdzie znajdowaliśmy maski gazowe, wojskowe plecaki i nesesery, okulary motocyklowe, bagnety, stosy przeróżnych papierów, zdjęć, zeszytów i książek i albumy znaczków pocztowych. Przyglądaliśmy się postaciom na zdjęciach, rysunkom na znaczkach pocztowych i pozapisywanym niezrozumiałym pismem papierom. Wpatrywaliśmy się w litery pisane szybko albo powoli, zamasyście lub bardzo starannie, ołówkiem lub atramentem czarnym, niebieskim, zielonym. Patrząc na te papiery miało się wrażenie, że i one patrzyły swoimi milczącymi, niezrozumiałymi, zezowatymi literami - zimno się od tego robiło. Przyglądaliśmy się im, po czym darliśmy w drobne strzępy, a fotografiom wydłubywaliśmy oczy.

Rozbijaliśmy figurki o bufiastych krynolinach, porcelanowych pastuszków z flecikami, kubki, filiżanki i talerze, na których były wymalowane rumiane, puciołowate

twarze. Rozbijaliśmy nawet krasnoludki. Przyglądaliśmy się pod światło szklanym kulom, w których mieniły się owe nieokreślone kształty, po czym z rozmachem rozbijaliśmy je o beton trotuaru. Nic właściwie w ich środku nie było. Darliśmy nawet kolorowe obrazki z cudownymi afrykańskimi zwierzętami. Zachowywaliśmy tylko wojskowe pasy, maski gazowe, okulary motocyklowe, bagnety.

Coraz więcej ludzi przyjeżdżało do Łodzi, gdzie najłatwiej było zacząć życie na nowo. Przede wszystkim przybywali Żydzi. Chodziliśmy z Izakiem po ulicach i przyglądaliśmy się przechodniom. Jeśli zobaczyliśmy kogoś bardzo bladego, chudego, o dużych, smutnych oczach, zastępowaliśmy mu drogę i pytaliśmy - *Amchu?* Jeśli nie wiedział, co to słowo znaczy, przepaszaliśmy i uciekaliśmy. Ale zdarzało się, że zagadnięty zatrzymywał się i wołał - Tak, *Amchu!* - i przeżywaliśmy wielką radość. Był nasz! Dumni z tego sukcesu prowadziliśmy go do domu, gdzie wszyscy siadali dookoła i on nam, a my jemu opowiadaliśmy o tym, skąd się wzięliśmy i w jaki sposób osiągnęliśmy to, że żyjemy, więc ktokolwiek by to nie był, zawsze mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Nie przestawaliśmy chodzić po ulicach i szukać - stało się to naszą namiętnością.

Szukaliśmy również w gruzach getta, bo getto było zburzone, przeszukiwaliśmy na wpół zasypane piwnice. Spotykaliśmy dzieci, które kiedyś w tamtych domach mieszkały.

Każdą rzecz, którą tam znaleźliśmy, uważaliśmy za relikwię i odnosiliśmy do domu każdy zardzewiały garnek i złamany lichtarz. Tylko wygrzebane z gruzów fajerki przeznaczaliśmy do zabawy, dorabialiśmy do nich druciane pałaki i z przeraźliwym hałasem toczyliśmy je po brukowanych kocimi łbami ulicach.

Tam właśnie, w ruinach getta, w przysypanej piwnicy znaleźliśmy Niemca.

- Niemiec! - zawołaliśmy - Niemiec!...

Nadbiegli ludzie, zeszli do piwnicy i wyciągnęli go stamtąd za włosy. Miał długie, dawno nie strzyżone włosy, ale zarostu na twarzy nie miał. Może się codziennie golił, a może nie miał zarostu, bo był za młody. Miał na sobie podarty mundur i oślepiony słońcem to mrużył, to wytrzeszczał oczy, którymi nic nie widział. Zbiegło się jeszcze więcej ludzi.

- Niemieckiego szczura złapali! - wołali ludzie. - Patrzcie, jak boi się światła! Jak wytrzeszcza oczy!

Chwycili Niemca za włosy i za nogi i zaczęli go ciągnąć po gruzach. Niemiec zaczął krzyczeć. Z czoła, w miejscu gdzie zaczynały się włosy, ciekła mu krew.

- Na policję z nim! - wołali ludzie. - Na policję!

Zbiegał się coraz większy tłum ludzi, a Niemiec coraz głośniej krzyczał.

- Co on się tak drze! - wołali ludzie. - Jak oni naszych mordowali, to nie było krzyku...

Niemiec krzyczał jak opętany, krzyczał w taki okropny sposób, że trudno było znieść. Ktoś nie wytrzymał i rzucił kawałkiem cegły. Inni również się schylili po cegły. Ludzie, którzy Niemca ciągnęli, odstąpili na bok. Wszyscy wzięli do ręki cegły. Niemiec ucichł, potem umilkł zupełnie. Ludzie nic nie mówili, tylko rzucali. Słysząc było tylko suche trzaskanie cegieł. Kiedy nadeszła milicja, kupa cegieł leżała tam, gdzie przedtem leżał Niemiec i krzyczał, kupa gruzu jak wszędzie dookoła.

Następnego dnia zatrzymaliśmy na ulicy małego chłopca w okularach. Nie znaleźliśmy go, zapytaliśmy, co jest za jeden, a on się przestraszył i zaczął wołać przeraźliwymi, gardłowymi okrzykami.

- Niemiec! - zawołaliśmy - Niemiec!...

Otoczyliśmy go, wszystkie dzieci z ulicy, przycisnęliśmy go do ściany i zaczęliśmy okładać pięściami. Kopaliśmy go, szarpali i wrywaliśmy mu włosy. Okulary mu spadły na ziemię, a my rozdeptaliśmy je nogami. Miał oczy nieprzytomne ze strachu i cały czas krzyczał owymi niezrozumiałymi dźwiękami. Krew, która ciekła z nosa, wsączała mu się do otwartych ust, krzyżąc połykał ją, krztusił się i z jeszcze bardziej przeraźliwym wysiłkiem krzyczał rozpaczliwie zasłaniając głowę rękami.

- Co robicie, łobuzy? - zaczęli wołać przechodnie. - Przecież zabijecie dzieciaka!...

- To Niemiec! - zawołaliśmy - Niemiec!...

- Niemiec?... Ale to przecież jeszcze dziecko...

- To jest Niemiec! - odpowiedzieliśmy. - Niemiec!

- Dobrze tak! - zawołali inni przechodnie. - Niech dadzą Niemcowi, niech mu dobrze dadzą! Mało oni naszych dzieci namordowali?! Niech mu dadzą za swoje, niech ma!...

Biliśmy więc jeszcze zawzięciej. Walczyliśmy pomiędzy sobą, żeby móc się do niego przedostać, żeby znaleźć się jak najbliżej i jak najwięcej razy uderzyć. Nagle jakaś kobieta wybiegła z bramy.

- Ludzie, co wy robicie?! Zlitujcie się, na Boga! To nie żaden Niemiec, to mój! Moje biedne dziecko, niemowa! Czy wy Boga w sercu nie macie, ludzie!... - Chwyła chłopca na ręce gładząc jego jasne włosy, które ponaciekały już krwią.

Patrzyliśmy na nią bezradnie. - Myśmy nie wiedzieli... Myśleliśmy, że to Niemiec...

Już nie miałem więcej do Boga pretensji o to, że urodziłem się Żydem. Cieszyłem się, że nie urodziłem się Niemcem, i codziennie dziękowałem Mu za to.

*

Nusenowie, Frydowie i Majnemerowie mieli stragan z łokciowizną na Zielonym Rynku. Na rynku był duży ruch i Nusenowie, Frydowie i Majnemerowie robili duże obroty.

Mężczyźni przywozili ciężkie bele tkanin na dwukołowym wózku, do którego się zaprzęgali jak konie, a kobiety stały przy straganie i sprzedawały. Kiedy mężczyźni nie byli zajęci transportowaniem towaru, również stawali przy straganie, rzucali na stół ciężkie sztuki samodziałowej wełny, płótna pościelowego i koszulowego, odmierzali drewnianym łokciem i cięli.

Mama pomagała w ten sposób, że jeździła do Zgierza i Pabianic do tamtejszych hurtowników i zamawiała towar. „Hurtownicy” produkowali płótna i wełny-samodziały w małych fabryczkach, które pracowały na kilku, najwyżej kilkunastu krosnach, ale pracowały one dzień i noc i produkowały znacznie więcej niż im pozwalano. Prowadzili je Żydzi, do których one dawniej należały lub - co się o wiele częściej zdarzało - odziedziczyli je po zamordowanych krewnych. Władza mogła łatwo poznać po ilości towaru na Zielonym Rynku, że warsztaty produkują więcej niż było zarejestrowane, ale może nie śmiała jeszcze dokuczać Żydom. Zresztą władza miała w tym czasie ważniejsze sprawy. A poza tym była przekupywana.

Chłopi, którzy przyjeżdżali na Zielony Rynek z wozami pełnymi żywności, tłoczyli się przy straganie Nusenów, Frydów i Majnemerów, którzy mierzyli, targowali się z nimi, krzyczeli i oblewali się potem.

Ja i Izak przywoziliśmy z domu jedzenie w kociołkach i biegaliśmy po lemoniadę. Gotowaniem zajmowała się Belcia. Przywożono jej prosto z rynku świeży nabiał, drób i jarzyny wytargowane w wymiennym handlu od chłopów. Wieczorem na kolację była wątróbka siekana z cebulą, rosół z prawdziwie żółtym, wielojajecznym makaronem, nadziewana mąką i kurzym smalcem szyjka zwana „mejgele”, cymes z marchewki, kompot z suszonych jabłek i śliwek. Przy takiej kolacji wspominało się zimne i dżdżyste noce, gdy trzeba było skradać się do chłopskich chałup po trochę gotowanych z łupinami kartofli. Posyłano wtedy mnie i Izaka po jeszcze kilka butelek najdroższej lemoniady, a za resztę pozwalano nam kupić sobie lodów albo cukierków. Potem wysypywano na stół wielki stos brudnych, pogniecionych banknotów, układano je, liczono, dzielono.

*

W ostatnich dniach kwietnia ludzie gromadzili się na Placu Wolności przy głośnikach nadających komunikaty z frontu. Chłopcy z gazetami biegali po ulicach i wołali: „Berlin zdobyty - Hitler zabity”, „Rzeczpospolita - Hitler wyciągnął kopyta!”. Wrywano im gazety z rąk. Zaczęły się uroczyste parady z udziałem wojska i młodzieży. Parada szła za paradą - pierwszego maja, trzeciego maja, dziewiątego maja.

W milczeniu patrzyli ludzie na wojsko defilujące w brzydkich, rosyjskich owijaczach,

lichych mundurach i z orzełkami pozbawionymi korony. Za to powszechny entuzjazm wzbudzało maszerujące w wojskowym szyku harcerstwo w nowiutkich mundurkach, kolorowych chustach i czapkach z lilijkami.

- Jak oni zdążyli tyle tego wyprodukować? - dziwili się Majnemerowie, Nusen i Fryd.

- Jak chcą, to wszystko potrafią... Nie rozumiesz? Nie widzisz, o co tu idzie?...

Czternastoletni chłopcy mieli na nogach grube getry i wojskowe kamasze, przy pasach niemieckiego pochodzenia bagnety. Na czele hufców szli poobszywani harcerskimi sprawnościami wcale niemłodzi ludzie.

- Niech żyje nasze harcerstwo! - wołano z chodników. - Nasza przyszłość, nasza nadzieja! Nasza prawdziwa Polska!...

Harcerze prostowali się i uderzali defiladowym krokiem, spoglądali prosto w oczy zebranych na chodnikach ludzi - tak, to my jesteście wasza nadzieja, wasza Polska, wasze jedyne wojsko...

Potem szła młodzież cywilna z biało-czerwonymi, czerwonymi i zielonymi chorągwiemi. Szli ulicą Piotrkowską, która za Niemców nazywała się ulicą Hitlera, aż do Placu Wolności, który za Niemców nazywał się placem Hitlera. Szli i śpiewali:

„Idziemy, idziemy znów Piotrkowską, wydusić tę bandę hitlerowską!”.

A ludzie na chodnikach wtórowali: - Wydusić tę bandę hitlerowską!...

„Z Piotrkowskiej pójdziemy na Sterlinga, powiesić Goebbelsa i Goeringa!” - kontynuowali maszerujący, a wszyscy powtarzali: - Powiesić Goebbelsa i Goeringa!

„Ze Sterlinga pójdziemy do Berlina, powiesić Hitlera, skurwysyna!” - Powiesić Hitlera, skurwysyna! - wołali wszyscy ludzie.

Staliśmy razem na ulicy, ja z mamą, Frydowie i Nusenowie.

- Dzięki ci Boże, że pozwoliłeś nam żyć i być świadkami dzisiejszego dnia... - powiedział po hebrajsku Fryd. Były to słowa starej, żydowskiej modlitwy.

*

W tych dniach powszechnego uniesienia Belcia Majnemerówna wyszła za mąż. Wyszła za człowieka, którego ja i Izak zatrzymaliśmy raz na ulicy i zapytaliśmy: *Amchu?*

Żydzi się wtedy pobierali szybko i kto tylko miał z kim. Wdowcy z wdowami, inwalidzi z inwalidkami, ślepi z kulawymi, sparaliżowani z gruźliczkami. Znajomy z sąsiedniego domu, stary kawaler i garbaty, ożenił się z ładną, młodą dziewczyną, która wróciła z Ravensbruck z uschniętą nogą. Spieszono się. Każdy się bał, że nie starczy dla niego partnera. A nikt nie chciał pozostać sam. Każdy człowiek, za którego można było wyjść za mąż, był na wagę złota, więc nie przebierano. Przy tym nie wszyscy byli tak młodzi jak

Belcia, musieli się spieszyć. Ich najlepsze lata już dawno minęły. Potracili dzieci, a wcale nie mieli pewności, czy Bóg, którego tak długo nie było, okaże się jeszcze dla nich łaskawy. Jeśli zaś na pewno nie mogli liczyć na to, że będą mieli dzieci, to usiłowali sobie nawzajem zastąpić ojca, matkę, siostrę lub brata. Jeszcze nigdy małżeństwo nie było tak cenną rzeczą. Było po prostu ratunkiem.

Ślub Belci i Mońka odbył się nie przed domem, jak każe obyczaj, ale w mieszkaniu. Ludzie nie mieli już odwagi wychodzić ze swoimi żydowskimi obyczajami na ulicę. W stołowym pokoju rozpięto wzorzystą ponemiecką kapę, którą cztery osoby trzymały za rogi. W zastępstwie nieżyjących rodziców wprowadzili Belcię pod baldachim jej bracia. Narzeczony, Moniek, nie miał zupełnie nikogo, więc ujęli go pod rękę Nusen i Fryd. Potem Moniek na głos zmówił modlitwę za swoich nieżyjących rodziców i wszystkich najbliższych krewnych. Nie była to wesoła uroczystość. Gdy Moniek zmówił Kadisz, kantor wysokim tenorem prosił Boga o miłosierdzie, a w takiej chwili znowu wszyscy Żydzi płaczą, bo nikt nigdy nie potrzebował tyle boskiego miłosierdzia, co Żydzi. Nikt też, biorąc ślub, nie bierze na siebie tyle odpowiedzialności, co Żyd.

Więc ślub żydowski w ogóle nie może być wesołą uroczystością. Nikt nie ma tylu zmarłych do oplakiwania. A z całą pewnością nikt inny nie miał ich tylu w maju czterdziestego piątego roku.

Po ślubie Belcia z Mońkiem zamieszkali w stołowym pokoju i mama musiała poszukać dla nas mieszkania. Nie było już wolnych mieszkań przy lepszych ulicach, ani tak umeblowanych jak mieszkanie Nusenów, Frydów i Majnemerów. Mama dostała pokój z kuchnią w pobliżu dawnej fabryki Poznańskiego. Była to właściwie część większego mieszkania z dwoma wejściami, z frontu i z oficyny. Część frontowa, z balkonem, była zajęta przez państwa Gaworczyków, lecz my za to, choć od oficyny, mieliśmy kuchnię i łazienkę. Wprawdzie w łazience nie było już ani wanny, ani pieca do grzania wody, ale nie musieliśmy schodzić na podwórze do ubikacji i po wodę. Mama dziwiła się, że Gaworczykowie zgodzili się na mieszkanie bez bieżącej wody, przecież trzeba prać, sprzątać, gotować.

- Całe życie chodziłam po wodę - odpowiedziała pani Gaworczykowa - i cały czas mieszkaliśmy od tyłu, gdzie nigdy nie było słońca. Mówią, że teraz mają być lepsze czasy dla nas, dla robotników, to niech będzie i te trochę słońca w domu...

Obaj Gaworczykowie, ojciec i syn, pracowali u Poznańskiego. To, że mieszkaliśmy z nimi przez drzwi, było zaletą mieszkania. Różni nieznajomi odwiedzali ludzi w mieszkaniach i ludzie niepewnie się czuli w swych nowych mieszkaniach sami, zwłaszcza Żydzi. Poza tym mieszkanie, które się kupiło, trzeba było umieć zatrzymać. W parę dni po tym, jak

wprowadziliśmy się, przyszedł ktoś, kto zapłacił temu samemu żołnierzowi co mama i zażądał, żebyśmy opuścili mieszkanie. Na szczęście obaj Gaworczykowie byli w domu, wzięli gościa pod pachy i zepchnęli ze schodów. Mama zaraz poszła do urzędu kwaterunkowego, żeby dostać oficjalny przydział. Nie chciano wydawać przydziałów ludziom, którzy się bezprawnie wprowadzili - urzędników też trzeba było przekupywać. Mama jednak opowiedziała towarzyszowi Jasińskiemu, starszemu człowiekowi, który był szefem wydziału kwaterunkowego, niektóre nasze przeżycia z czasu okupacji i dostała przydział. Przydział wydano mamie w dwóch egzemplarzach, a Jasiński kazał jej jedną kartkę przybić na drzwiach, a drugą dobrze schować.

Tak jak przewidywano, kartka z drzwi została zerwana, ale gdy zaraz potem ktoś przyszedł - tym razem z milicjantem, któremu za to zapłacił - mama wyjęła drugą kartkę z pieczęcią i podpisem Jasińskiego i pokazała. Człowiek w mundurze milicjanta zażądał, żeby mu mama dała tę kartkę do ręki, ale na to mama się nie chciała zgodzić, pokazała ją tylko z daleka. Od tej pory był spokój.

Wkrótce sprowadził się do Łodzi Aron z żoną i z dzieckiem, a razem z nim przyjechał z Mińska Mazowieckiego Adek, który wprawdzie nie odnalazł nikogo z rodziny, ale przywiózł z sobą narzeczoną. Miała ona brata Stefka, o parę lat starszego ode mnie. Narieczona Adka sama miała wszystkiego szesnaście lat. Przeżyła jako zakonnica w klasztorze. Stefka, który był obrzezany, zakonnice bały się trzymać w klasztorze i oddały go partyzantom do lasu, gdzie tylko dowódca wiedział, że Stefek był Żydem. Adek i jego narieczona starali się w Łodzi o papiery na wyjazd do Francji i zatrzymali się u nas. Mamie było to na rękę, bo zaczęła w tym czasie jeździć z Aronem na Zachód i nie miałyby z kim mnie zostawić.

Z Zachodu przywożono naczynia kuchenne, zastawy stołowe, bieliznę pościelową, kapy, ręczniki, obrusy, maszynki elektryczne, a nawet radia i rowery. Te wartościowe rzeczy dostawało się od Niemców za mąkę, słoninę i papierosy. A czasem zupełnie darmo. Ludzie po prostu wchodzili do domów i zabierali, co chcieli. Jeśli potrzeba było pomocy, prosili pierwszego lepszego żołnierza za paczkę papierosów. Żołnierz nie tylko zaprowadził gdzie trzeba, ale i gdy trzeba było, otworzył kolbą drzwi.

- Bierzcie ludzie, co tylko chcecie! - mówili żołnierze. Bierzcie i nie pytajcie! I nie litujcie się! To i tak nie ich! To rabowane!...

Rzeczywiście, nie tylko niemieckie rzeczy przywożono z Zachodu, ale i francuskie, belgijskie, holenderskie, czeskie. Ludzie brali. - To i tak mało za to, co im się należy! - mówili opróżniając niemieckie komody i szafy. Mama tak jednak nie mogła, zawsze coś w

zamian dawała.

Aron przywoził mi kompas, gwizdki i fińskie noże i odbywał ze mną rozmowy.

- Pamiętasz, jak cię wiozłem zawszonego z lasu, z ziemianki do Warszawy? - pytał. - Pamiętasz, jak szliśmy w biały dzień? Koło młyna? Na moście stał żandarm i jeden chłop z furą czekał na swoją kolejkę do młyna. Ty nie pamiętasz, ale ja pamiętam, jak ten chłop oczy wytrzeszczył, kiedy nas zobaczył... Ja go dobrze znałem, kiedyś konie mu sprzedawałem. Gdyby ten chłop pisnął jedno słowo, byłoby po nas. Zdjąłem czapkę i powiedziałem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”. Potem kazałem i tobie zdjąć czapkę i ukłonić się żandarmowi. „Ukłoń się ładnie panu żandarmowi”, powiedziałem. I przeszliśmy jakby nigdy nic. Nie oglądając się za siebie ani razu, bo nie wolno się było obejrzeć... A przecież skąd można było wiedzieć, co tam działo się za naszymi plecami? Może żandarm patrzył za nami, może już zdejmował karabin?... Skąd można było wiedzieć, co robi ten chłop, któremu ja kiedyś sprzedawałem konie? Przecież różni bywali chłopcy. Może nie były dość dobre te konie, które mu sprzedawałem?... A w dwa tygodnie potem Niemcy przyszli do ziemianki, gdzie był twój dziadek i babcia, i obie ciotki, i mały Chil... I ciebie też już by nie było, gdybym cię wtedy nie zabrał stamtąd. Był to najwyższy czas. A nikt inny nie umiałby tego zrobić. Nie wiedziałby, gdzie, kiedy i jak. I nikt by się nie chciał narażać. Z dzieckiem?... Nikt inny by tego nie zrobił. Więc powiedz, czy chciałbyś, żebym został twoim ojcem?...

- Tak, chciałbym.

Aron chciał, żeby mama z nim wyjechała daleko na Zachód i żebyśmy tam zostali. Wielu ludzi wyjeżdżało i nie wracało. Niektórzy żenili się tam z Niemkami. Nawet Żydzi. Kobiet było tam bardzo dużo, prawie same kobiety. Wchodzili do mieszkań, o jakich im się nawet nie śniło, znacznie lepszych niż w Łodzi. Schludne, dobrze wychowane kobiety ofiarowywały im ubrania swoich mężów, ojców i braci. Prały im onuce, czyściły buty, nogi im myły, żeby tylko nie odchodzili i nie zostawiali ich znowu samych. Opowiadały, jak bardzo były samotne przez te ostatnie lata. A najlepsze były dla Żydów! I chłopców to brało za serce. Zwłaszcza tych, którzy przyszli z Rosji, którzy nigdy nie widzieli takich mieszkań, takich kobiet ani tego wszystkiego, co Niemcy robili z Żydami.

- Ale ja przecież byłem w Polsce i widziałem - mówił Aron. - Więc czy ja mógłbym ożenić się z Niemką?...

- O czym ty mówisz, Aron? Przecież masz żonę i dziecko!... - odpowiedziała mama.

- Kiedy to nie jest żona dla mnie... Ożeniłem się, bo musiałem, wszyscy o tym wiedzą. Co ja mam z nią wspólnego? Nawet nie wiadomo, czy to dziecko jest moje... Inni tak samo z nią spali. Gdybym wiedział, że ciebie jeszcze spotkam... Przecież ja twojego małego kocham

jak własnego syna. Czy nie uratowałem go? A dla kogo, myślisz, ja to zrobiłem? Dla ciebie...

- Nie możesz zostawić kobiety z dzieckiem, samej - odpowiedziała mama. Myślała sobie bowiem, że jeśli Aron może zostawić jedną kobietę z dzieckiem, to mógłby zostawić później i ją. Zwłaszcza gdyby spotkał jakąś młodszą i bez dziecka.

*

Gdy mama była w domu, Adek z narzeczoną sypiali w kuchni na słomianym sienniku, gdy wyjeżdżała przenosili się do pokoju, gdzie ja spałem ze Stefką, a oni w łóżku mamy. Wieczorem i rano słychać było trzeszczenie w tamtym końcu pokoju. Narzeczonej Adka sprzątała nam i gotowała, i chodziła w samej, bardzo krótkiej, koszuli, oczywiście gdy nie było mamy. Kiedy siadaliśmy do stołu, Adek cały czas jedną ręką trzymał ją za uda. Właściwie nie byli narzeczonymi. Uważali się za małżeństwo i wszyscy ich tak traktowali, a nie brali ślubu, bo szybciej się dostawało papiery na wyjazd dla pojedynczych osób niż dla całych rodzin.

Ja i Izak ciągle sprzecaliśmy się ze Stefką. Stefek chodził w dużej wojskowej rogatywce, która mu spadała na uszy i oczy, Izak Fryd w szarej bluzie z sześcioramiennym znacznikiem Szomer-Hacair, a ja nosiłem na ramionach kapitańskie pagony Gopina i sprzecaliśmy się o to, kto właściwie wygrał wojnę. Izak i ja byliśmy zawsze po stronie Rosjan, a Stefek po stronie Anglików i Amerykanów.

- Gdyby nie Ameryka - mówił - to by było po Rosji! Ameryka posyłała Rosji amunicję, konserwy, ciepłe ubrania i buty, i wszystkie potrzebne materiały. Co by Rosjanie zrobili bez tego wszystkiego?!

- A co by zrobili Amerykanie razem ze swoimi butami i konserwami, gdyby nie było Rosjan? Kto by się bił? A Rosjanie jako żołnierze byli najlepsi i najodważniejsi!

- Tak jest! - potwierdzał Izak. - Wypijali sto gram spirytusu i szli! Nie patrzyli na nic!

- A potem w każdej bitwie było dwa razy więcej Rosjan zabitych niż Niemców... - odpowiadał Stefek.

- Bo czasem byli trochę za bardzo pijani...

- A za plecami szło NKWD i jak któryś za wolno biegł, to strzelało...

- Nieprawda! NKWD nie musiało ich wcale poganiać. Sami rzucali się z granatami pod czołgi i własnym ciałem na karabiny maszynowe, a lotnicy nie wyskakiwali z palących się samolotów, tylko spadali na Niemców razem z samolotem, żeby ich jak najwięcej zabić!...

- Po co rzucali się ciałem na karabiny maszynowe? Nie lepiej granatami? I po co się rzucali pod czołgi? Na czołgi Amerykanie idą czołgami albo niszczą je z panzerfaustów. A dlaczego nie wyskakiwali z samolotów? Bo jak kto stracił samolot, to NKWD

rozstrzeliwało... Amerykanie mówili do żołnierzy: „My czołg albo samolot robimy w dwadzieścia godzin, a na ciebie musieliśmy czekać dwadzieścia lat, więc nie patrz na samolot tylko siebie ratuj, ażebyś wrócił!”. A u Rosjan zwykły karabin jest ważniejszy niż człowiek...

- Nie sztuka wygrywać jak się ma tyle czołgów i samolotów.

- A posyłać żołnierzy na śmierć tysiącami to sztuka?! Aż Niemcom nie wystarczy amunicji, żeby strzelać...

- To nie wina żołnierzy, że ich posyłano. Pewno, że Niemcy ani Amerykanie by nie poszli. A Rosjanie szli!... Dlatego wygrali!

- Rosja ma zresztą najwięcej ludzi na świecie... - zauważył Izak. - Gdyby Palestyna choć dziesiątą część tego miała...

- Gdyby nie Rosjanie - powiedziałem - to nas by już nie było...

- Głupi jesteś! - odpowiedział Stefek. - Myślisz, że im o ciebie albo o mnie chodziło? Gdyby Niemcy na Rosję nie napadli, to Rosja stałaby sobie i patrzyła, jak Niemcy mordują Żydów, Polaków i kogo tylko chcą, i nawet palcem w bucie by nie kiwnęła!

Tego już ani ja, ani Izak nie mogliśmy znieść i rzucaliśmy się na Stefka z pięściami.

*

Oczekiwanie na papiery się przedłużało i Adek doszedł do wniosku, że i on mógłby parę razy pojechać na Zachód, żeby zarobić. Mama się zgodziła, żeby pojechał zamiast niej, bo niezręcznie jej już było podróżować z Aronem.

Podróż tam i z powrotem miała trwać do tygodnia czasu. Tymczasem tydzień minął, a Adek i Aron nie wracali. Narzeczona Adka zaczęła się bardzo niepokoić. Mama ją uspokajała. Mówiła, że pociągi nieregularnie chodzą, brakuje węgla, wagonów i parowozów, które często się psują i pociąg czasem cały dzień stoi.

Adka narzeczona była jednak coraz bardziej niespokojna. Okazało się, że jest w ciąży. Mama jej mówiła, żeby się przestała martwić, bo to może zaszkodzić dziecku, ale nie pomagało. Przestała jeść, nie mogła spać, nie wychodziła z domu, tylko nasłuchiwała kroków na schodach i za każdym razem, gdy ktoś szedł zdawało jej się, że to Adek idzie. Mama poszła na milicję.

Zatrzymywano w tym czasie pociągi w lesie, przed wjazdem na stację, na zwrotnicach, gdzieś w szczerym polu. Wyciągano z pociągów. Uzbrojeni ludzie przeglądali papiery, walizki i twarze. Komunistów i Żydów ciągnęli na lewą stronę. Mama i Aron jeżdżąc na Zachód posługiwali się swoimi fałszywymi aryjskimi kenkartami z czasu okupacji i nigdy nikomu w drodze nie mówili, że są Żydami.

Adek nie miał takiej kenkarty. Może i był podobny do Żyda, w każdym razie miał z

lekka żydowski akcent. Adek myślał, że ma do czynienia ze zwyczajnymi bandytami. Wyciągnął do nich swój worek. - To jest wszystko, co mam, macie, bierzcie! - Ale im nie o rzeczy chodziło. - Żyd!... - powiedzieli i zastrzelili go, zanim zdążył zrozumieć.

- Czego oni od nas jeszcze chcą?! - zawołała mama. - Jeśli zabijają komunistów, to można zrozumieć, że robią to z politycznych powodów... Ale dlaczego Żydów?

- Trudno odpowiedzieć - odrzekł oficer śledczy. - Przyzwyczaili się, że Żydów się zabija...

Arona nie było w pociągu, którym wracał Adek, został na Zachodzie. Przyszła od niego kartka z Austrii. Pisał, że Austria to piękny kraj, że bardzo mu się tam podoba i że prawdopodobnie się wkrótce ożeni. Była Adka narzeczona i Stefek przyłączyli się do kibucu jadącego do Palestyny.

- Pamiętaj, nie rozpaczaj - powiedziała do niej mama. - Rozpacz nic nie pomoże, możesz tylko stracić dziecko, które w sobie nosisz, a tego dziecka nie wolno ci stracić! Myśl tylko o tym. Jesteś kobietą, a to jest twój najważniejszy obowiązek. Ważniejszy niż dla innych kobiet...

Po jakimś czasie nadszedł list z Cypru. Okazało się, że i austriackie małżeństwo Arona również krótko trwało. Stefek i jego siostra spotkali się z nim na Cyprze w angielskim obozie dla Żydów, którzy usiłowali nielegalnie dostać się do Palestyny. Z następnego listu dowiedzieliśmy się, że Aron ożenił się z byłą narzeczoną Adka i został ojcem jego syna.

*

Uszer przyszedł do nas pod koniec lata. Mamy nie było w domu. Ja leżałem w łóżku na wietrzną ospę i cały byłem w strupach. Uszer miał na sobie amerykańską wojskową bluzę i angielskie krótkie spodnie do kolan. Miał niemiecki wojskowy plecak obszywany końską skórą, spuchnięte nogi i obrzękłą twarz.

- Ty mnie nie możesz pamiętać - powiedział - ale ja znam dobrze twoją mamę. I twojego dziadka z Dobrego dobrze znałem. Całą rodzinę. Wiem, że oni nie żyją. Byłem w Dobrem. Tam nikogo nie ma... Kiedy twoja mamusia wyszła za męża, to mnie już w Dobrem nie było, dlatego nie możesz mnie pamiętać. Mieszkałem w Warszawie. Na Złotej. Moja starsza córka byłaby teraz prawie taka jak ty. Tam też nikogo nie ma. Brat twojego dziadka z Nowej Wsi też mieszkał w Warszawie na Złotej. Znałem go, handlował krowami. Jeździł aż do Holandii. W trzydziestym dziewiątym roku dostał paszport do Argentyny, był bogaty, mógł sobie na to pozwolić. Chciał, żebyście wszyscy wyjechali. Dlaczego nie wyjechaliście?

- Nie wiem.

- Tak, kto mógł wtedy wiedzieć?... Zdaje się, że miałeś siostrę albo brata?

- Miałem brata. Był bardzo mały...
- Co się z nim stało?
- Kiedy uciekaliśmy, mama go zostawiła u ludzi, ale ktoś oskarżył i Niemcy go znaleźli.
- Ciekawe, czy twoja mamusia się bardzo zmieniła...
- Jest teraz blondynką.
- Blondynką?...
- Tak, ma utlenione włosy.
- Wasz adres dostałem w Mińsku od Słonia. Dowiedziałem się, że mój brat Nusen żyje, ale nikt nie znał jego adresu, dostałem tylko wasz... Ty to czytasz? - zapytał biorąc do ręki książkę, która leżała na mojej kołdrze - Konrad Wallenrod?... Adam Mickiewicz... Mój Boże, jak to dawno było!... Ile ty masz właściwie lat?
- Dziewięć.
- I rozumiesz wszystko, co w tej książce jest napisane?
- Rozumiem. To jest o tym, jak wśród Krzyżaków wychowywał się chłopiec, który myślał, że jak dorośnie to też będzie Krzyżakiem, takim samym jak inni, ale jeszcze nim dorósł, dowiedział się, że był Litwinem. Dowiedział się też o wszystkim, co Krzyżacy zrobili z jego ojcem, braćmi, wujkami i całą litewską wsią...
- A co to jest? - zapytał biorąc album z rysunkami.
- To są rysunki z Treblinki... Te nagie kobiety z wyciągniętymi do góry rękami umierają, a te nici, które im opadają na głowy i owijają się dookoła ich szyj, to gaz... A skąd pan właściwie przyjechał? - zapytałem patrząc na jego spuchnięte nogi.
- Z Austrii...
- To podobno piękny kraj?
- Tak, aleja przyjechałem z Mauthausen...

*

Uszer zamieszkał u Nusenów, razem z Frydami i Majnemerami, i zaczął im pomagać w prowadzeniu interesów. Uszer im się bardzo przydawał, bo znał się na buchalterii i urzędowych papierach. Był najbardziej wykształcony i najzdolniejszy z całej rodziny. Gdy miał czternaście lat, jego ojciec, który był szewcem, posyłał go do Warszawy po zamówienia i skórę. Uszer czytał książki. Jego ojciec nie podejrzewał, że z Warszawy razem ze skórą Uszer przywoził komunistyczne broszury.

Prosto z wojska Uszer trafił do politycznego więzienia, gdzie przez cztery lata uzupełniał swe wykształcenie, nie tylko z ekonomii politycznej i zasad rewolucji, ale też z

zakresu historii ogólnej, geografii, a nawet matematyki. W więzieniu byli bowiem nauczyciele i profesorowie, o jakich na wolności Uszer nie mógł nawet marzyć. „Panowie, na lekcję francuskiego!”, wołał strażnik pukając w drzwi celi, bo uczyli się również języków. Mieli wszystkie książki, które na wolności były zakazane albo za drogie. Mieli własny samorząd partyjny i partyjną dyscyplinę. Paczki, które dostawali od organizacji pomagających więźniom politycznym, sprawiedliwie dzielono pomiędzy wszystkich. Dzielono również prywatne paczki z domu. Panowała prawdziwa równość i sprawiedliwość.

A przy tym ani śladu antysemityzmu. Przeciwnie, więźniowie Polacy byli szczególnie serdeczni dla swoich towarzyszy Żydów. Nie tylko dlatego, że zarówno w partii, jak i w więzieniach więcej było Żydów niż Polaków. Z samych założeń wynikało, że gdy w Polsce komuniści obejmą władzę, to położą kres antysemityzmowi i wszystkim żydowskim cierpieniom. Żydowski robotnicy i inteligenci, wyjaśniano, będą uczestniczyć w politycznym i gospodarczym życiu społeczeństwa i na równi z wszystkimi korzystać z dobrodziejstw nauki i kultury. Antysemityzm i rasizm uważane były za koszmary, które leżą w naturze nękanego sprzecznościami, agresywnego społeczeństwa kapitalistycznego, w którym rządzi prawo dżungli. Naukowy marksizm, który jest podstawą komunizmu, udowadniał w sposób dostępny dla wszystkich i genialnie prosty, że sprzeczności owe znikną, gdy uspołeczni się środki produkcji i zniesie podział na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Nie będzie wtedy walki o byt i znikną prześladowania. Nie będą one bowiem leżały w niczyim interesie. Ludzi będzie się oceniać według ich przydatności społecznej, a nie pochodzenia, a skrupowane dotychczas kapitalistycznymi zasadami zysku siły produkcyjne zostaną wyzwolone i wyprodukują tyle dóbr, że przy sprawiedliwym podziale starczy ich w zupełności dla wszystkich. Znikną również zatargi pomiędzy narodami. Jak mogą istnieć zatargi pomiędzy krajami, w których panuje komunizm? Nie będzie więcej zjawiska wyzyskiwania jednych narodów przez drugie ani narzucania woli jednego państwa drugiemu. A zatem nie będzie więcej, jakże typowych dla świata kapitalistycznego, wojen, które w warunkach, gdy nie istnieją sprzeczności interesów, byłyby przecież czystym nonsensem. Mało tego, w warunkach komunizmu państwa w ogóle przestaną istnieć. Podobnie i narody. Nie będą one już po prostu potrzebne. Czy to nie jasne? Czyż nie jest genialnie proste?

Tak, to było proste. Zarówno dla żydowskich szewców i krawców, jak i dla doktorów i profesorów. Komunizm był najlepszym wyjściem dla Żydów, jeśli nie w ogóle jedynym. Był ich najlepszym schronieniem. Traktowano ich jak równych i pełnowartościowych. Mogli się rozwijać, poświęcać się, wykazywać swoje zdolności.

Wtedy właśnie komuniści Polacy - za których żadna Polka nie chciała wyjść za mąż -

zaczęli się żenić ze swoimi żydowskimi towarzyszkami, dając przy tej okazji dowód świadomości ideologicznej pozbawionej burżuazyjnych przesądów. Lecz raczej nie słyszało się, żeby jakaś Polka wyszła za Żyda-komunistę. Przede wszystkim bardzo mało było komunistek wśród Polek. Polka im była biedniejsza, tym częściej chodziła do kościoła, a te bogatsze nie musiały posuwać się aż tak daleko, żeby wychodzić za kogoś, kto był nie tylko Żydem, ale i komunistą. Jeśli już bardzo chciały komukolwiek dokuczyć - wystarczyło im jedno lub drugie. Za Żydów-komunistów zaczęły Polki wychodzić po wojnie.

Po wyjściu z więzienia Uszer jako komunista-kryminalista nie miał po co wracać do Dobrego. Chodził po Warszawie bez stałego zajęcia i nie tylko żadna Polka, ale i żadna Żydówka nie kwapiła się wyjść za niego za mąż. W końcu jeden z krewnych, którzy obawiali się, żeby Uszer nie doszedł do czegoś gorszego i nie przyniósł jeszcze większego wstydu rodzinie, przyjął go na subiekta do sklepu. Uszer okazał się bardzo sumienny, pracowity i zdolny. Udzielono mu kredytu, ożeniono, założył sobie nieduży sklepik spożywczy na Złotej. Był oszczędny, nie pił, nie palił i nie najgorzej zaczęło mu się powodzić. Bardzo przy tym zwątpił w politykę, kiedy jego profesorowie z Wronek, którzy wyjechali do Rosji wymienieni za Polaków trzymany w rosyjskich więzieniach, zostali w Moskwie rozstrzelani jako „zdrajcy” i „prowokatorzy”, gdy w tym samym czasie komunistyczna Rosja podpisywała pakt z hitlerowcami.

W getcie Uszer należał do podziemnej organizacji, która wykorzystywała jego dawne kontakty z komunistami, gdy chodziło o dostarczenie broni. Ciężkie pieniądze płacono za najgorszy, zardzewiały pistolet i zepsuty zapalnik do granatu. „Partia potrzebuje pieniędzy”, mówili. Trzeba było jeszcze dziękować i za to, bo potrafili wziąć pieniądze i nie przysłać nic, i co można im było zrobić? Byli to przecież ludzie, którym zawsze przyświecał tylko tak zwany wyższy cel oraz zasada, że zmierzając do tego celu nie potrzeba liczyć się z niczym. Dlatego gdy stwierdzili, że nie ich ludzie kierują bojową organizacją w getcie, wzięli pieniądze, lecz nie przysłali broni.

Uszer miał ukryty w getcie zapas mąki, kaszy, fasoli, więc jego dzieci nie umarły z głodu. Zanim go wywieziono na jesieni czterdziestego drugiego roku, zdążył starsze dziecko wraz z odpowiednią sumą pieniędzy przekazać na aryjską stronę. Młodsze, jeszcze przy piersi, pojechało do Treblinki wraz z matką.

Kobiety i dzieci w Treblinie poszły na lewą stronę. Także wszyscy starsi i chorzy. Z pozostałych Niemcy zaczęli wybierać fachowców-metalowców. Uszer zgłosił się jako tokarz. I okazało się, że dobrze zrobił, bo w końcu tylko tokarze, ślusarze i blacharze znaleźli się po prawej stronie.

Oczywiście, każdy mógł od razu poznać, że Uszer nigdy nie był tokarzem, ale Uszer był pojętny i bardzo się starał. Majster, Niemiec, umiał to ocenić i udzielał mu zbawiennych wskazówek.

Uszer kradł worki po cemencie. W dniu worka robił otwór na głowę, w dwa otwory z boku wkładał ramiona. Taka kamizelka, ukryta pod pasiakiem, chroniła go od wiatru. Gdy zaczęły puchnąć mu nogi, nacierał je olejem maszynowym i owijał pasmami udartymi z koca. W polu albo na drodze patrzył uważnie pod nogi i nigdy nie przeoczył ogryzka jabłka, marchwi, buraka. Jeśli SS-man dostrzegł, zakrywał głowę rękami, zwał się na kolana, ociekał krwią, ale tego co schwycił, nigdy mu nikt nie odebrał. I nigdy nie bał się schylić po następny ogryzek. Zbierał również niedopałki papierosów. Nie po to, żeby palić. Sprzedawał. Za łyżkę zupy lub kawałek chleba. „Jeśli Hitler was nie wykończy, to my sami was wykończymy!”, wołali antysemita, bezsilni wobec Uszera i innych Żydów, którzy nie palili.

Podczas ostatniej zimy olej już nie pomagał. Na opuchliznie pokazały się wrzody. Kapo podchodził co rano do pryczy Uszera i czekał - czy Uszer wstanie, czy nie? Jeśli ktoś nie mógł wstać albo nawet jeśli wstał, ale nie mógł się dowlec na apel, kapo brał go pod pachy i ciągnął do beczki z wodą, gdzie człowieka zanurzało się, żeby sprawdzić, czy nadaje się jeszcze do życia, czy nie? Zanurzało się razem z głową, SS-man przytrzymywał pod wodą. Zawsze o chwilę za długo.

Najtrudniej było przetrzymać *entlausung*. Ubrania szły do dezynfekcji, do gazu, a oni musieli nadzy stać na placu, na mrozie, i czekać. Wielu zostawało wtedy na placu. Uszer upadł podczas ostatniego *entlausung*. Gdy pozwolono im wrócić do baraków, kapo go chwycił pod pachy, ale nie zaciągnął do beczki z zimną wodą ani w żadne tego rodzaju miejsce, tylko do baraku. Tam na oczach wszystkich okrył go kocem, a potem przyniósł mu miskę z gorącą zupą i powiedział: „Masz, Żydzie, jedz! Tylko pamiętaj, że to ja ci przyniosłem tę zupę...”.

- Czy ja mogłem marzyć o tym, że będę jeszcze jadł przy takim stole... - mówił Uszer przy niedzielnym śniadaniu, na które mama podała śledzia w oleju, twarożek z rzodkiewką i ze śmietaną, jajka smażone z cebulą, własnego wypieku chałę, szarlotkę i sernik.

Na ślubie Uszera i mamy kantor sam zmówił Kadsiz, bo Uszer tych rzeczy nie umiał - powiedział tylko „Amen!”. Stałem pod baldachimem pomiędzy nimi, między Uszerem a mamą, podczas gdy wszyscy płakali, jakby nie ślub się odbywał, lecz pogrzeb. Bo tak właściwie to traktowano, gdy stawali pod baldachimem wdowcy i wdowy, którym nie dane było wyprawić pogrzebu tym, z którymi przedtem - niektórzy bardzo niedawno - stawali pod baldachimami. Ludzie, patrząc na uroczystość, z przerażeniem myśleli o tym, jak szybko

wszystko może się zmienić. I do jakiego stopnia? O tym, że zaczynają jeszcze raz wszystko od nowa - i znowu ogarniał ich strach.

*

Płacz słyszeć było przy każdej okazji. Wszędzie, gdzie zebrali się Żydzi. A im więcej ich się zebrało, tym większy był płacz. Chodziliśmy z Uszerem co niedzielę na poranne koncerty, gdzie nieliczni żydowscy artyści - częściej amatorzy - śpiewali przedwojenne żydowskie piosenki i wszystko jedno, czy były to smutne piosenki czy wesołe - zawsze na sali był płacz.

Jednakże na żadnym z niedzielnych koncertów nie doszło do tego, co działo się, gdy pewnej niedzieli zamiast koncertu wyświetlano odnaleziony przedwojenny, żydowski film „Miasteczko Belz”. Trudno powiedzieć, ilu było wtedy wszystkich Żydów w Łodzi. Siedmiuset siedemdziesięciu pozostało przy życiu w getcie. Może kilkuset wróciło z koncentracyjnych obozów. Kilkuset przyszło z polsko-rosyjskim wojskiem. Było też parę tysięcy Żydów ocalałych z innych miast i miasteczek, jak my. I wszyscy chcieli się dostać na salę, w której nie mieściło się więcej niż pięćset osób. Drzwi połamano. Wszystkie lustra, balustrady i szyby. Bilety po czarnorynkowych cenach, które przedtem wrywano sobie z rąk, nie miały żadnej wartości, bo nikt nie był w stanie ich sprawdzać. Tłum napierał ze wszystkich stron i wszystkimi możliwymi wejściami. Mama nie dostała się nawet do hallu. Mnie Uszer popychał przed sobą. W hallu zrobił się taki ścisk, że nie mogłem oddychać. Zacząłem krzyczeć: wypuście mnie, bo się uduszę! Również kobiety zaczęły krzyczeć. Ale nikt nic nie mógł poradzić, bo nie można było się cofnąć. Kobiety, które zemdlały, usiłowano wynieść podając je sobie ponad głowami. Uszerowi udało się i mnie podnieść do góry, posadził mnie sobie na karku i w ten sposób dostaliśmy się na salę, gdzie po trzy i cztery osoby zajmowały każde krzesło. Wypełniono całą przestrzeń pod ścianami i pomiędzy rzędami. Było tak mało powietrza, jakby i nad naszymi głowami unosił się jakiś niewidzialny tłum. Lampy pogasły i na chwilę zapanowała zupełna cisza. Lecz gdy z ekranu rozległa się nagle znana melodia: „Belz, kochany mój Belz, maleńka miescina, gdzie moja rodzina...”, ze wszystkich ust wyrwał się straszny krzyk. Nie płacz, nie zawodzenie, tylko wielki zbiorowy jęk i krzyk bólu. Jakby jakaś zbiorowa egzekucja miała miejsce na sali. Nie było słyszeć żadnych słów, żadnej melodii. Nawet nie było widać ekranu, bo wszyscy powstali z miejsc, wspinali się, żeby widzieć. A jednocześnie twarze mieli w dłoniach i oczy zasłonięte rękami. Trwało to do samego końca seansu.

*

Ani Nusenowie, Frydowie i Majnemerowie, ani Uszer i mama nie chowali w

siennikach utargowanych na rynku pieniędzy i nie wpłacali ich do żadnego banku. Kupowali za nie dolary, które odkładali na paszporty, bilety i wizy.

Nie chcieli pozostać w Polsce. Nie chcieli rozpoznawać wciąż śladów zmarłych i wciąż mieć przed oczami wspomnienie tego, co przeżyli. Poza tym nie mieli odwagi. Kto im może dać gwarancję, że po jakimś czasie to się nie powtórzy. Jeśli coś takiego mogło zdarzyć się raz, to tym bardziej może się zdarzyć i drugi raz. Bo jeśli się raz pokaże drogę - to każdy głupi potrafi powtórzyć. Tego się najbardziej bali.

Dolary były drogie, tysiąc złotych za dolara, a paszporty i wizy niezupełnie legalne, więc trzeba było dobrze zapłacić. A wydatki w czasie podróży? A trzeba też było mieć trochę pieniędzy na to, żeby mieć za co żyć, przynajmniej przez jakiś czas, w dalekich, obcych krajach, gdzie nikogo nie znaliśmy i nikt nas nie znał i, być może, wcale nie potrzebował. Ludzie się bardzo bali. Dlatego starali się zebrać jak najwięcej pieniędzy i kupić możliwie jak najwięcej dolarów.

Za lepszy towar z fabryki też trzeba było zapłacić w dolarach, bo właścicielom samodzielnych warsztatów dolary były również potrzebne. Ale to się opłacało, bo za dolary dostawało się towar, który można było szybciej sprzedać i lepiej zarobić, a za uzyskane pieniądze kupić jeszcze więcej dolarów. Najłatwiej było ludziom, którzy mieli jakiś prawdziwy majątek po nieżyjących krewnych. Sprzedawali i wyjeżdżali. Zwłaszcza w dużych miastach, gdzie nikt nie bał się pójść i odebrać swoją własność. Wyjeżdżali również ludzie, którzy ani nic nie mieli, ani nie widzieli żadnych szans, żeby mogli zarobić. Ci zakładali plecak i wędrowali przez Czechosłowację, Niemcy i Austrię. Woleli z dwojga złego biedować tam niżli tu. Więc najdłużej zostawali tacy ludzie jak my, Nusenowie, Majnemerowie, Frydowie. A tymczasem pieniądze zaczęły tracić wartość. Dolary drożały, a cen na towary nie wolno było podnosić. Zaczęły się inspekcje, a za inspekcjami zwyczajne szantaże. Trudno było nawet dostrzec różnicę pomiędzy jednym a drugim.

Pewnego dnia pojechaliśmy z rynku na obiad do Nusenów. Po jedzeniu jak zwykle wysypano pieniądze na stół. Nagle rozległ się dzwonek. Grałem z Izakiem w kuchni w warcaby. Gdy usłyszałem dzwonek, pobiegłem i otworzyłem. W drzwiach stali dwaj panowie w gabardynowych płaszczach.

- Czy tatuś i mamusia w domu?

- Wszyscy są w domu - powiedziałem. - Proszę, panowie wejdą!

Nic się nikomu nie stało, wzięli pieniądze i poszli. Tylko ja dostałem od Nusena po twarzy. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim oni właściwie byli. W każdym razie wzięli więcej, niż było na stole i czas naszego wyjazdu znacznie się przez to oddalił. Ponieważ Belcia i

Frydowa były w ciąży, zaczęto się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby, żeby urodziły tutaj, na miejscu, gdzie przynajmniej wiedziało się, że się ma dach nad głową i co jeść. Potem, nieoczekiwanie dla wszystkich, okazało się, że w ciąży jest również Nusenowa, która była starsza od swojego męża i miała już czterdzieści sześć lat.

*

Mama nie była w ciąży, ale Uszer uprzedził wszystkich, że nie wyjedzie dopóki nie uczyni wszystkiego, żeby odnaleźć dziecko, które w swoim czasie oddał pewnej kobiecie po aryjskiej stronie.

Kobietę tę Uszer w końcu odszukał, ale dziecka u niej nie było. Powiedziała, że oddała dziewczynkę do sierocińca do sióstr. Uszer zażądał, żeby pojechała z nim do tego sierocińca. Jednakże w klasztorze, do którego pojechali, dziewczynki nie było, a zakonnice twierdziły, że w ogóle nigdy żadnego żydowskiego dziecka nie miały.

- Jak to, nie? - sprzeczała się kobieta. - Przecież sama ją tutaj oddałam! Może ją gdzieś przeniesiono...

Zakonnice skierowały ich do drugiego klasztoru, gdzie podobno było jakieś żydowskie dziecko, ale kobieta nie chciała jechać, miała dużo roboty w domu. Uszer zobowiązał się, że ten stracony czas jej wynagrodzi. A gdy nadal nie chciała, zagroził, że wdroży przeciw niej dochodzenie. Kobieta zgodziła się i pojechała.

Ale dziewczynka w drugim klasztorze była zupełnie niepodobna do córki Uszera. Była starsza i miała zupełnie inne włosy.

- Włosy się u dzieci zmieniają - perswadowała kobieta, której Uszer powierzył swoje dziecko.

- Ale jest przecież starsza... - oponował Uszer.

- A skąd wiadomo, że starsza? Przecież metryki nie ma! Zapisywało się, jak kto chciał, jednemu rok więcej, drugiemu rok mniej...

Uszer uparł się jednak, żeby pojechać do jeszcze jednego klasztoru.

- Sam pan nie wie, czego pan chce! Kto to widział, żeby tak przebierać w dzieciach?...

W trzecim sierocińcu pokazano Uszerowi dziewczynkę, która była we właściwym wieku i miała podobne włosy, a zakonnica twierdziła, że było to żydowskie dziecko z Warszawy. Kobieta towarzysząca Uszerowi była tym razem absolutnie pewna, że Uszer odnalazł córkę.

- Miał pan rację, że się pan uparł tutaj przyjechać! Opatrzność boska i przeznaczenie! Serce podpowiedziało!... Przecież wystarczy rzut oka, jaka do pana podobna!

- Czy poznasz mnie? - zapytał Uszer.

- Nie - odpowiedziała dziewczynka.

- A pamiętasz swoją mamusię?

- Nie, nie pamiętam.

Uszer dotknął jej włosów.

- Nie pamiętasz, jakie mamusia miała włosy? Czy była blondynka czy czarna?

Powiedz!...

- Nie wiem.

- A nie pamiętasz, czy miałaś siostrzyczkę? Maleńką, o wiele mniejszą od ciebie...

- Nie pamiętam... - powiedziała dziewczynka spuszcżając nisko głowę.

- Włosy ma zupełnie takie, jak miała moja żona... - powiedział Uszer. Otworzył torbę z ciastkami i cukierkami. - Czy chciałabyś stąd ze mną wyjechać?

- Tak - odpowiedziała dziewczynka. Była blada i miała duży, wysunięty brzuch. W sierocińcu jadła trzy razy dziennie zupę.

*

Frymka się za głowę złapała, kiedy Uszer przywiózł dziewczynkę.

- Coś ty zrobił?! - zawołała. - To nie twoje dziecko! Nie masz oczu? Nie widzisz?!... Ja pamiętam, jak twoja córka wyglądała, co tydzień byłam w Warszawie! Nie jest podobna ani do ciebie, ani do Fejgi! Oddaj ją tam, skąd wzięłaś! Mało ci jedno cudze dziecko? Potrzebne ci jeszcze drugie?... - Frymka zawsze była przeciwna małżeństwu Uszera z mamą. - Jedź z powrotem i oddaj! Przecież ona nawet nie wygląda na żydowskie dziecko! Wystarczy popatrzeć na to zagapione spojrzenie...

- To jej szczęście, że nie wygląda - powiedział Uszer. - Inaczej by jej nie było... Chcesz z powrotem do sierocińca?

- Nie chcę! - zawołała dziewczynka.

- Ja jej do sierocińca nie oddam! - powiedziała mama.

- Niech sobie będzie, czyja chce. Zostanie z nami.

Uszer kupił dla Ani niemieckie dziecinne łóżko z podnoszonymi po bokach siatkami. Gdy kładli się spać, siadał przy niej na łóżku i prosił, żeby go „pocertowała”. Ania kładła rękę na jego głowie i przebierała palcami jego rzadkie, siwiejące już włosy.

- Widzicie! - wołał Uszer. - Ona wie, co to znaczy „pocertować”! Ona pamięta!... To jest moja prawdziwa córka, niczyja tylko moja!...

Mama, która zawsze chciała mieć córkę, szyła dla Ani sukienki ze swoich starych rzeczy. Zaplatała jej codziennie warkocze i wpinała coraz to inne kokardy we włosy. Ja się również cieszyłem, bo także chciałem mieć siostrę. Izak i inni chłopcy mi zazdrościli. Nikt z

żydowskich dzieci, z którymi bawiliśmy się, nie miał siostry ni brata.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. Uszer był wtedy na rynku z Nusenami, Frydami i Majnemerami, słuchawkę podniosła mama.

- Czy państwo odebrali dziewczynkę z sierocińca?

- Tak - odpowiedziała mama.

- Czy można państwa odwiedzić?

- A kto mówi? - spytała mama.

- My również poszukujemy dziecka.

- Ale po co mieliby państwo przychodzić w tej sprawie do nas?

- Chcielibyśmy zobaczyć dziewczynkę.

- Ale po co?

- Tak po prostu... tylko zobaczyć.

- To niemożliwe...

- Dlaczego?

- Bo jej nie ma w domu.

- Przyjdziemy wtedy, gdy będzie.

- Jej tu w ogóle nie ma...

- Jak to? A gdzie jest? Przecież pani mąż zabrał ją z sierocińca!

- Tak, ale wysłaliśmy ją...

- Dokąd?... W sierocińcu jej nie ma!

- Wysłaliśmy ją w góry...

- Dokąd w góry?

- Nie pamiętam, nie wiem...

- Jak to pani nie wie? A kto wie?

- Mąż wie.

- Czy można mówić z mężem?

- Nie ma go w domu.

- A kiedy będzie?

- Nie wiem. Proszę mnie nie wypytywać! Ja w ogóle nie wiem, z kim mam do czynienia! - powiedziała mama i rzuciła słuchawkę.

Uszerowi mama nic nie powiedziała. Gdy dzwonił telefon, pierwsza podbiegała i odpowiadała, „pomyłka”. W końcu telefon się nie wiadomo czemu popsuł i przestał dzwonić, a mama tymczasem wystarała się w Komitecie Żydowskim, żeby mnie i Anię, jako dzieci wątłe na skutek niedożywienia w czasie wojny i o zagrożonym zdrowiu, wysłać z

zadymionego, cuchnącego miasta. Skierowano nas do Domu Dziecka w Helenówku, pod Łodzią. Dom ten jeszcze przed wojną wybudował dla żydowskich dzieci Chaim Rumkowski, późniejszy prezes łódzkiego getta. Gdy myśmy byli w Helenówku, mama starała się o papiery dla nas wszystkich na wyjazd.

*

Dom Dziecka utrzymywany był przez Joint i mieliśmy tam lepiej niż u Uszera i mamy. Dostawaliśmy amerykańskie skondensowane mleko, amerykańskie mielone sardynki, amerykańskie jajka w proszku, brzoskwińowe kompoty z puszek i grube bloki amerykańskiej czekolady. Nosiliśmy amerykańskie marynarki w kratkę, koszule w kratkę, czapki w kratkę, skarpetki w kratkę i kolorowe, kraciaste szaliki. Sypialiśmy pod zielonymi kocami z napisem - US, a starsi chłopcy zamykali się w klozecie i palili odurzające amerykańskie papierosy, które dostawali od naszych strażników. Dostawaliśmy amerykańskie zeszyty z szeleszczącego, nieprawdopodobnie białego papieru, przezroczyste piórniki z plastiku i długie, kolorowe ołówki. Amerykańskimi szczoteczkami myliśmy codziennie zęby i mieliśmy amerykańskie piłki do dwóch ogni, stół ping-pongowy i krokiet.

Byliśmy również dobrze strzeżeni. Cały teren otoczony był wysoką siatką z drutu, a przy furcie stała budka strażnika, który miał broń. Po pogromie w Kielcach przy wejściu stało nawet dwóch uzbrojonych strażników, a w nocy starsi chłopcy razem z nimi czuwali.

Wprawdzie ani ja, ani Ania nie rozumieliśmy gier sportowych i zabaw, ale byliśmy bratem i siostrą i tym imponowaliśmy dzieciom. Poza tym co niedzielę odwiedzali nas Uszer i mama. Trzymaliśmy ich mocno za ręce podczas niedzielnych spacerów i pokazywaliśmy wszystkim słodycze, któreśmy od nich dostali. Słodycze nie były lepsze od tych, które wszyscy dostawaliśmy od Jointu, ale nam zazdroszczono. Niewiele dzieci odwiedzano w niedzielę.

Oprócz odwiedzających przyjeżdżali do Helenówka ludzie poszukujący dzieci. Nie zdarzało się jednak, żeby któreś dziecko odzyskało ojca lub matkę. Wielka radość była, gdy ktoś odnalazł wujka, ciotkę lub dalekiego kuzyna. Albo kogoś, kto znał jego rodziców. Wtedy nasza grupka, wybiegających na niedzielne spotkania i spacerujących z ręką w czyjejs dorosłej dłoni, powiększała się o jeszcze jedno dziecko. Dobrze nam było, mnie i Ani, w Helenówku i wszyscy nas lubili. Może tylko kierowniczką, pani Rojtholcowa nas nie lubiła.

Byliśmy pewni, że nikt niepowołany nie dostanie się na nasz teren. Pod tym względem można było na naszych strażnikach polegać. Inaczej jednak miała się sprawa, gdy ktoś chciał uciec. Nie zdarzało się, żeby straż kogoś podczas ucieczki złapała. Rano, gdy budziliśmy się, stwierdzaliśmy, że jedno z łóżek jest starannie zasłane, a naszego kolegi nie

ma. Znaczyło to, że jacyś przybrani krewni namówili go, żeby uciekł. Czasem zasłane były dwa albo trzy łóżka, jeśli chłopcy razem uciekali. Zawsze były zasłane ładnie pod kancik. Należało to do fasonu.

Jeśli dwóch albo trzech chłopców uciekało razem, to znaczyło, że uciekli do kibucu. Pani Rojtholcowa dostawała wtedy białej gorączki. Dzwoniła na milicję, jechała do Komitetu Żydowskiego, do partii. Wszystko na nic, kibuc był już daleko w drodze. A strażnicy rozkładali ręce. Nie mieli pojęcia, jak chłopcy uciekają. Pod płotem, nad płotem, czy po prostu przeciekają przez płot?... Pani Rojtholcowa groziła, że ich wszystkich zwolni, a oni się z tego śmieli. Byli to samotni ludzie, którzy nie mieli rodziny ani własnego domu. Mieszkali z nami. Dzień i noc czuwali. Nie upijali się i byli nam naprawdę oddani. Skąd pani Rojtholcowa wzięłaby drugich takich?

A przy tym od wielu lat żyli z bronią w ręku i dobrze znali swój zawód. Pan Natek brał udział jeszcze w wojnie domowej w Hiszpanii. Potem nie mogąc wrócić do Polski, pojechał do Rosji i służył w rosyjskim wojsku, z którym przyszedł jako „starszyna”. Pan Danek był w wojsku Andersa. Wrócił z Anglii, żeby szukać rodziny. Pan Gerszon był w partyzantce. Przychodziliśmy do ich budki, a oni nam opowiadali - pan Natek o Hiszpanii, pan Danek o Palestynie i arabskich zwyczajach, a pan Gerszon o grzybach, jagodach oraz innych roślinach nadających się do jedzenia i przyrządzania lekarstw. Tylko o samej wojnie nie opowiadali. Nie chcieli.

- Za dużo trzeba by opowiadać... - mówili.

- A partyzantka? - pytaliśmy pana Gerszona. - Jak wyglądała partyzantka?

- A jak miała wyglądać? - odpowiadał pan Gerszon. - Zwyczajnie! Zimno, głodno i wszy. A do tego jeszcze każdy każdego się boi... Eee, w ogóle to paskudna rzecz!

*

Musieli w końcu trafić do Helenówka i państwo Jarząbkowie, którym mama w Łodzi nie dała okazji do zobaczenia Ani. Przyjechali w powszedni dzień, a nie w niedzielę, gdy mama, Uszer i wszyscy odwiedzający przyjeżdżali. Pani Rojtholcowa zawołała Anię i kazała jej się umyć i przebrać, bo ktoś do niej przyjechał. Chciałem również się przebrać i pójść razem z Anią, bo uważałem, że jeśli ktoś przyjechał do Ani, to przyjechał i do mnie, ale pani Rojtholcowa powiedziała, że tym razem ktoś przyjechał wyłącznie do Ani. Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie. Poczuję się tak, jakbym nie był Ani bratem. Stałem w hallu i patrzyłem na drzwi gabinetu pani Rojtholcowej. Kiedy się otworzyły, Ania wyszła z wysokim panem w okularach i dwiema eleganckimi paniami. Wysoki pan trzymał ją za rękę, w drugiej ręce miała dużą czekoladę. Jedną z pań poprawiała jej kokardę we włosach. Ania

zaczzerwieniła się, kiedy mnie zobaczyła. Zacząłem iść za nimi, ale pani Rojtholcowa spojrzała na mnie surowo i musiałem się zatrzymać.

Uszer i mama poszli natychmiast do adwokata. Jakie dowody ma pan Jarząbek, że to jest jego dziecko? Żadnych, może być tak samo jego jak nasze. Kto po tym wszystkim, co się stało, może mieć jakiegokolwiek dowody? Po tym, co przeżyliśmy, człowiek nie jest nawet pewny, czy sam jest tym, kim był. Straciło się przecież wszystkich i wszystko, całą swoją przeszłość. A teraz, gdy człowiek cudem odzyskał część owej straty, ktoś ma śmiałość przyjść i chcieć mu odebrać? Jak można? Gdzie serce? Gdzie żydowskie serce? Trzeba być barbarzyńcą, żeby móc coś takiego zrobić. Ludzie pomagają sobie, jak mogą. Łączą się. Zakładają rodziny z resztek, które zostały. Z resztek swojego życia. Resztek odwagi... Więc jak tak można? Powiedzmy, że nie ma pewności, czy dziecko jest nasze. Ale myśmy je już pokochali i ono stało się nasze. Czy mało jest innych osieroconych dzieci? Musi być właśnie to?...

- Salomonowy sąd... - powiedział adwokat. - Jeśli sędzia nie będzie miał do końca całkowitej pewności, kto jest prawdziwym ojcem, to sprawę wygramy...

Po pierwszej rozprawie, gdy sąd sprawę odroczył do czasu, aż strony przedstawią bardziej przekonujące dowody, przewaga była zdecydowanie po naszej stronie, chociaż Ania miała pozostać w Helenówku, gdzie obie strony miały ją prawo odwiedzać. Tylko Frymka załamywała ręce. - Nie mówiłam, że będzie nieszczęście! - wołała.

Ale na drugą rozprawę pan Jarząbek, jego siostra i druga żona - pierwsza żona pana Jarząbka, matka jego dziecka, zginęła w Treblince tak samo jak żona Uszera - przyprowadzili nie tylko kobietę, której pan Jarząbek oddał dziecko na przechowanie, ale również odnaleźli zakonnice, która dziewczynkę od tej kobiety przyjęła. Zakonnica, okazało się, przechowała i przyniosła z sobą prawdziwą metrykę dziewczynki, a na metryce było nazwisko - Jarząbek. Zakonnica zeznała, że poznała kobietę, którą pan Jarząbek przyprowadził jako świadka i że to właśnie od niej przyjęła żydowskie dziecko razem z metryką. Na to, czy poznała samą dziewczynkę, zakonnica nie chciała przysiąc. Natomiast kobieta, której Uszer powierzył swoje dziecko, nie stawiała się wcale.

Uszer zaklinał sędziego i prosił o jeszcze jedną rozprawę. Sędzia wyjaśnił, że Uszerowi tak czy owak przysługuje prawo odwołania się od wyroku i może to przez swojego adwokata uczynić w ciągu najbliższych dni, więc chociaż rozumie motyw Uszera i szczerze mu współczuje, to jednak nie widzi potrzeby ponownego odroczenia sprawy.

Uszer nie był w stanie przedstawić żadnych dodatkowych, poważnych dowodów. Nawet kobieta, która rzekomo oddała jego dziecko do klasztoru, zniknęła i nie można jej było

pod poprzednim adresem odnaleźć. Adwokat powiedział otwarcie, że w tych okolicznościach nie widzi szans na wygranie apelacji. Radził wycofać się, uznać wyrok i zaoszczędzić sobie czasu, pieniędzy, a co najważniejsze - przeżyć.

Uszer nie dał się jednak przekonać. Na rozprawę apelacyjną przyszli Frydowie, Majnemerowie i Nusen z Frymką, która zgłosiła się jako świadek i zeznała z całą stanowczością, że dziewczynkę świetnie pamięta i poznaje jako córkę Uszera. Adwokat w końcowym przemówieniu przedstawił czterdzieści lat życia Uszera. Czterdzieści lat, jak się wyraził, klęski. Wreszcie nie panując nad głosem zawołał: - Wysoki sędzie, oto człowiek, który nie chce dowiedzieć się po raz drugi o śmierci swojego dziecka!...

Sprawa o Anię trwała prawie pół roku. Przez ten czas straciły ważność wszystkie zagraniczne papiery, o które mama się zdążyła wystarać i trzeba było zacząć się starać od nowa.

Wiosną tego roku powróciła z Rosji rodzona siostra Fryda, z mężem, którego w Rosji poznała, i dwojgiem małych dzieci. Wróciła jednym z *eszatonów* wraz z innymi Żydami, którym pozwolono powrócić z Azji Środkowej, Syberii i Autonomicznej Republiki Komi. Byli to Żydzi, którzy w trzydziestym dziewiątym roku uciekli na rosyjską stronę, albo których Rosjanie po zajęciu wschodniej Polski sami zabrali.

Siostra Fryda i inni polscy Żydzi znalazłszy się w Rosji tak się przerazili tego, co tam zobaczyli, że zaczęli żałować, że uciekli przed Niemcami. Widząc to Rosjanie oświadczyli dobrodusznie, że jeśli tak bardzo pragną wracać do domu, to mogą wracać. Niech tylko każdy, kto chce, wpisz się na listę.

Naiwni polscy Żydzi, którzy świetnie umieli sobie radzić w swoich polskich miasteczkach, nie mieli wcale intuicji w sprawach prawdziwej polityki. I co mogą im zrobić Niemcy? - myśleli. Że nie lubią Żydów? A czy Żydzi nie są przyzwyczajeni do tego, że się ich nie lubi? Niemcy krzyczą, grożą i straszą, bo taka jest ich polityka, ale to przecież jest kulturalny naród. Powiedzmy, że nawet będą prześladować i szykanować. Ale kiedy to Żydzi nie byli prześladowani i szykanowani? Raz więcej, raz mniej, ale zawsze. I zawsze sobie radzili. Więc i tym razem jakoś sobie poradzą. Rzecz przecież polega na tym, że dręczyciele przychodzą i odchodzą - a Żydzi pozostają. A co mogą im zrobić kacapi za to, że chcą wracać do domu?... Polecili i się zapisali.

A „kacapi” kazali im przyjść do pociągu. Załadowali, zamknęli wagony. Postawili przy każdym wagonie strażnika i powieźli. Ale nie na zachód tylko na wschód.

- Dokąd nas wieziecie? - pytali Żydzi. - Przecież Polska nie leży na wschodzie tylko na zachodzie?...

- Nie martw się, bracie! - odpowiadali dobrodusznym rosyjskim strażnikom. - Gdyby trzeba było na zachód, to by wzięli na zachód, a jak wiozą na wschód, to znaczy, że trzeba na wschód! Sowiecka władza dobrze zna drogę...

Byli tacy, mówiła siostra Fryda, którzy lepiej znali Sowieców. Ci nie wyrazili chęci powrotu. Przeciwnie, oświadczyli, że najbardziej z wszystkiego w swoim życiu pragną obywatelstwa sowieckiego. Pozostawiono ich w Białymstoku, Mińsku Białoruskim i Wilnie, skąd co „sprytniejsi” przeprowadzili się potem z powrotem przez lasy koło Łomży i Bug.

Zupełnie niepotrzebnie. W niecałe dwa lata później Niemcy przyszli do Wilna i Lwowa i pozostałych zagarnęli sami. Tylko zza Dniepru i południowej Ukrainy część Żydów zdążyła się ewakuować z fabrykami i kołchozami, w których pracowali.

Mąż Rywki, siostry Fryda, nigdy przedtem nie widział piżamy. Rywka mówiła, że gdy się poznali, to się przed nią chwalił, że przed wojną to on był bogaty, bo „u niego był sinij kastium”, czyli granatowy garnitur. Opowiadała, że pewien Rosjanin zaciągnął ją raz na stronę, sprawdził, czy nikt nie podsłuchuje, i zapytał, czy to prawda, że na Zachodzie, czyli w Polsce, można było po prostu wejść do sklepu i kupić sobie buty? I w dodatku takie, jakie się chciało? A jak się chciało, to nawet dwie pary...

- To nie to, że była wojna - mówiła Rywka. - Oni w ogóle innego życia nie znają.

My jednak w gruncie rzeczy zazdrościliśmy Rywce i tamtym naiwnym Żydom, których wywieziono do tajgi, tundry, białych niedźwiedzi. Rąbali puszcę, ryli ziemię, zjadał ich głód, tyfus i wszy, ale jednak wracali. Sto tysięcy wróciło. A po „sprytnych”, którzy przepłynęli z powrotem Bug, i po tych, którzy tutaj zostali - nie było nawet śladu.

*

Również do Helenówka przybyły *eszalony*. Były to całe domy dziecka z Taszkentu i Samarkandy. W świetlicach, korytarzach, nawet na strychach rozstawiono amerykańskie łóżka połowę, na trawnikach rozbito namioty. Nie wszystkich wypuszczano z Rosji, ale dzieci nie zatrzymywano. Ich ojcowie zostali wzięci na wojnę, z której nie wrócili, albo w innych okolicznościach zginęli. Matki, jeśli nie zginęły, jak to określano, „w czasie ewakuacji”, lub od chorób i głodu, to znajdowały się w obozach pracy. Jeśli wracały, oddzielnymi *eszalonami*, zgłaszały się do Helenówka, rozpoznawały swoje dzieci, ale ich nie zabierały. Gdzie mogło ich dzieciom być lepiej niż w Helenówku? Przeciwnie, same pozostawały w Domu Dziecka jako pomoc do kuchni, do sprzątnięcia i prania.

Dzieci, zarówno chłopcy, jak i dziewczynki, przyjeżdżały z Rosji z głowami ogolonymi do skóry, ale i tak natychmiast pojawiły się wszy. W Helenówku było co jeść i gdzie spać, ale za mało było umywalni i wody. Pojawił się świerzbiak i rozbito osobne namioty

dla świerzbowatych. Oprócz świerzbu i wszy pojawiły się również kradzieże.

Kradziono konserwy, mleko skondensowane, kielbasę i czekoladę. Dla nas było to dziwne, bo w Helenówku nigdy nikt nie był głodny. Może w innych domach dziecka i sierocińcach brakowało jedzenia, ale nie w naszym, który był utrzymywany przez Unrrę, Joint i całkiem prywatnych ludzi z Ameryki i Szwajcarii, którym to nie sprawiało wielkiej trudności, bo nas, żydowskich dzieci, było niewspółmiernie mniej niż bogatych Żydów w Szwajcarii i Ameryce.

Chłopcy z Rosji, którzy nie byli głodni w dzień, zjadali kradzione rzeczy w nocy, a czego nie mogli zjeść, chowali w siennikach. Lekceważyli nas, którzy nie umieliśmy lub baliśmy się kraść, i pogardzali nami. Pani Rojtholcowa zmobilizowała wszystkie siły do walki o przywrócenie szacunku dla wspólnej własności - społecznej. Im większe będzie nasze wspólne dobro, tłumaczyła nam na apelach, tym każdy z nas będzie bogatszy. Więc po co kraść? Kradnąc wspólną własność sami się okradamy... Wydawało się to logiczne i proste, a jednak nie trafiało do przekonania.

Bardziej wierzyliśmy pani Marii, wychowawczyni, która przyjechała razem z dziećmi z Rosji. Była chuda, wysoka, miała przygarbione plecy i rzadkie, związane w brzydki wiecheć włosy. Nosiła zawsze tę samą ciemnoszarą sukienkę, w której wyglądała jak zakonnica, i drucziane okulary, które jej niewiele pomagały, bo miała bardzo silnego zezę. Przystawiając książkę raz do lewego oka, raz do prawego, czytała nam na głos *Poemat pedagogiczny* Makarenki. Czytała z rosyjskiego egzemplarza po polsku, co wzbudzało w nas prawdziwy podziw i uznanie. Nie jednostka jest ważna, ale kolektyw, wynikało z tej książki. A najbardziej godne pogardy jest sobkostwo, egoizm i właściwie wszelka własność prywatna.

Z przejęciem słuchaliśmy tej opowieści o zdeprawowanych wojną domową i głodem, bezdomnych rosyjskich dzieciach, które jednak kolektyw i władza sowiecka wychowały na porządnym ludzi. Byliśmy pełni szacunku dla brzydkiej, lecz mądrej i znającej wiele języków pani Marii. Szanowali ją również chłopcy z Rosji, którzy ją lepiej znali i wiedzieli, że ona nie kłamała i że - w przeciwieństwie do innych - naprawdę wierzyła w to, co mówiła.

Nie znaczy to wcale, że ustały wyprawy na magazyn. Co najwyżej, zaczęto kraść również niegodną, prywatną własność, jak zegarki i pieniądze wychowawczyń. A kradło się zespołowo. Jeden lub dwaj chłopcy stali na *szucharie* i w razie niebezpieczeństwa wołali - *Atanda!* W wypadku pogoni najszybszy i najzwinniejszy ujawniał się i pociągał całą pogoń za sobą, aby umożliwić ucieczkę kolegom, którzy byli obładowani „towarem”. Schwytany nigdy nie wydawał zespołu, takie rzeczy u rosyjskich chłopców się nie zdarzały. Za to przechowywano dla niego największą dółę skondensowanego mleka, kielbasy i czekolady.

Nie jednostki więc kradły, lecz kolektyw i walka przez to była nierówna. Nie łatwo było się oprzeć wpływowi pani Marii, ale jeszcze trudniej było oprzeć się kolektywowi. Tym bardziej, że sama pani Maria uczyła nas o jego sile i przemożnej władzy. Toteż w końcu nie tylko chłopcy z Rosji kradli.

Pewnego wieczoru kolega Lowka doniósł, że w oranżerii dojrzały już ogórki i pomidory. Wyjęliśmy inspektową szybę i bezszelestnie spuściliśmy się do środka. Chodząc na czworakach wśród odurzająco pachnących krzewów okrytych szklanym dachem, przez który widać było całe rozgwieżdżone niebo, sapiąc z emocji i zachwytu rwaliśmy na oślep i wpychaliśmy pod koszule wszystko, co znalazło się w zasięgu naszych rąk. Po jakimś czasie staliśmy się tacy ciężcy i grubi, że nie mogliśmy się wydostać przez otwór, którym weszliśmy i część łupu musieliśmy wyrzucić. Byliśmy już na wierzchu. Ja trzymałem szybę i miałem ją położyć na miejsce, gdy szyba nagle zadrżała mi w rękach, wysliznęła się i z wielkim trzaskiem wpadła do środka. *Atandal* zawołał Lowka. Pobiegliśmy za główny budynek i ukryliśmy się w koksowni. Przesiedzieliśmy tam pół godziny jedząc gorzkie ogórki i kwaśne, na wpół dojrzałe pomidory. Potem pojedynczo wybiegliśmy i przez uchylone okna wkradliśmy się do naszych sypialń, w których już dawno pogaszono światła. Na moim łóżku, w ciemności siedziała pani Maria.

- Jak mogłeś to zrobić? - powiedziała. - Ty?... Oni kradną, bo zawsze kradli. Od początku życia. Musieli... Nauczyli się. Teraz nie mogą już się odzwyczaić. Ale ty?! Przecież ty jesteś inny. Więc dlaczego?... Myślałam, że jesteś inny... Wielki zawód sprawiłeś mi... synku...

Tak powiedziała - „synku”. Coś mnie za gardło ścisnęło, kiedy to powiedziała, i nie mogłem wypowiedzieć ani słowa. Nie mogłem nawet się rozplakać. Ten ból w gardle czuję do dziś, gdy o niej myślę. Pani Maria odeszła wkrótce z Domu Dziecka. Zaczęła uczyć studentów na politechnice w Warszawie. Marksizmu i leninizmu, czyli tego, w co wierzyła. Może studenci również wierzyli jej tak jak my. Dlatego nie mogła przeżyć, gdy po kilku latach to, czego uczyła, okazało się w praktyce zwyczajnym kłamstwem, obłudą i cynizmem. Wytknęli jej to studenci. Wróciła w nocy z mitingu i odkręciła gaz. Tylko ona. Ci, którzy byli winni, gazu nie odkręcili.

Po wypadku z kradzieżą mama mnie czym prędzej zabrała z Helenówka do domu.

Również w Łodzi gorzej się działo. Odbierano ludziom nawet zupełnie małe manufaktury. Najmniejsze, pracujące dosłownie na paru krosnach warsztaty dobijano takimi domiarami, że ludzie sami je oddawali. Kto chciał ryzykować, umieszczał krosna w piwnicy albo na strychu. Inni rzucali wszystko i wyjeżdżali. Wyjechała i siostra Fryda, Rywka, której

mężowi przysługiwała niewykorzystywana od blisko trzydziestu lat tak zwana „rosyjska kwota” na wyjazd do Ameryki.

Natomiast Uszer zaczął się wahać.

- Gdzie ja pojedę? - mówił. - I z czym? Czy ja mam jakiś zawód? Prawdziwe wykształcenie? Nie znam nawet tamtego języka. A nie jestem dość młody i zdrowy na to, żeby pójść do pierwszej lepszej fizycznej pracy.

- A z czego tu będziesz żył? - pytała mama. - Tam boisz się, a z czego tu będziesz żył?! Ja już nie mówię o innych rzeczach, ale z czego będziesz żył?

- Mógłbym dostać posadę...

- Z posady chciałbyś żyć?... Popatrz tylko, jak żyją ci na posadach! Chleb ze smalcem, kawa zbożowa i zalewajka... A dzieci chodzą nagie i bose!...

- To się jeszcze poprawi. Nie rozumiesz, że kraj się odbudowuje? Musi potrwać. Potrzeba ludzi! Ludzi, którzy się znają na organizacji produkcji, na ekonomice... Potrzeba ludzi w centralnych zarządach, a nawet w zwyczajnych spółdzielniach. Co myślisz, postawić spółdzielnię dobrze na nogi też trzeba umieć! A przy tym można zarobić. Ja mógłbym taką posadę dostać.

- Lepiej przestań o tym gadać!

- Gdybyś zobaczyła, kto tu teraz robi karierę! Błagierzy bez żadnego pojęcia, nieuki...

- I ty chciałbyś tu zostać, żeby mieć z nimi całe życie do czynienia?...

- Wstępują do partii i dostają takie stanowisko, jakie chcą. Wstępują teraz... Ja wstąpiłem wtedy, kiedy to się wcale nie opłacało... Ja mógłbym nie taką posadę dostać! Gdybym się tylko zgłosił! W Komitecie Centralnym jest Lolek Kasman z Mińska Mazowieckiego. Lolek!... Gdybym tylko do niego zadzwonił! Ja we Wronkach byłem jego najlepszym uczniem...

- Żebyś mi się nawet nie ważył, słyszysz? Ja tutaj nie zostanę! Jak chcesz, to zostań sam! Wezmę dziecko i wyjadę! Ty wiesz, że ja potrafię to zrobić...

- I czego ty się tak boisz? Antysemitów? Antysemitów są wszędzie. Rozumiem, że krew i tyle okropnych wspomnień... Ale czy od tego można gdziekolwiek uciec?...

- Czy ty nie widzisz, czy nie rozumiesz, co tutaj się dzieje?...

- I co się dzieje? Komunizm!... Tego się boisz? Wszyscy Żydzi się tylko tego boją! Nie wspomnień i nie antysemityzmu... Kwestia jest czysto klasowa i w tym cała rzecz!... - Uszer zapalał się, gdy poruszał sprawy z okresu swojej młodości. Nie chodziło mu o zastosowanie tego, o czym mówił. Wystarczało mu, że o tym mówił. Że udowadniał. I że - miał rację. Stawał się znowu młody i to mu wystarczało.

- Zacofani, ciemni Żydzi! - mówił. - Słuchają tylko swojej burżuazji! Nie rozumieją, że tylko komunistyczna władza może im dać prawdziwe równouprawnienie! Mało, przecież tu nawet woli się Żydów... Wszyscy komuniści już mają żydowskie żony i otwartą drogę do kariery! Wszyscy członkowie rządu...

- Przyjdzie czas, że się z nimi rozwiodą. Wystarczy na nich popatrzeć, żeby wiedzieć z kim się ma do czynienia! Czy może być coś gorszego niż Polak-komunista?...

- Nie mów tak, znałem kilku porządnych komunistów Polaków...

- Teraz potrzebują Żydów!... Jak długo będą ich potrzebowali? Rok? Dwa lata? Dziesięć?... A co potem? Jak już nie będą cię potrzebowali? Gdzie pójdziesz? Żeby tylko to! Kogo, myślisz, tu będą bić, jak tylko do czegoś dojdzie? Żydów!... A twoi przyjaciele, którzy cię teraz tak strasznie potrzebują i wszyscy ci, co się teraz najbardziej podlizują Żydom, ci będą pierwsi!... I najgorsi! Zobaczysz, wspomnisz moje słowa!... Niech tylko coś będzie źle! A źle będzie na pewno, wystarczy popatrzeć, co oni już wyprawiają!... Przestań w ogóle na ten temat mówić, słyszysz?

*

Ponieważ towary na rynku stawały się nielegalne, więc i ceny towarów rosły. Z tego powodu również chłopci przywożący żywność więcej żądali, a kiedy ich zaczęto za to karać, przestali przywozić. Tylko przekupnie ryzykowali. Jeździli na wieś, skupowali mięso, drób, nabiał, ziemniaki, ale żądali jeszcze wyższej ceny. To, co się dostawało na kartki, nikomu nie wystarczało, a wypłaty w fabrykach nie rosły. Wybuchł strajk w fabryce Poznańskiego. Natychmiast posłano tam wojsko i UB. Wielu ludzi aresztowano i bito w piwnicach na Anstadta, gdzie za Niemców mieściło się Gestapo. Strajkować wam się zachciało?! - wołali UB-owcy. Przeciwno własnej, robotniczej władzy?! To dopiero bezczelność!... Krzyki bitych słychać było tam każdej nocy. Komitet strajkowy i innych, co się stawiali, wysłano do Rosji i nikt o nich więcej nie słyszał. Aresztowania trwały jeszcze długo po strajku. Aresztowano Gaworczyków, naszych sąsiadów. Ojca wypuścili, ale syn nie wrócił. Po paru tygodniach przyszło orzeczenie lekarskie, że na skutek przeziębienia podczas strajku wywiązało się u niego zapalenie płuc, został wzięty do szpitala i umarł.

Gaworczykowie mieli czterech synów. Najstarszy w trzydziestym dziewiątym roku poszedł na wojnę i zginął. Drugiego Niemcy wywieźli na roboty do Prus i również nie wrócił. Trzeciego aresztowało Gestapo. Trzymali go na Anstadta, a potem na Radogoszczu. Ostatniej nocy przed przyjściem Rosjan Niemcy oblali więzienie na Radogoszczu benzyną i wszystkich więźniów żywcem spalili.

Gdy przyszło zawiadomienie o śmierci ostatniego syna, pan Gaworczyk już nie

poszedł do pracy. Położył się do łóżka i nie wstawał tak długo, aż umarł. Panią Gaworczykową zabrano do zakładu dla umysłowo chorych, bo codziennie przychodziła pod fabrykę z drugim śniadaniem, a w nocy chodziła po schodach i pukała do wszystkich drzwi pytając, czy nie ma tam któregoś z jej synów.

*

Belcia Majnemerówna urodziła syna. Wszyscy się bardzo cieszyli, ale wynikła kwestia, czy obrzezać dziecko czy nie. Uszer, mama i Nusenowie byli stanowczo przeciwko obrzezaniu. Tyle dzieci przez to zginęło. Uszer twierdził, że to w ogóle przesąd. Frydowie nie zabierali głosu, ale nawet bracia Majnemerowie odradzali, a sam Moniek, mąż Belci się wahał. Ku zdziwieniu wszystkich, a zwłaszcza kobiet, Belcia uparła się, żeby obrzezać. Moje dziecko nie będzie się bało tego, że jest Żydem, powiedziała. Wkrótce potem nie mówiąc nikomu Belcia i Moniek wystarli się o papiery do Palestyny i nie czekając na nikogo wyjechali.

Uszer również przestał już mówić o wstąpieniu do partii i pozostaniu w kraju. Mama robiła zakupy, bo mieliśmy dostać z HIAS-u papiery do Wenezueli. Kazała szyć nowe poszwy, prześcieradła, koszule i piżamy, żeby gdy znajdziemy się w Wenezueli, starczyło nam wszystkiego na długo i żebyśmy nie musieli tam niczego kupować. Spodziewaliśmy się wyjechać jeszcze tej samej jesieni. Stało się jednak inaczej.

Z Rosji wrócił Uszera dawny znajomy z Wronek, Rozenberg, i pewnego dnia zjawił się u nas w mieszkaniu. Takie spotkanie trzeba było uczcić. Uszer posłał mnie do sklepu po wódkę, a mama zastawiła stół wszystkim, co tylko miała w domu.

- Ładnie mieszkaasz... - powiedział Rozenberg rozglądając się po mieszkaniu.

W Rosji Rozenberg nie przyznawał się do tego, że przed wojną był w Polsce komunistą. Polscy komuniści byli bowiem bardzo źle widziani przez NKWD. Wielu natychmiast aresztowano. Bito ich i zmuszano, żeby podawali nazwiska znanych im aktywistów, którzy występowali przeciwko sowieckiemu paktowi z Niemcami. Kto wymieniał nazwiska, mógł być zesłany na Północ, a kto odmawiał, tego rozstrzeliwano jako „zdrajcę”, „prowokatora” lub „obcego agenta”. Byli tacy, co milczeli, ale większość nie wytrzymywała bicia i podawali wszystkie nazwiska, jakie tylko znali. Nazwisko Rozenberga też było podobno na liście, ale on w Rosji cały czas używał fałszywego nazwiska i właściwie nawet nieźle mu się powodziło.

- *Charaszo tamu żywiotsa kto s malocznicoj żywiot, małaczka on napjotsa i malocznicu je...* - zaśpiewał Rozenberg. - Dobrze tylko temu, kto z mleczarką żyje, z mleczarką się prześni, mleczka się napije!... Żył tam z pewną mleczarką. Pewnego razu i inne

kobiety chciały się przekonać, do jakiego stopnia Żyd może być obrzezany. Podeszły do niego, jedna ukucnęła za jego plecami, druga, zanim zdążył się zorientować, popchnęła go na nią.

Gdy upadł, usiadły mu na rękach i nogach, a jedna spuściła mu spodnie. Tam kobiety gwałciły dziesięcioletnich chłopców. Mężczyźni szli na wojnę jak w wodę. Nigdy nie wracali. Mleczarka miała szesnastoletnią córkę. Pewnego wieczora wrócił do domu, patrzy, a jego rzeczy są przeniesione do pokoju córki. Zaczekał, aż wróciła mleczarka, pokazał jej i pyta, co to znaczy? Mleczarka woła córkę. Co to ma znaczyć? - pyta. A córka jej na to: *Chwatit, mamasza, tiepier ja!*

Towarzyszy z KC, których obaj pamiętali z Wroniek, przesłuchiowano na Kremlu, opowiadał Rozenberg. Żądano, żeby przyznawali się do zdrady. Przywódcy polskiej partii byli oburzeni. Czy słuszne jest tylko to, co wy uważacie za słuszne? Skąd macie tę pewność? I skąd my mamy ją mieć? Nie jesteście przecież świętymi. Komunizm to racjonalizm, a nie bałwochwalstwo!... Tak odpowiadali. Nawet bicie nie pomagało. Wtedy zaczęto z nimi inaczej. Powiedziano im otwarcie, że oskarżenie wniesione przeciwko nim zostało podane do wiadomości całej klasy robotniczej i cofnięte już być nie może. Partia bowiem nie może sobie pozwolić na przyznawanie się do pomyłek. Wrogowie tylko na to czekają! Tym bardziej nie można pozwolić na istnienie w ruchu komunistycznym różnic, które mogłyby w konsekwencji doprowadzić do rozłamu i przynieść ogromną szkodę sprawie. Jako komuniści powinni to sami zrozumieć. I właśnie o wyrządzenie, lub zmierzanie do wyrządzenia tej szkody - wszystko jedno czy świadome, czy nieświadome - ich, polskich komunistów, się oskarża. Oskarża ich wielka partia bolszewików, która pierwsza pokazała, w jaki sposób należy zdobywać i sprawować władzę i z tego powodu ma nie tylko prawo, ale i obowiązek przewodzenia wszystkim komunistycznym partiom. Jako komuniści - jeżeli są prawdziwymi komunistami - powinni zrozumieć, że niezależnie od osobistych poglądów na takie czy inne sprawy, ich przyznanie się do winy jest jedynym wyjściem z korzyścią dla sprawy. Będzie ono ostrzeżeniem dla innych. Lekarstwem dla wszystkich partii. Dla ich dyscypliny, czujności i siły - ostatnią i, w aktualnej sytuacji, jedyną przysługą, jaką oni, doświadczeni komuniści, są jeszcze w stanie oddać partii, klasie robotniczej, jej sprawie...

- I przyznawali się?...

- Tak, dla dobra sprawy... A kiedy ich rozstrzelowano, wołali: „Niech żyje rewolucja! Niech żyje komunizm! Niech żyje partia!...”.

- Co za bzdura!... - zawołał Uszer. - I co za ohyda! Większej człowiek sobie po prostu nie może wyobrazić!...

- Co ty wiesz? Co ty wiesz o Rosji?... - powiedział Rozenberg wlepiwszy wzrok w kieliszek. - Wyobraź sobie nie trzy lata obozu koncentracyjnego, ale całe życie... W dodatku nikt nie chce, żebyś jak najszybciej umarł, lecz na odwrót, żebyś żył! I to jak najdłużej. Czy to nie gorsze niż Mauthausen?

- Nie - powiedział Uszer. - Co innego życie, nawet najgorsze, a co innego eksterminacja... Dlaczego nie protestują? Dlaczego się nie skarżą?...

- Rosjanin się nie poskarży... Nie znasz rosyjskiej natury.

- Boją się! Albo nie znają innego życia...

- Nie boją się. Rosjanie się niczego nie boją. I dobrze wiedzą, że istnieje inne życie. Po prostu się wstydzą... Nie przyznają się, że im źle. Widzą, że nic nie poradzą. Nie widzą wyjścia. A przecież muszą żyć... Człowiek żyje, jak może. Ta zasada obowiązuje wszędzie, a Rosjanie ją znają najlepiej...

- Co mówili o tym, co Niemcy robili z Żydami?

- W Rosji mówiło się tylko o „zbrodniach wroga na ludności krajów okupowanych”...

- A o wymordowaniu ich własnych Żydów?

O Kijowie, Odessie?...

- Mówiło się, że sowiecki naród cierpi i woła o pomstę na wrogu. Z punktu widzenia internacjonalizmu to przecież wszystko jedno...

- Jeżeli wszystko jedno, to dlaczego nie powiedziec?...

- Trudno na razie zrozumieć. Partia przecież zawsze wie lepiej, co robi...

- Tutaj partia bardzo potrzebuje Żydów. Nie ma się na kim oprzeć... Z drugiej strony, po cichu pomaga się wyjeżdżać do Palestyny. Przeciwno Anglii i żeby wyrobić sobie tam wpływy. Kwestia taktyki!... Młodzi wyjeżdżają. Po tym wszystkim, co zaszło, chcą być - jak mówią - u siebie. Trudno im się dziwić. Nikomu już nie wierzą. Ale co mają robić niemłodzi ludzie, jak my? Po tym piekle jeszcze tam jechać? Mieć do czynienia z Anglikami, z Arabami? A co potem, kamienie gryźć?... Tu po pogromie w Kielcach partia stała się obrońcą Żydów. Ale z drugiej strony, za pogrom nikogo nie ukarano. Tu się też prowadzi mądrą politykę... Najlepiej stąd jednak wyjechać. Oczywiście, jak się ma gdzie...

- Pewno, jak się ma gdzie... I jak się coś umie - powiedział w zamyśleniu Rozenberg.

O tym, że mamy wkrótce wyjechać do Wenezueli, Uszer Rozenbergowi nie powiedział. Takich rzeczy nie mówiło się nawet najlepszemu przyjacielowi.

*

W tydzień później Rozenberg przyszedł do Uszera z propozycją zrobienia interesu.

- Ty się zajmujesz interesami? - zdziwił się Uszer.

- A ty się nie zajmujesz?... - odpowiedział Rozenberg.

Chodziło o całą ciężarówkę stuprocentowej wełny, takiej jakiej nikt już nie miał na sprzedaż. Co tam ciężarówka! Dwie ciężarówki! A jak trzeba będzie to nawet i trzy. A przy tym prawie za bezcen.

- Za ile „za bezcen”? - zapytał Uszer.

- Za ile! Tu nie chodzi o pieniądze...

- Nie chodzi o pieniądze? A o co chodzi?...

- Nie rozumiesz?... Ten człowiek wyjeżdża. Jutro, pojutrze!... Zabiera walizkę i już go nie ma! Musi...

- Czy to legalny interes?

- Legalny, nielegalny!... Co w ogóle jest legalne w tym kraju?... Kradzione nie jest, dostajesz wszystkie papiery na rękę! No jak?

- Musiałbym się poradzić...

- Jak się będziesz długo naradzał, to kto inny weźmie i ani ty, ani ja nie będę nic z tego miał. Możesz mi wierzyć, że do kogo innego bym nie przyszedł, ale ciebie przecież znam nie od dziś...

Uszer, Nusen i Fryd poszli obejrzyć i towar im się bardzo spodobał. Można było raz a dobrze zarobić. Nie biegać już więcej, nie kombinować. Przed wyjazdem taki zarobek spadał im jak z nieba. Trzeba było jednak zapłacić grubym dolarowym banknotem. Już nie dziesiątki, dwudziestki i nawet nie pięćdziesiątki wchodziły w rachubę. Ba, nawet setek nie chciano. Liczyły się tylko pięćsetki, czyli „beczki”.

Towaru było za dwie „beczki”, a mogło być i za trzy. Rozenberg mógł się o to postarać. Beczka kosztowała znacznie więcej niż pięćset dolarów w jakimkolwiek innym banknocie i niełatwo było ją dostać. Ale na jednej „beczce” można było zarobić dwie. A mając w kieszeni tysiąc dolarów, było z czym ruszać w świat. W dodatku ryzyko było niewielkie. Uszer znał Rozenberga sprzed wojny. Siedział z nim razem w więzieniu!

Nusen i Fryd postanowili się dołożyć po „beczce”. Nie wzięli udziału tylko Majnemerowie, którzy mieli papiery do Belgii, byli już spakowani i nie wychodzili więcej na rynek. Czekali, żeby sprzedać dom w Rembertowie, na który mieli już kupca.

Mama pojechała do Pabianic i do Ozorkowa i przywiozła trzy „beczki”. Nusen postarał się o wojskową ciężarówkę, a Fryd załatwił u dozorczy dodatkową piwnicę w podwórzu.

Należność za towar wręczył Rozenbergowi Uszer. Rozenberg z początku nie chciał sam przyjąć pieniędzy. Twierdził, że to i tak nie dla niego, i chciał, żeby Uszer poszedł z nim

i zapłacił właścicielowi towaru. Uszer się jednak na to nie zgodził. Powiedział, że dolary może dać tylko Rozenbergowi i tylko w cztery oczy, bo nikomu więcej nie ufa. Rozenberg musiał się zgodzić.

Przyjechali z towarem na podwórze. Wyładowano w biały dzień, bez skrępowania, tak jakby to była jedna z najzwyczajniejszych dostaw. Szofer i dozorca pomagali. Kiedy ciężarówka obróciła drugi raz i zdejmowano już ostatnie sztuki tkanin, jeszcze jeden samochód zajechał na podwórze. Wysiedli z niego czterej cywile w butach z cholewami.

W tym czasie mama wracała do domu z zakupami na obiad. Weszła na schody i zobaczyła na naszych drzwiach pieczęć Komisji Specjalnej. Siatka z zakupami wypadła jej z rąk. Opanowała się i szybko zawróciła, ale pośliznęła się na rozlanej śmietanie, upadła i rozcięła sobie czoło. Nie wiedząc, że krew cieknie jej po twarzy wbiegła do ludzi, którzy wprowadzili się na miejsce Gaworczyków, z prośbą, żeby pozwolili jej otworzyć drzwi prowadzące do naszego mieszkania, drzwi o których tamci z Komisji Specjalnej widocznie nie wiedzieli.

Sąsiedzi przestraszyli się widząc, jak mama wygląda. O otwarciu drzwi nie chcieli nawet słyszeć.

- Niech państwo wyjdą z domu, ja sama otworzę! - nalegała mama. - W razie czego będzie można powiedzieć, żeście o niczym nie wiedzieli!... Zaklinam, pozwólcie! Zostałam z dzieckiem na ulicy, jeśli tam teraz nie wejdę, nie będziemy mieli z czego żyć ani w co się ubrać... Zaklinam was na wasze własne dzieci!...

Zgodzili się wyjść z mieszkania. Mama odsunęła wielką beczkę, w której sąsiedzi trzymali zapas wody. Beczka była pełna, mama musiała odsunąć ją sama. Nie miała klucza do drzwi, więc wyłamała zamek. Potem z tą samą siłą, której się u siebie nawet nie spodziewała, odepchnęła szafę stojącą po naszej stronie. Odsuwając szafę potknęła się, uderzyła i rozcięła sobie usta. Trzymając się jedną ręką za usta, żeby nie zostawić świeżych śladów krwi, wyjęła z szafy ukryte w bieliźnie pięćdziesiąt dolarów i kupon jedwabiu. Wepchnęła do walizki trochę ubrania i ciepłej bielizny, zarzuciła na plecy swoje przedwojenne palto, które odebrała w Mińsku od Dziurewiczowej, i z powrotem zamknęła szafę. Gdy wychodziła, zobaczyła przez okno, jak Uszera wprowadzają już na podwórze. Przyciągnęła z powrotem szafę, przymknęła za sobą drzwi i zastawiła z drugiej strony tą samą ciężką beczką z wodą.

Uszer, gdy go wprowadzili, poznał, że szafa nie stoi na miejscu i że mama już była w mieszkaniu, i poczuł się o wiele pewniej. O żadnych dolarach nic nie wie i nigdy nie miał. Dowodem tego jest dokonana rewizja, w czasie której nic nie znaleziono.

To samo Uszer powtórzył w śledztwie.

- A to co jest? - powiedział śledczy podsuwając mu pod nos dwie, dobrze Uszerowi znane, „beczki”. - Nie poznajecie?

- Nie - powiedział Uszer patrząc ze zdumieniem na pięćsetdolarówki, z których trzeciej jakoś nie było. - Skąd do mnie taka wielka suma pieniędzy?...

Śledczy dał ręką znak człowiekowi w butach z cholewami stojącemu przy drzwiach, drzwi się otworzyły i wszedł Rozenberg. Był również w butach z cholewami.

*

Adwokat kazał Uszerowi wziąć całą winę na siebie. Uszer towar kupił i Uszer zapłacił. Ale nie żadnymi dolarami, tylko zwyczajnymi, polskimi pieniędzmi, z których część pożyczył od Nusena i Fryda. Nusen i Fryd jako główni właściciele straganu mieli tylko ten towar, za odpowiednią prowizją, sprzedawać. Uszer nie jest ani spekulantem, ani waluciarzem. Kupił legalny towar - Rozenberg, który go do tego kupna namówił, gwarantował legalność towaru - i miał zamiar go legalnie sprzedawać. Sprawa z dolarami to podstęp, oszczerstwo i intryga.

W ten sposób adwokat ratował przede wszystkim Nusena i Fryda i w końcu udało mu się, za kaucją, wyciągnąć ich na wolną stopę do sprawy. Wyrok na Uszera był zdaniem adwokata, nawet przy najlepszej obronie, nieunikniony. Ale miał on nadzieję, że ze względu na okoliczność przedwojennej działalności komunistycznej Uszera, polityczne więzienie i lata przecierpiane w hitlerowskich obozach, wyrok nie będzie wysoki.

Tymczasem jednak mama i ja zostaliśmy bez dachu nad głową. Nocowaliśmy u Nusenów i Frydów.

Majnemerowie wyjechali zaraz po tym, jak Uszer, Nusen i Fryd zostali aresztowani. Nie czekali nawet na sprzedaż owego domu, który odziedziczyli w Rembertowie. W ich pokoju mieszkała jakaś żydowska rodzina, która przyjechała z Rosji. Izaka Frydowa wysłała za granicę z kibucem Szomer-Hacair.

Nie mieszkaliśmy jednak u nich długo. Gdy tylko Nusena i Fryda wypuszczono z aresztu, Frydowa i Nusenowa - obie już z dziećmi na ręku (problemu obrzezania nie było, bo to były dziewczynki) - wzięły po walizeczce i udały się „do wód” do Krynicy. Gdy szczęśliwie przekroczyły granicę, Nusen i Fryd, bez walizek, tylko z teczkami pod pachą, udali się taksówką na dworzec.

Od tamtej pory chodziliśmy spać do sąsiadów i innych dalszych znajomych. Chodziliśmy od jednych do drugich. Na dwie albo trzy noce. Dłużej nie pozostawaliśmy, bo w mieszkaniach i tak było ludziom ciasno i nie mogliśmy się im naprzykrzać. I tak było ładnie z ich strony, że zgadzali się nas przenocować. Nikt, nawet najbardziej niewinny, nie

chciał mieć do czynienia z UB i Komisją Specjalną.

Ludziom, których aresztowała Komisja Specjalna, zapieczętowywano mieszkania, a po sprawie, jeżeli wyrok był skazujący, zabierano je razem z meblami i innymi wartościowymi rzeczami. A nie były to czasy, kiedy można było dać tysiąc złotych żołnierzowi i wprowadzić się do innego mieszkania. Wszystkie mieszkania zostały dawno zajęte. Nawet strychy i sutereny. A nowych domów nie budowano.

Mama jednak nie dawała za wygraną. Biegała do wszystkich możliwych urzędów. Opowiadała o naszych okupacyjnych przeżyciach. Płakała. Ale to już nie pomagało. Urzędnicy rozkładali ręce. W takiej sprawie nie mogli jej pomóc. Radzili, żeby interweniowała w Warszawie.

*

Mama pojechała do Warszawy. W Warszawie nie chciano z nią nawet rozmawiać. Nie wpuszczono jej nawet do budynku.

Była zima i padał śnieg. Mama stała przed gmachem i przyglądała się ludziom, którzy wychodzili. Stała do samego wieczora. W pewnej chwili zajechał samochód i zatrzymał się przed głównym wejściem. Z budynku wyszedł starszy człowiek. Kiedy mama zobaczyła, że człowiek ten wsiada do samochodu, podbiegła i chwyciła się drzwiczek. Był to ten sam człowiek, który nam w swoim czasie, w Łodzi, dał przydział na mieszkanie.

- Towarzyszu Jasiński! - zawołała mama. - Pan mnie nie poznaje? Ja jestem tą kobietą, która przeżyła z dzieckiem na aryjskich papierach!... Niech pan sobie przypomni!... Przyjechałam z Łodzi!

Niech mnie pan ratuje! Nie pamięta pan? Dał mi pan wtedy przydział na mieszkanie... Niech pan sobie przypomni, błagam!...

Szofer zamierzył się, żeby mamę odtrącić od drzwiczek.

- Chwileczkę! - powstrzymał go Jasiński. - Tak, przypominam sobie. A o co chodzi? Co się właściwie stało?

- Nie mam już mojego mieszkania! Zabrali! Jest zima, a oni zostawili mnie z dzieckiem na ulicy...

- Ależ kto to zrobił? Dlaczego?!...

- Nie wiem dlaczego! Przez podłóż, zwyczajną ludzką podłóż!... Błagam, niech mi pan pomoże!... Nie mam przecież nikogo na świecie... Tylko pan może mi pomóc...

- Niech pani nie płacze... Niech pani przyjdzie jutro o dziewiątej. Zobaczymy, co się da zrobić...

Mama była nie o dziewiątej, ale już o ósmej rano. Ale portier znowu nie chciał jej

wpuścić i czekała na ulicy. Tego dnia był silny mróz. Mama nie mogła ustać w miejscu, chodziła tam i z powrotem, żeby się rozgrzać. O dziewiątej znów zapukała.

- Czego pani znów chce? - spytał portier przez zakratowany otwór.

- Przecież panu mówiłam, że jestem umówiona z towarzyszem Jasińskim... - powiedziała mama.

- Towarzysz Jasiński nikogo nie przyjmuje - powiedział portier.

- Ale ja jestem z nim umówiona! Niech pan zapyta, on panu powie...

- Pani mi nie będzie mówić, co ja mam robić! - powiedział portier, opuścił klapkę i odszedł.

Mama nie odchodziła od drzwi. Po godzinie nadszedł listonosz. Portier uchylił klapkę w drzwiach, a widząc, że to listonosz, otworzył. Mama rzuciła się za listonoszem. Portier chwycił ją i usiłował wypchnąć. Mama zaczęła krzyczeć. Na ten hałas otworzyły się drzwi jednego z gabinetów i ukazał się w nich towarzysz Jasiński.

Mama opowiedziała Jasińskiemu całą prawdę. Nie ukrywała nawet o dolarach. Jej mąż, mówiła, padł ofiarą ukartowanej prowokacji. Tym wstrętniejszej, że ze strony dawnego kolegi partyjnego, z którym razem siedział w więzieniu, w jednej celi. Za komunizm. Jej mąż z czterdziestu lat życia, cztery spędził we Wronkach, dwa w warszawskim getcie, trzy w obozie koncentracyjnym. Przeszedł przez selekcję w Treblince, przeżył Mauthausen. Czy to nie dość jak na jednego człowieka? Za co ma znów siedzieć w więzieniu? Teraz, gdy ledwo wrócił do życia. Czy zrobił komuś coś złego? Czy miał jakieś przestępcze zamiary? Został sprowokowany! Przychodzi się do ludzi, namawia do nielegalnych rzeczy, żeby wsadzić ich do więzienia?... To się po prostu człowiekowi w głowie nie mieści. Tego nawet Niemcy nie robili! O co właściwie chodzi? Żeby donosić? Dobrze. To można jeszcze zrozumieć. Takie rzeczy zawsze były. Ale żeby, jak się nie ma co donieść, przyjść i sprowokować? A jak się nie ma kogo, to dawnego przyjaciela? A jego żonę z dzieckiem na ulicę, na mróz? I takiemu człowiekowi daje się za to stanowisko?... Czy w ten sposób teraz się zbiera zasługi? I tacy ludzie będą teraz na stanowiskach? Przecież nikt nie będzie pewny dnia ni godziny! Po co tyle przeżyliśmy? Taką wojnę? Tamten człowiek nie przeżył prawdziwej wojny. Gdyby przeżył to samo co my, nie uczyniłby tego. Ale on tam, gdzie był, nauczył się tylko donosić i prowokować. Komu to potrzebne? I na co? Czy za mało jest prawdziwych przestępstw? Czy za mało ludzi w więzieniach? Czy takich prostych rzeczy nie może zrozumieć sąd?...

- Ja pani wierzę... Takie rzeczy się teraz, niestety, zdarzają - powiedział Jasiński. - Ale czy może uwierzyć sąd?... Sąd wie tylko jedno, przestępstwo zostało popełnione. To bardzo przykra sprawa i trudno na to poradzić. Jedyne jaką mogę uczynić, to postarać się, żeby

wpuszczono panią z powrotem do mieszkania. - Jasiński podniósł słuchawkę i przy mamie zadzwonił do Łodzi.

Mama wsiadła w pociąg i jeszcze przed czwartą była w Komisji Specjalnej w Łodzi.

- Pojechała pani do Warszawy, żeby na nas naskarżyć? - powiedział urzędnik, do którego mama zgłosiła się po klucz.

- Jak będzie trzeba, to jeszcze raz pojadę - odpowiedziała mama.

- No, niech pani uważa, bo może pani kiedyś za daleko zajechać!

- Nie straszcie mnie! Nie takich strasznych już przeżyłam, to i was przeżyję... - odpowiedziała mama. - Oddajcie mi klucz!

Z kluczem kurczowo zaciśniętym w rękę i słaniając się na nogach mama weszła na schody. Zerwała pieczęć i otworzyła drzwi. Przytrzymując się ściany podeszła do łóżka i upadła.

*

Mama przez dwa tygodnie nie wstawała. Miała zapalenie płuc. Ale gdyby nie dostała się wtedy do Jasińskiego, nasze mieszkanie razem z meblami i innymi naszymi rzeczami zostałyby oddane Rozenbergowi. Już była nawet podpisana decyzja w tej sprawie.

Ludzie przynosili nam jedzenie i byli pełni podziwu dla mamy.

- Dokonała pani cudu! - mówili. - Od nich wydostać mieszkanie? To trzeba umieć! Nic dziwnego, że przeżyła pani wojnę...

Mieszkanie odzyskaliśmy, ale z pięćdziesięciu dolarów, które mama zdążyła wtedy wyjąć z szafy, nie zostało już ani grosza. Nie mieliśmy na zapłacenie adwokata, który bronił Uszera, i w ogóle nie mieliśmy za co żyć. Więc zaraz po chorobie mama pojechała do Mińska Mazowieckiego, do notariusza Janczewskiego, który przed wojną mieszkał w Dobrem.

Janczewski wynajął samochód i pojechał z mamą do Dobrego, żeby sprzedać tę ćwierć kamienicy po moim dziadku z Nowej Wsi. Nikomu się w Dobrem nie pokazywali, tylko zajechali przed gospodę, gdzie byli umówieni z kimś, kto chciał tę część kamienicy kupić.

Ponieważ umówiony człowiek długo nie przychodził, zamówili sobie obiad. Nagle do gospody wszedł brudny, nieogolony chłop. Zamówił wódkę, wypił, po czym rozparł się w krześle i patrząc w stronę mamy zaczął się brzydko uśmiechać owym uśmiechem, którym tacy jak on uśmiechają się patrząc na Żydów.

- Powiedźcie jej! - zwrócił się do wszystkich obecnych z wyjątkiem mamy. - Powiedźcie jej, żeby się stąd wynosiła, bo może być krótsza o głowę!...

Mamie łyżka wypadła z rąk. Pan Janczewski wstał, wziął mamę pod rękę i

natychmiast wyprowadził. Nie czekając na nikogo wsiedli do samochodu i odjechali.

- Mało im jeszcze! - powiedział pan Janczewski. - Wszystkiego im mało! Mało się jeszcze obłowili... Niech pani tu więcej nie przyjeżdża! Oni są przecież zdolni do wszystkiego... Niech pani tu więcej nie wraca. Ja panią o to bardzo proszę...

Adwokat bronił Uszera bez pieniędzy. Dostał zaliczkę na poczet obrony Nusena i Fryda, a ponieważ Nusen i Fryd uciekli i nie potrzeba było ich bronić, więc powiedział, że może obejść się bez pieniędzy. Nie zażądał pieniędzy nawet za stawanie do apelacji.

Wyrokiem pierwszej instancji Uszera skazano na pięć lat więzienia z możliwością zamiany na obóz pracy, gdzie w zależności od wydajności pracy każdy dzień mógł być liczony jako półtora. Adwokat złożył apelację i w drugiej instancji uzyskał skrócenie kary do lat czterech z zaliczeniem czasu aresztu.

Mama chciała oddać mnie z powrotem do Helenówka. Zwróciła się do Komitetu Żydowskiego. Ale dostała tylko dwie puszki kakao i trochę zimowej odzieży. Pani Rojtholcowa nie zgodziła się mnie przyjąć. - W naszym domu dziecka nie ma miejsca dla dzieci spekulantów - powiedziała.

W Komitecie byli jednak ludzie, którzy rozumieli sytuację mamy. Skierowali mnie na badanie lekarskie. Miałem szczęście, okazało się, że rzeczywiście zacząłem chorować na płuca i dostałem skierowanie do dziecięcego prewentorium przeciwgruźliczego daleko od Łodzi, w Sudetach.

*

Znów chodziliśmy w amerykańskich ubraniach i jedliśmy amerykańskie witaminy, a ze strychów przynosiliśmy niemieckie sanki, narty i znaczki pocztowe. Całe pudła znaczków z wizerunkiem Hitlera. Znosiliśmy te pudła ze strychu, stawialiśmy na środku pokoju, nabieraliśmy w garści i obrzucaliśmy się nimi, jak gdyby to było confetti. Znów wierzyliśmy, że wygraliśmy wojnę.

Rano budziła nas pielęgniarka dzwoniąc termometrami. Kto nie miał gorączki, przypinał narty i jechał do szkoły. W szkole pytano nas o wyznanie. Kto nie wiedział, co to znaczy, odpowiadał - z prewentorium - i zapisywano mu „mojżeszowe”. Starsi chłopcy protestowali. Mówili - wyznanie żadne! Nauczyciel uśmiechał się. - Nie może być „żadne” - i pisał „mojżeszowe”.

Lubiliśmy naszego nauczyciela, chociaż za nieposłuszeństwo nie żałował nam bicia. Uczyliśmy się, trzecia, czwarta i piąta klasa razem, w jednej sali. Nie dlatego, żeby za mało było sal, nie było nauczycieli. Byliśmy spóźnieni w nauce, chłopcy z piątej klasy byli wyżsi od nauczyciela. Śmiali się, gdy ich bił drewnianą linią w łapę albo w tyłek. Gdy pytał, czy

dosyć, odpowiadali - mało! I brali dodatkowe bicie. My, mniejsi, szliśmy za ich przykładem i też wołaliśmy „mało!”, chociaż nas to naprawdę bolało. Lubiliśmy go, bo bił nas bez złości. Poza tym bicie wytwarzało pomiędzy nami ów intymny stosunek, za którym bezwiednie tęskniliśmy - mało kto z nas pamiętał swojego ojca. Więc rano ukradkiem strząsaliśmy pod kołdrą termometr, jeśli rtęć podnosiła się za wysoko, co groziło niepójściem do szkoły.

Dostawaliśmy naświetlania sztucznymi promieniami i leżakowaliśmy na werandach, gdzie wychowawcy czytali nam opowiadania z *Serca Amicisa*. Wieczorami opowiadali nam angielskie, amerykańskie i rosyjskie filmy, które specjalnie w tym celu jeździli oglądać w oddalonym o trzydzieści kilometrów mieście. I w książkach, które nam czytali, i w filmach lepsi ludzie zawsze odnosili zwycięstwo. Nawet jeśli ginęli. Słuchaliśmy z przejęciem, ginęliśmy i zwyciężaliśmy razem z nimi.

Nasi wychowawcy byli dorosłymi ludźmi i jako dorośli przeżyli wojnę. Nie można jednak powiedzieć, że nas oszukiwali. Oni jeszcze wtedy nie wiedzieli, jak niewielka jest różnica pomiędzy pokojem a wojną. Która właściwie nigdy się nie kończy, a tylko chowa się pod powierzchnię życia i tam trwa. My to czujemy, dlatego się ciągle czegoś boimy. Pod jednym względem może lepsza jest prawdziwa wojna: podczas wojny czeka się na pokój. I naprawdę weń wierzy.

Naszym wychowawcom chodziło o to, żebyśmy uwierzyli w zwycięstwo. I to im się udawało. Nie można mieć do nich pretensji. Pretensje można mieć do kogo innego. Oni wierzyli, właśnie dlatego że byli dorośli, i uważali, że jeśli ludzie raz popełnią wielki błąd, to potem już wiedzą co robić, żeby takiego błędu nie powtórzyć. My zaś wierzyliśmy, bo byliśmy dziećmi. Myśleliśmy, że wojna jak ta, którą przeżyliśmy, w ogóle zdarza się tylko raz w życiu i ten, kto ją przeżył, jest całkowicie uratowany, a my przecież mieliśmy ją poza sobą.

Jedno tylko mnie zastanawiało. Uszer był znowu w więzieniu. Mama, znów sama, biegała po obcym mieście, ukrywając w teczce nielegalne kupony tkanin, przekupywała strażników, przez których posyłała do więzienia paczki. Mój ojciec zaś leżał w ziemi. Koło Radoszyny. Przy drodze. Trawa rośnie tam wyżej i ma wyraźnie odmienny kolor - a ludzie codziennie tamtędy przechodzą, z pola i na pole. I nikt nie miał odwagi powiedzieć - kto zabił? Ba, nikt nawet nie miał odwagi zapytać...

- Więc jak się właściwie skończyła ta wojna?...